Nowele i Obrazki.

Druk Tow. Kom. St. J. Zaleski & Co., Złota 3.

Tanie wydawnictwo dzieł

Klemensa Junoszy.

Tom VIII.

Nowele i Obrazki.

SŁUP.
Dzieci p. Radcy.
PANI Z PIESKIEM.
Złote Jabłko.

WARSZAWA.
Nakładem rodziny.
SKŁAD GŁÓWNY
w księgarni St. J. Zaleskiego i S-ki, Szpitalna 5

1899.

151666

Дозволено Цензурою

Варшава, Іюля 31 дня 1898 года.

SŁUP.

FRAGMENT Z DZIEJÓW MAŁEGO MIASTECZKA

Bogobojne miasto Kurzełapki, ze względu na swoje brudne domki, czarne kałuże, kozy wychudzone i mieszkańców zgłodniałych a uczonych — było stylowe, przeto i ten mały fragment z jego dziejów również stylowym być musi.

Powyższe kilka wyrazów proszę uważać za przedmowę.

. . . . . .

I.

O, dwa wielkie duchy, używające już dziś rozkoszy raju, do was się zwracam! Dopomóżcie mi podźwignąć brzemię, które spadło na moje barki — ciężar napisania fragmentu z dziejów miasteczka, akurat podług słów, które wsypali niegdyś w moje niegodne uszy, błogosławionej i sprawiedli-

wej pamięci: uczony reb Boruch Bajgel i pełen natchnienia poeta, reb Pinkus Steinnerkopf.

Trudno na wątłej łodzi przewieść przez wzburzone fale stado wołów, trudno z wiotkiej trzciny zbudować wielki most, trudno też słabemu pióru podźwignąć wielką wagę słów mędrców — niemniej przeto poważyłem się podjąć to zadanie, ufając, że studnia pobłażliwości ludzkiej jest niewyczerpana, tudzież, że grzech fuszerstwa powszedniejszy jest na tym świecie, aniżeli cnoty i zasługi wielkich majstrów...

O, nabożne, zacne i ciche miasto Kurzełapki! obyś jeszcze mogło kiedyś zakwitnąć w szczęściu, dostatkach i handlu! oby liczba domostw twoich zwiększyła się siedmkroć! obyś opasane zostało murem szczęścia i zawarte bramami rozkoszy.

Któż cię nie zna, o, miasto bogobojne! Nietylko ludzie delikatni i uczeni, ale nawet chłopi, ludzie grubi i ordynarni, którzy potrafią tylko dźwigać sochę i wykopywać z ziemi kartofle, gbury, co nie zaznali smaku kabały — także wiedzą gdzie jesteś. Albowiem i najmniejszy robak, co pełza po ziemi lub mieszka, za pozwoleniem, w śmieciach, zna słońce, chociaż ono wcale go

znać nie potrzebuje i, wogóle, nie ma do niego żadnego interesu.

A któż tego nie wie, o, miasto bogobojne i godne, żeś graniczyło niegdyś: od południa z rzeką, od północy z górą piasczystą, od zachodu z magnackim pałacem, a od wschodu zaś z pięknym słupem, na kolor skarbowy malowanym, co pokazywał, ile jest wiorst do Wólki.

Obecnie, w tych granicach zaszła pewna delikatna deferencya, mały kawałek różnicy, który wszelako, jeżeli weźmiemy w oderwaniu i zaczniemy go badać okiem filozoficznem, może być uważany sam w sobie jako cała różnica, co zależy od tego, w jakim stopniu człowiek myślący o tym przedmiocie gang swego mózgu wydoskonalił.

Rzeka, co była od południowej strony miasta, obecnie rzeką nie jest, ponieważ wyschła i niema w niej ani kropli wody.

Natchniony Pinkus Steinerkopf napisał o tym wypadku wielki poemat, z którego pozwolę sobie wydobyć tymczasem jedną perłę:

„Mówią ludzie, co dzieje stare znają blizko,
„Że niegdyś, (cóż bo ujdzie pamięci człowieka?)

Kozy miejskie wypiły rzekę i nazwisko
I odtąd się nazywać przestała ta rzeka."

Co się tyczy góry, to faktem jest, na co każdy mógłby przyjąć deferowaną przysięgę, że jej także niema.

Jak złodziej, co wynosząc ze spichrza codzień po parę garncy zboża, może z czasem cały spichrz w ten sposób ukraść, tak wiatr, przez ciągłe dmuchanie, ową górę wydmuchał, ponieważ była ona cała z piasku i nie miała w sobie żadnej spoistości.

Pałacu magnackiego także już niema. Zdmuchnął go nie wiatr, ale prawdę powiedziawszy, nasze kochane żydki, o których wiadomo z Pisma, że nie takie pałace zdmuchiwali. W jaki sposób to zrobili? W bardzo prosty.

Jedli potrochu magnata, aż go zjedli (oby im to na zdrowie posłużyło); potem pałac opuszczony rozwalił się, potem była licytacya, żydki kupili posadzki, okna, drzwi, drzewo, cegłę, przehandlowali ten towar, puścili go w trzecie ręce — i z wielkiego gmachu, z pałacu magnackiego nie zostało nic. Z magnackiemi pałacami i majątkami dzieje się często tak, jak z ową górą, ponieważ podobne są one do piasku i nie mają w sobie żadnej spoistości.

Słup od strony wschodniej, ten piękny słup, ma całą historyę. Że zaś ta historya nie stała się dotychczas wielkim poematem, to należy przypisać temu, że żaden z wielkich poetów przez Kurzełapki nie przejeżdżał.

Z nowości pomalowany był pięknie na kolor skarbowy i pokazywał, ile jest wiorst do Wólki; gdy się cokolwiek zestarzał, gdy go deszcze obmyły— przestał być malowany i nie pokazywał już ile jest wiorst do Wólki, ale jeszcze trochę stał... Potem, zaczął mieć próchnienie od dołu i przewrócił się, a skoro się przewrócił, to już nie stał ale przynajmniej jeszcze cokolwiek leżał — potem go ukradli — i już nawet nie leżał.

A nie trzeba zapominać, że ten słup stał i leżał swego czasu od strony wschodniej, co wcale nie jest bagatela.

Szczęśliwej pamięci Boruch Bajgel (oby używał szczęścia raju) wyszedłszy nieraz, bywało, za miasto, patrzał na ów słup (zanim go jeszcze ukradli) — patrzał i kiwał głową.

Żadne prawo na świecie nie zabrania kiwać głową, owszem, doświadczenie uczy, że bezpieczniej jest kiwać głową, aniżeli nią kręcić — to też Boruch kiwał głową bez-

piecznie a śmiało, a ludzie widząc to, zatrzymywali się i mówili:

— No, no... stary Boruch głową kiwał

Zapewne, głowę każdy widzi i kiwanie także widzi, ale dla czego to kiwanie jest? co w niem jest? nie każdy potrafi wymiarkować.

Wiadomo, że śledź jest kawałek ryby i Lewiatan także kawałek ryby, ale między rybą a rybą bywa różnica.

Nie przyrównywając, koń kiwa głową, jak mu w szyję gorąco, chłop też kiwa głową, jak go żydek uczy rachować—człowiek uczony zaś kiwa głową, gdy ma ciężkie myślenie, a gdyby kto wiedział, jakie Boruch ciężkie myślenie miał — toby także pokiwał głową.

Wszystko na świecie ma swoją miarę: jedne rzeczy dadzą się zważyć funtami, drugie odmierzyć łokciem, albo kwartą, według swojej natury, ale na mądre myślenie niema kwarty, ani łokcia, bo ono bardzo wielkie jest.

Boruch Bajgel lubił czasem chodzić za miasto, a wyszedłszy za miasto, siadał zwykle nad suchym rowem i patrzał na słup (póki ten jeszcze stał), patrzał na słup i widział, że on próchnieje od dołu i miarko-

wał, że się ten słup przewróci — i że jak się przewróci — to będzie leżał.

Wszystko to Boruch naprzód widział i — kiwał głową.

Zachodzi teraz wielkie pytanie, dla czego kiwał? Dla czego miał się martwić o słup? Co go mógł obchodzić ten kawał drzewa, z resztkami farby, z próchnem z oberwaną tabliczką? Chce się słup przewracać, niech go dyabli wezmą, niech się przewraca, niech ginie, — co ma do tego nabożny, uczony i prawowierny żyd?

Tak myśleć mogła każda ciasna, zamknięta, zaszpuntowana głowa — ale głowa, która jest otwarta szeroko i wcale nie zabita gwoździami, mogła nadać swym myślom zupełnie inny obrót, mogła mniej więcej takie robić kombinacye:

— Boruch patrzy na słup, bo ma źrenice oczu zwrócone w tym kierunku — ale niema żadnego powodu, żeby patrząc na słup, tylko o słupie myślał.

Kto zrobił takie przypuszczenie, ten był tak blizki prawdy, jak sługa wasz niegodny blizki jest papieru, na którym pisze te słowa... Boruch patrzał na słup (zanim go jeszcze ukradli), ale myślał o swojem kochanem miasteczku, w którem światło

dnia ujrzał, w którem poznał słodycz ksiąg mądrości, doczekał sędziwych lat, siwej brody, delikatnych prawnuczków, miru, znaczenia i poszanowania u ludzi...

Słup próchniał powoli od dołu... a miasto?...

II.

Jest to rzecz oddawna wiadoma, że szczupak psuje się od głowy, życie od fałszywej mądrości i różnych dyabelskich wynalazków, a biedne żydowskie miasteczko (oby je nieszczęście mijało!) od złych obyczajów i od nauk nieczystych, które chcą się wpychać w koszerne dusze żydowskie. Życie stoi na obyczajach, obyczaje stoją na zakonie — więc też słup, co od dołu próchnieje, może być uważany w tym razie jako porównanie, które delikatna głowa powinna rozumieć.

— Oh! oh! — jęczał nieraz sprawiedliwej pamięci Boruch Bajgel, — oh, ludzie nie pamiętają i pisma nie przechowały daty, odkąd już miasto Kurzełapki było porządnem miasteczkiem żydowskiem.

Wszystko tu było: życie spokojne i szczęście, i nabożność, i mądrość, i trochę handlu, i katolików ilu potrzeba, aby koło nich można było żyć.

Niczego nie brakło. Była szkoła, łaźnia, był rzeźnik, był rabin.

I jaki rabin!

Ten sam, o którym w jednym ze swych poematów, pisał niezapomiany Pinkus Szteinerkopf.

„Mędrzec zaiste wielki, tonący wśród badań,
Gardził trefną nauką, co gwiazdy chce liczyć,
W wiedzy apikoresów nie lubił się ćwiczyć,
Lecz siedząc nad kabałą w sobolowem futrze,
Dumał i głowę trudził ciężkiemi myślami
I odkrył: że „przedwczoraj“ zmieni się w „pojutrze,“
Jeżeli czas wywrócić do góry nogami.“

Gdybym wziął najmniejsze piórko z wróbla i piórkiem tem jak najdrobniej pisał, to musiałbym zapisać siedem wielkich skór wołowych, chcą dokładnie podać potomności to wszystko, co o tym wielkim rabinie mówiono.

Na wykonanie takiego dzieła trzeba żyć przynajmniej osiemnaście razy po osiemnaście lat, ale że, chociaż już dużo żydków trudni się medycyną, jeszcze sposobu na tak długie życie nie wynaleźli,

więc wolę od tego zamiaru odstąpić i zanotować tylko jedno zdanie, które rabi w niezgłębionej swojej mądrości powiedział, w czasie wielkiego nieszczęścia, jakie spadło na biedne miasto Kurzełapki.

Kto przeczyta to opowiadanie do końca, przekona się, że Boruch dobrze wiedział, dla czego patrzył na słup i dla czego przytem kiwał głową.

Wiadomą jest rzeczą, że jak do butelki należy się korek, tak do żydowskiego miasteczka musi być dopasowany burmistrz. Wprawdzie nikt nie zaprzeczy, a nawet każdy myślący żyd gotów jest przyznać, że gdyby butelka nie miała wcale korka, to pomimo tego nie stałaby się ani, z przeproszeniem, psem, ani kotem, tylko byłaby jak przedtem butelką.

Mogliby nasze żydki (oby się mnożyli szczęśliwie)! powiedzieć na ten temat dużo ciekawych rzeczy, ale pamiętają oni, że na to język opasany jest murem zębów i zamknięty bramą ust, żeby się zabardzo na świat nie wysuwał.

Opuściwszy przeto długie filozoficzne wywody, jakie z tego punktu przyczepienia snućby można, powiadamy prostym ję-

zykiem, że do Kurzyłapek nastał nowy burmistrz.

Niedawno uczony jeden człowiek mówił: „nowy burmistrz, nowe powietrze,“ gdyż bywają różne gatunki burmistrzów i rozmaite gatunki powietrza.

Zdawało się nabożnym żydkom w Kurzychłapkach, że ze wszystkich złych burmistrzów, ten, co nastał, był najgorszy. Co robić? Haman ma liczne potomstwo...

Od pierwszego dnia swego przybycia, nowy burmistrz zaraz zaczął pokazywać żydkom, co to znaczy burmistrz — i, jak lew, co ze swej nory czatuje na niewinnego baranka, wysadził bardzo długie i bardzo ostre pazury. Co on wyrabiał!

Kazał zamiatać ulice; kto to kiedy widział? Kazał wywozić śmiecie z przed domów — jakby mu te biedne śmiecie co przeszkadzały! kazał stawiać szlachtuz, jak gdyby krowom i baranom nie było wszystko jedno, czy je rzeźnik zabije pod gołem niebem, czy pod dachem...

Żydki zaczęli trochę mruczyć; bo ktoby nie mruczał na takie prześladowanie — ale to był dopiero początek.

Są na świecie takie gęby, że jak im co smakuje, toby ciągle jadły... Burmistrzowi

mało było śmieci i szlachtuza — zabrał się do pejsów.

Zrobił całe polowanie na pejsy. Mendlowi co był przecie kupiec, znaczna osoba i bogatego Icka zięć, obciął parę czerwonawych pejsów, ślicznych jak złoto, takich pejsów, co się z nich nietylko sam Mendel, ale całe miasto pyszniło.

Wtenczas żydki zaczęli jeszcze bardziej mruczyć i ułożyli trzynaście punktów denuncyacyi, i to takich punktów, które mogły zgubić na zawsze nie jednego, ale trzydziestu dziewięciu burmistrzów.

Tymczasem, zanim posłali owe trzynaście punktów, zrobiło się takie zdarzenie, że stary Szmul, co trzymal karczmę przy rogatce, umarł.

Burmistrz nie dał go pochować, na hańbę, na wstyd, na przykrość, na krzywdę duszy nieboszczyka, chciał go trzymać do trzeciego dnia bez pogrzebu.

Wtenczas żydki zrobili gwałt i poszli prosić rabina, żeby na burmistrza (oby się na naszych wrogów obróciła!) wielką chorobę sprowadził.

Kiedy z głośnym lamentem i żalem stanęli przed rabinem i opowiedzieli co jest, on myślał, myślał, długo myślał i rzekł:

— No, no, czasem zły bywa lepszy niż dobry.

Denuncyacya miała ten skutek, że nastał nowy burmistrz, całkiem dobry! Każdemu żydkowi mówił: „panie.“

Dzięki wielkim zasługom naszego rabina, jeszcze było w miasteczku pół biedy; jeszcze można było trochę żyć — ale jednego razu przyjechali obce żydy i namówili rabina, żeby się przeniół do innego miasta.

Bogate gałgany! mieli pieniądze, mogli zrobić co chcieli.

I stało się, na zmartwienie, na wstyd naszych Kurzychłapek, że sławny rabi je opuścił.

W tym to właśnie czasie, sprawiedliwej pamięci Boruch Bajgel zauważył, że słup od dołu zaczyna prędko próchnieć.

III.

Którędy przychodzi nieszczęście? jakie są jego drogi? w jaki sposób zły duch znajduje przystęp do ludzi? czy może sam podejmować liwerunek nieszczęścia, czy potrzebuje wspólnika?

Odrzuciwszy trzy pierwsze pytania do lepszego czasu, możemy z całą pewnością odpowiedzieć na czwarte, że nikt lepiej od złego ducha nie rozumie interesów spółkowych.

Niema się czemu dziwić. Wróg żydów od początku świata nieszczęściem handluje, miał więc czas nabrać doświadczenia i praktyki.

Wspólnikiem jego bywa prawie zawsze kobieta, i, od czasu naszej matki Ewy, stało

się wiadomem, że: „gdzie dyabeł nie może tam babę pośle".

Że to się zawsze sprawdza, mamy dowód na smutnej historyi, jaką według nieodżałowego Borucha Bajgela, a poniekąd i natchnionego wieszczym duchem Pinkusa Steinerkopfa, spisuję.

Burmistrz był bardzo dobry, nie mogli się go dość nachwalić, a najgorliwszym chwalcą był właśnie Mendel, bogatego Icka zięć, ten sam, który za poprzedniego złego burmistrza utracił parę swoich, jak złoto ślicznych, pejsów.

On najwięcej przeklinał burmistrza złego i jemu też dano było skosztować, jaki ma smak burmistrz dobry!...

Zdaje się, że nie potrzebuję zapewniać czytelnika, że Mendel miał żonę, bo gdybym nawet zapewniał, że jej nie miał, toby nikt nie chciał wierzyć, że nabożny żyd z Kurzychłapek mógł żyć na tym świecie bez żony. Miał, i to nie byle jaką żonę, bo bogatego Berka córkę, kobietę nie bardzo ładną i nie bardzo brzydką, ale w samą miarą ciekawą i gadatliwą, jak wszystkie żydówki w Kurzychłapkach. Z tej żony, która nosiła piękne imię Chany, miał Mendel córeczkę, tylko jedną jedyną córeczkę Małkę,

ładniejszą od matki i dużo od niej ciekawszą.

To było lube dziecko! Kawałek pięknej pociechy!

Nie darmo Boruch Bajgel przypuszczał, że przed przyjściem Małki na świat, Mendlowa musiała nastąpić na kawałek obciętego paznogcia, albo też że zobaczyła niespodziewanie czarnego kota i zlękła się mocno—dość, że Małka rosła na takie ziółko piękne, jakiego oby żydowskie oko nigdy nie widziało!

Zły duch wiedział dobrze co robi, gdy sobie taką wspólniczkę dobierał.

Małka miała już, na nieszczęście ludzkie, całe dwanaście lat, kiedy, dzięki denuncyacyi, zły burmistrz wyjechał z Kurzychłapek, a na jego miejsce nastał burmistrz dobry.

Ten dobry był dobry z całą swoją familią!

Pani burmistrzowa była dobra, panna burmistrzówna jeszcze lepsza, a krewny pani burmistrzowej, co do magistratu za pisarza nastał, był najlepszy.

Sam cymes! oby wrogom naszym codzień się taka dobroć trafiała!

Mendel miał u burmistrza wielkie zachowanie: mógł w mieście robić co sam tylko chciał, potrafił siadać w kancelaryi na krześle, trzymając w gębie cygaro, potrafił .. czego on nie potrafił!

Mendlowa miała łaskę u pani burmistrzowej, a Małka u całej familii pana burmistra...

Sama prezydentowa — tak ją dla wielkiego honoru nazywali—mówiła, że równie ładnych oczu, jak Małka ma, nigdy jeszcze w swojem życiu nie widziała... Dlaczego tak mówiła?—ja nie wiem; oko jest oko, takie, czy owakie, wszystko jedno przecież.

Raz burmistrzowa zaczęła głaskać Małkę po twarzy i powiedziała takie słowa:

— Kochana Małciu, ciebie szkoda, ty taka śliczna jesteś!

Małka bezczelnica (jak to znać, że jej matka na paznogieć stąpiła) śmieje się i pyta:

— Nu—a co ja mam zrobić, żeby mnie nie było szkoda?

— Przychodź do nas—powiada dobra burmistrzowa — nauczysz się czytać, pisać, a co będzie dalej, zobaczymy.

Zaczęła Małka chodzić, zaczęła się

uczyć... Z początku na krótko, potem coraz na dłużej; zaczęła męczyć matkę, żeby jej sprawiła nowomodną suknię. Mało jej było watówki, tej szkaradnicy!

W tym czasie Boruch Bajgel zauważył, że słup coraz bardziej próchnieje, zauważył to i długo, długo głową kiwał...

Na honor Kurzychłapek nawet nieprzyjaciel przyzna, że w mieście tem kwitnęła od najdawniejszych czasów mądrość. W innem dużem i znacznem miejscu nie znalazłby może tylu nabożników i uczonych, którzy po całych dniach, albo i po całych nocach przesiadywali nad książkami, próbując czytać święte słowa i tak, jak się zwyczajnie czyta, i na odwrót, to znów zamieniając litery tego słowa na liczby, robiąc najrozmaitsze wyrachowania. Ci uczeni czytali teksty i komentarze, i komentarze do komentarzy, i znów do tych komentarzy robili swoje komentarze, jak przystoi ludziom wielkiej mądrości i jak potrzeba jest.

Prowadzili pomiędzy sobą dysputy, a jak wzięli czasem w pięciu albo w sześciu dwa słowa z Gemary i zaczęli je delikatnym rozumem gryźć, to nieraz, od wiosennych świąt aż do samych kuczek na jesieni, gryźli

je jak orzechy i jeszcze się do samego ziarnka nie dogryźli.

Nie jest dziw, że starzy ludzie z siwemi brodami lubią przy ciepłym piecu, z fajką w gębie, nad księgami przesiadywać, bo stara krew chłodna jest, a wiadomo, że piec grzeje w plecy, fajka w zęby, a nabożna księga wpuszcza ciepło w serce i w cały środek człowieka — ale, że młodziki, co im prawie dopiero na świat, co im może pachnąć zdaleka interes korzystny, propinacya, jarmark, zapominają o tem wszystkiem i wolą przesiadywać nad księgami — to jet dziwno. Dziwno gdzieindziej, ale nie w Kurzychłapkach, gdzie wielka nabożność kwitnęła od wieków.

Jak miesiąc pomiędzy gwiazdami, tak wsród młodych nabożników w Kurzychłapkach jaśniał Fajbuś Mucha. Nie pochodził on ani z wielkiego, ani z bogatego rodu; nawet prawdę powiedziawszy, ojciec jego wcale nie był osoba, tylko krawiec i to z pomiędzy biednych krawców najbiedniejszy, z pomiędzy wielkich kapcanów największy.

Nie miał stary Mucha majątku, ale miał za to Fajbusia.

Jak młody jeleń, kiedy mu się pić chce, zbiega z góry w dolinę szukać chłodnego

źródła, tak Fajbuś zawsze spragniony, szukał ciągle mądrości i, od poranku do późnej nocy, przesiadywał nad księgą. On nie wiedział gdzie jest i co koło niego jest, nie wiedział, ile kosztuje funt chleba, albo pół kwarty kaszy, nie wiedział ile dziur ma w swojej kapocie, ani ile lat służy mu czapka. Nic nie wiedział, ale za to w uczonych księgach był cały mechanik.

Od ciągłego siedzenia miał wypchniętą łopatkę, od ciągłego czytania całkiem kaprawe oczy, trochę się jąkał, a jak kto odezwał się do niego, to on odwracał głowę i pokazywał taką twarz, jak człowiek, który spał spaniem mocnem i któremu nagle w samo ucho krzyknęli: „Fajer!"

Śliczna, koszerna dusza! Ktoby nie chciał takiego za zięcia?!

Miał Fajbuś akurat siedemnaście lat i nie potrzebował się bać o wojsko, bo kochana komisya na nasze szczęście woli grubych i ordynarnych chamów — i przyszedł czas, że trzeba go było ożenić.

Nie powiem dużo i nie powiem mało, tylko tyle, że wszyscy bogatsi ojcowie, co mieli córki na wydaniu, zaczęli się pomiędzy sobą bić i targować. Była więc wojna i była licytacya i, stało się tak, jak na praw-

dziwej wojnie — kto miał najwięcej pieniędzy, ten wygrał. Wygrał najbogatszy— właśnie Mendel, Icka zięć. Takiego ślicznego kawalera, taką pierwszą partyę na jakie dziesięć mil w około, taką uczoność, taki honor złapał Mendel i—dla kogo złapał? Dla... Małki!

Niech teraz kto powie, że zły duch nie potrafi wybrać sobie dobrej wspólniczki!

Gdy Mendel z krawcem Jojną, ojcem Fajbusia, dobili targu, wieść o tem, jak ptak na skrzydłach, obleciała całe miasteczko.

Mężczyźni kręcili na to głowami, a wszystkie kobiety, te zwłaszcza, co miały córki, ma się rozumieć oprócz jednej Mendlowej, wysypały wszystkie swoje dziewięć miar gadania i zrobiły taki krzyk, taki rejwach, taki lament, że aż pijany chłop, co w magistracie był za stróża, przebudził się i myśląc, że pożar wybuchnął, zaczął się drapać w głowę i przypominać sobie, gdzie też może być schowany klucz od sikawki?

Żaden wiatrak tak prędko nie macha skrzydłami, żaden pytel z takim się gwałtem nie trzęsie, żadne koło tak się prędko nie obraca, jak obracało się kilkadziesiąt kobiecych języków przed sklepem Gołdy

Ruchli, najgrubszej i najnabożniejszej żydówki na całe Kurzełapki.

— Słychane to rzeczy! słychane to rzeczy! — krzyczała Gołda Ruchla, — żeby takiego Fajbusia, takiego sprawiedliwego, uczonego żydka, taki kawałek czystego złota, taki brylant, chwałę całego miasta, żenić z Małką, z tą bezczelnicą, co chce sobie sprawiać nowomodne suknie, oby jej nieszczęście służyło za gorset, a choroba za falbanę!

— Obym tak doczekała zobaczyć mego małego wnuczka—mówiła stara Szmulowa, — jak widziałam, że Małka smarowała włosy pomadą z apteki. Ha, słyszycie? No, pomadą z apteki! Pytajcie się aptekarza, co w tej pomadzie jest? Może koszerne masło, albo gęsi smalec! Tfy! tfy! Nie potrzebuję mówić, czem ona smarowała swoją trefną głowię, żeby ją przez osiemnaście lat bolała!

— Nu, nu! — wołała Gołda Ruchla — wróg Syonu wie, co robi... Wiadomo, że Fajbuś za parę lat będzie rabinem...

— A Małka zostanie rabinową! niech ją łamana febra trzęsie! Piękna rabinowa, niema co mówić!

— Hańba całego żydowstwa! Oby jej na czarny rok przyszło, niegodziwej!

— Wielka pani, magistracka dama! Osoba! Jej pasuje tytuł rabinowej jak krowie chomonto. Tfy!

— Nu, nu, wiadomo, że, z przeproszeniem waszego honoru, ze świńskiego ogona nie będzie szabasowa czapka!

Do samego wieczora był gwałt na mieście, a w domu Mendla wielka radość. Mendel z Mendlową radzili, jak wyprawić wesele.

Tymczasem głupia Małka, jak jej powiedzieli o tem szczęściu i honorze, narobiła wielkiego krzyku i powiedziała, że ona wcale nie potrzebuje za męża takiego brudnego, ślepego i krzywego żydziaka!

Wiadomo, że droga z Kurzychłapek do Warszawy kończy się w Warszawie, ale niech kto powie, gdzie się kończy droga bezczelności i głupoty?

Mendel uważając, że Małki dobrem słowem nie przekona, wziął kawałek twardego kija (oby mu się obie ręce ozłociły) i zaczął tłómaczyć córce, co to znaczy brudny, ślepy i krzywy żydziak! Co prawda, był to najrozumniejszy postępek, jaki Mendel, oprócz rozmaitych spraw handlowych,

w których miał doświadczenie i biegłość — w swojem życiu uczynił.

Chociaż Małka była bardzo harda i potrafiła rozpuścić gębę w straszny sposób, zobaczywszy jednak kij w ręku ojca, ucichła. Widocznie zły duch podszepnął jej, żeby udała pokorę.

Mendel widząc, że córka cicho siedzi, postawił kij w kącie i poszedł prosić gości na zaręczyny. Niedługo sprowadził też i Fajbusia, o którym można było powiedzieć, że był podobny sarnie, albo młodemu jelonkowi na górach ziół wonnych, w ojcowskiej szabasowej kapocie, co się za nim z powodu długości swojej wlokła i w aksamitnej czapce, która mu spadała na oczy.

Goście, chociaż ich serca pożerała zazdrość, udawali, że się cieszą i winszowali Mendlowi szczęścia, pragnąc jednak w duszy, żeby Małkę co złego spotkało i żeby to wielkie małżeństwo nie przyszło do skutku.

Może się komu dziwnym wyda taki fałsz, ale jeżeli lepiej się zastanowić, to wszystko będzie w porządku — przecież Mendel wydał na przyjęcie gości pieniądze i to nawet duże pieniądze. Znaczniejszym dał po kawałku pieczonej gęsi i po szklan-

ce rodzynkowego wina, dla mniej znacznych był piernik i wódka.

Za taki poczęstunek dlaczego nie mieli winszować, a co sobie o tem myśleli, to znowuż inna rzecz. Tego nikt za poczęstunek nie wydaje i trzyma na swój własny użytek.

Małce też winszowali, ale ona przyjęła dobre słowo z wielką złością i, pokazując na Fajbusia, powiedziała:

— Wolałabym, żeby on się z czarnym rokiem zaręczył.

Sprawiedliwej pamięci Boruch Bajgel, usłyszawszy takie niegodziwe słowo, splunął trzykrotnie i przez cały tydzień nie chodził patrzeć na słup.

Nie miał siły... a przytem dość już widział próchna na tych zaręczynach sprawiedliwego ze wspólniczką szatańską.

IV.

Powiadają, że świat się psuje... Aczkolwiek prawie codzień słyszymy to zdanie i nie od, z przeproszeniem, smarkaczów, ale od ludzi poważnych, jednak nie możemy się z niem zgodzić; bo gdyby świat się naprawdę miał psuć, toby zrobiła się naprzykład dziura w niebie, albo deszcz zamiast z góry na dół, padałby z dołu na górę. Tymczasem świadczą nasze oczy, że tak nie jest. Deszcz pada z góry na dół, jak dawniej, dziura się w niebie nie zrobiła i nikt też nie widział, żeby szczupak jadł trawę na łące, albo żeby koza siedziała na dnie wody i robiła takie figle, jak karaś, albo lin. Wszystko jest tak jak było, a przecież nie tak jest — gorzej jest; tak właśnie — jak gdyby się popsuło.

Nie potrzeba być wielkim mężem, żeby dostrzedz i dociec, że to popsucie nie w świecie, ale w ludziach się mieści.

Nie chcę dużo mówić o tych ludziach grubych, o chłopach, o takich, co nigdy nie byli jak się należy — ale o naszych nabożnych, sprawiedliwych, godnych żydkach. Ja nie powiadam, że w tem jest popsucie, że oni coraz lepiej świat oszukują, bo na to oni są żydki, — ale to mówię, że zaczynają już psuć swoje obyczaje.

Gdybym chciał otworzyć serce i puścić całą gorzką rzekę żalu, która w niem jest zamknięta, to zalałbym nią taką moc papieru, że szlachcic nie miałby już na czem napisać kwitka swemu pachciarzowi. Nie będąc wrogiem Syonu i nie chcąc pozbawiać pachciarzy możności posiadania dowodów pieniężnych, zamykam tę rzekę żalu wielką szluzą i puszczam tylko trochę gorzkości, całego kramu kilkanaście kropel! Ludzi to nie poprawi, ale sercu memu ulży.

Tak mówił sprawiedliwej pamięci Boruch Bajgel i dodał:

— Od czasu, jak na żydowskich butach zaczął się pokazywać trefny szuwaks, a z niektórych głów pouciekały jarmułki, robi się na świecie coraz gorzej. Szatan,

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

który najbardziej za pośrednictwem kobiet chce swoje panowanie rozciągać, namawia je do najgorszych rzeczy. On to wymyślił edukacyę, on wymyślił modę i, temi dwoma drogami, jedzie do swego celu z takim rozpędem i rozmachem, jak ekstrapoczta z purycem, dającym dobry trynkgeld.

Do tego już dochodzi bezczelność i zepsucie, że zwyczajna żydówczyna, taka co nie potrafi porządnie zagnieść klusek, ugotować kawałka ryby i upiec chały na szabas, chciałaby koniecznie umieć czytać nie po żydowsku i nosić takie suknie, jakie noszą żony, albo córki puryców.

Psuje się przez to świat.

Tak mówił Boruch Bajgel, a Pinkus Steinerkopf, słuchając tych słów, płakał i czuł, że w jego głowie rośnie wielki poemat, co wezbrany żalem ma się wylać na papier.

Wesele Fajbusia i Małki miało być za trzy tygodnie. Krawcy, przyśpiewując wesoło, szyli dla panny młodej bardzo piękną garderobę: Mendlowa przygotowywała rozmaite przysmaki, a muzykanci cieszyli się naprzód, że będą mieli kawałek ładnego zarobku.

W całem mieście tylko o tem weselu

mówiono, a Chana Gołda ze swoim mężem coraz coś po cichu szeptała. Oboje na gwałt starali się o gotówkę; on jeździł po dworach z kwitkami odbierać małe należności, ona zastawiała perły i brylantowe kolczyki.

Ludzie się pytali: — na co wam tyle pieniędzy?

Chana Gołda odpowiadała:

— Nu, nu, daje Pan Bóg Mendlowi zięcia, może da i mnie.

Ludzie myśleli, zkąd ona weźmie zięcia? Może wyszukała gdzie dalej, w jakiem innem miasteczku. Kto to może wiedzieć?

Fajbuś najmniej zajmował się swojem weselem i wcale o niem nie mówił. Co go ono miało obchodzić? On, człowiek nabożny, uczony, miał ważniejsze myśli w głowie. Może czasem doleciało do jego ucha jakie słowo o Małce, ale on tego nie słuchał. Co miał słuchać?

Ważna rzecz, czy przyszła jego żona będzie zła, dobra, ładna, albo brzydka! aby była żona. Tak samo, jak człowiek, który je kawałek gęsi, nie ma potrzeby być ciekawym, czy ta gęś była szara, czy biała? czy gęgała grubym głosem, czy cienkim? Aby była gęś nie strefiona, to ją można jeść.

Małka biegała codzień do żony dobrego burmistrza i powiadają, że tam bardzo płakała. Powiadają też, że pisarz z magistratu, trochę pomagał jej płakać, a przynajmniej oczy obcierać, bo on też dobry był, ale może to tylko ludzkie plotki.

Zdaje się, że pani burmistrzowa musiała dobremu burmistrzowi dużo nagadać, żeby do wesela nie dopuszczał, bo zaczął robić różne burmistrzowskie figle z metryką.

Niewiele mógł poradzić, bo Mendel też miał głowę do takich interesów i pomimo, że burmistrz mówił, iż w księgach jest metryka, pokazało się, że taka metryka wcale nie jest... Żeby burmistrzowi zatkać gębę, przyszło paru porządnych żydków, bardzo godnych obywateli, mających swoje domy i swoje szynki, i zrobili akt znania.

Burmistrz chciał na swojem postawić, że Małka nie ma jeszcze lat i nie można jej, podług prawa, za mąż wydawać, ale obywatele zeznali, że ona wcale nie jest taka młoda, jak się zdaje, i że ma, jeżeli nie całe dziewiętnaście, to przynajmniej ośmnaście lat przed jedenastoma i pół miesiącami skończonych.

Chociaż pani burmistrzowa bardzo prosiła burmistrza, żeby Małki nie dał za mąż wydać, burmistrz nie wiele mógł na to poradzić, bo naprzód, że do córki pierwsze prawo ma ojciec, a powtóre, burmistrz i to dobrze wiedział, że gdyby się do tych interesów za dużo wtrącał, oburzyliby się na niego wszystkie nasze żydki w całem mieście.

Burmistrz był mądry i wiedział, że wojować z kahałem, to jest interes głupi, bo choć burmistrz ma siłę, ale kahał silniejszy od dziesięciu burmistrzów.

I to też prawda, że Mendel powiedział burmistrzowi w sposób delikatny, jak przystoi mówić do takiej osoby, — powiedział w sposób bardzo delikatny: że nie należy się mieszać do żydowskich familijnych interesów, bo na to jest ojciec i matka. Burmistrz — wiadomo, że ten burmistrz bardzo dobry był — wcale się nie sprzeczał, tylko kiwał głową i powiedział, że Mendel ma recht. I to także prawda, bo nawet są świadki, co słyszeli, że mówił do Małki, żeby się ojcu nie sprzeciwiała, żeby została żoną Fajbusia, że taki honor powinna wysoko cenić, że jej całe miasto zazdrości.

Nawet dziwili się ludzie, zkąd bur-

mistrzowi wziąć się mogły takie całkiem sprawiedliwe słowa.

On tak przy ludziach pięknie Małkę nauczał, tak pięknie do niej przemawiał, a co z nią gadał na osobności, tego, ma się rozumieć, nikt nie słyszał.

Chana Gołda, kiedy ludzie mówili o weselu, śmiała się.

— No, no — mówiła, — czekajcie, nie po każdych zaręczynach bywa wesele.

Wszyscy byli bardzo ciekawi wiedzieć, co te słowa znaczą, ale Chana Gołda więcej mówić nie chciała. Domyślali się tylko, że Małka, która miała zawsze przewrócone w głowie, zrobi takiego figla, że z wesela nic nie będzie.

Tymczasem, nad wszelkie spodziewanie, bo zły duch zawsze zachodzi znienacka i lubi robić ludziom różne niespodzianki, na tydzień przed weselem, Małka tak się zmieniła, że nikt nie mógł jej poznać. Zrobiła się z niej bardzo porządna dziewczyna. Czytała ciągle nabożne książki, a jak ją kto zagadnął o weselu, odpowiadała, że nie jest godna takiego honoru i takiego szczęścia.

Nareszcie przyszedł dzień, w którym miała zostać żoną Fajbusia.

Nie będę opisywał, co się tego dnia działo w Kurzychłapkach, jaka była latanina, jaki skrzęt, jakie gadanie! Nie bagatela, gdy pierwszy bogacz w mieście wydaje córkę za pierwszego uczonego i nabożnika!

Ojciec uszył Fajbusiowi całkiem nową atłasową kapotę, na wyrost, śliczny kawałek garderoby, w którym tylko połowa materyału była ze starej damskiej salopy, a druga połowa całkiem nowiuteńka, z łokcia—dał mu bardzo ładne niebieskie pończochy, nową parę pantofli i pas husydzki, wełniany; — do tego ojciec panny młodej dodał bardzo bogatą czapkę z tchórza, z aksamitnym kołpakiem, tylko w paru miejscach cerowanym — i można powiedzieć, że Fajbuś w tym stroju wyglądał jak królewicz.

Chana Gołda, chociaż zawsze była na gębie czerwona, w dzień wesela robiła się zielona, biała i żółta, bo spodziewała się jakiejś awantury, spodziewała się, że Małka ucieknie, a tymczasem Małka nie myślała uciekać wcale...

Z wielką chęcią ubrała się, zarzuciła na twarz zasłonę i, przy graniu muzykantów, poszła przed bóżnicę, pod baldachim, gdzie miał być ślub.

Myśleli, że w ostatniej chwili zrobi jakiego figla, tymczasem nic nie zrobiła, stała przy ślubie spokojnie, wzięła od Fajbusia pierścionek i została jego żoną, tak, jak wszystkie żydówki zostają żonami swych mężów...

Wszyscy wołali: „dobrego szczęścia!“ „dobrego szczęścia!“ jedna tylko Chana Gołda krzyknęła wielkim głosem: „Waj mir!“ i czuła nagłą słabość w sercu.

Wesele z paradą, z muzykantami, przeszło do domu Mendla, a biedna Chana Gołda, której z wielkiej żałości popsuła się cała żółć, jęczała na łóżku i musieli sprowadzić do niej felczera. Na ośmnaście sążni od domu Mendla, czuć było zapachy różnego jedzenia, i to jedzenia, jakiego nie jeden biedak w całem swojem życiu nie wąchał i nie powącha. Muzykanci grali, młode żydówki tańczyły — a pobożni obywatele popijali rodzenkowe wino i grali w karty, w „draj małkes.“ Pod oknami cisnął się biedny naród, który chciał też być na weselu i użyć dobrego smaku, patrząc przez szyby, jak bogaci jedzą różne doskonałe potrawy.

Choć ludzie, jako zawsze zazdrośni, patrzyli na to śliczne wesele z zawiścią,

jednak musieli przyznać, że Fajbuś nie zrobił złego interesu, dostawszy takiego teścia jak Mendel.

Tymczasem, jak należy według starego i nabożnego obyczaju, zaproszono państwa młodych, żeby poszli obejrzeć swój pokój.

Ledwie oni tam weszli i ledwie drzwi się za niemi zamknęły, zrobił się taki łoskot, jakby kto dwa razy, broń Boże, z pistoletu wystrzelił — a potem stał się wielki lament i krzyk.

Wszyscy goście porzucili jedzenie, tańce, karty i biegli zobaczyć, co jest?

Oh! oby nasze oczy nie widziały nigdy takiego interesu!

Na środku stancyi stała Małka, czerwona całkiem na twarzy, jak krew, z oczami strasznemi jak u czarnego kota przed wieczorem, wyszczerzyła zęby, jak wilk, a w ręku trzymała wielki pantofel husydzki, jeden z tych, w których zwykle ojciec jej, Mendel, lubił spacerować koło domu.

Fajbuś, kochany Fajbuś, to złote dziecko, ozdoba miasta, stał stulony w kącie i patrzył z takim strachem, jak gdyby anioł śmierci stanął przed jego oczami.

Piękna czapka z tchórza leżała na zie-

mi, aksamitna jarmułka walała się w kącie i — z trudnością takie słowo schodzi z pióra na papier — Fajbuś, perła całych Kurzychłapek, miał na swoim policzku prawym wielkie spuchnięcie i czerwoność, a na lewym siniak, co mu aż pod same oko zachodził.

W Małce obudził się szatan i pokazał swoją sztukę; przez jej usta puścił taki deszcz przekleństw, złorzeczeń i słów nieprzystojnych, że nie godzi się tego powtarzać i, oby się one wszystkie na naszych wrogów obróciły!

— Chciałeś wesela! — krzyczała — chciałeś żony!? ty ślepy, krzywy paskudniku, masz wesele! masz żonę, obyś się jaknajprędzej z piekłem ożenił! Chodź tu, chodź, luby kochanku, chodź, niech cię pocałuję tym kawałkiem pantofla...

Zrobił się wielki gwałt i awantura, a Boruch Bajgel szepnął po cichu do Pinkusa:

— No, no, ja wam powiadam, że poganin Holfernes miał lepszy los od Judyty, przynajmniej od razu z nim skończyła, a nasz biedny Fajbuś ma przez całe życie być bity pantoflem.

Całe wesele rozbiło się na nic... Stary

Jojna, ojciec Fajbusia, w wielkiej popędliwości napadł na Mendla, groził mu kryminalnym procesem, likwidował sobie znaczne koszta, za hańbę syna, za jego krzywdę, za kuracyę...

Kilku starszych żydów, obywateli bardzo poważnych, co mieli domy swoje i duże znaczenie w mieście, stanęli po stronie Jojny.

— Jak to można — mówili — zrobić komu taki wstyd i kompromitacyę!?

— Co ja temu winien? co ja winien?— krzyczał Mendel! —co wy chcecie odemnie? Czy nie dotrzymałem warunków? czy nie wypłaciłem Jojnie tyle, ilem się zgodził? czy nie wyprawiłem porządnego wesela?

— Żeby wam takie wesele!

— Sza, sza, cicho, pozwólcie mi się wytłomaczyć. Fajbuś chciał moją córkę za żonę. Ja też chciałem; powiedźcie mi teraz, czy Małka nie jest moja córka i czy jej nie dałem za żonę Fajbusiowi?

— Ładna żona, niech ją oko zaboli!

— Ta sama jest, którąście chcieli i którą ja obiecałem. Kto dowiedzie, że jest inaczej, dam mu 10 rubli!

— To rozbójnica jest, ale nie żona.

— Aj, aj, nie bądźcie tak popędliwi

i gwałtowni, pogadajmy jak ludzie poważni. Chodźcie do drugiej stancyi, może się zgodzimy — posłuchajcie przynajmniej, co ja powiem.

Gdy się znaleźli już w drugiej stancyi, Mendel przemówił w te słowa:

— Niema takiego interesu na świecie, coby się nie dał zreperować...

— Fajbuś ma wielką krzywdę!

— O tem, czy on ma krzywdę, możnaby bardzo dużo powiedzieć; oby nikt z was nigdy większej krzywdy nie doznał! Wy potrzebujecie się zastanowić, że Fajbuś. Bogu dzięki, nie ma wybitego oka, ani złamanej kości. Ten przypadek, co się stał, może być prędko zapomniany, a za to Fajbuś ma...

— Co on ma!? co on ma!? Ma siniaki!...

— Cicho, sza! Siniaki? wielka rzecz siniaki! Za te siniaki, to on się przekonał, że dostał za żonę spokojną, skromną, nabożną dziewczynkę, która dopiero pierwszy raz za mąż wychodzi i przez to wstydliwa jest...

Gdy to Mendel powiedział, zrobił się wielki rejwach, wszyscy zaczęli na niego krzyczeć:

— To podług ciebie skromność? to wstydliwość? Okaleczyć, mało nie zabić takie złote dziecko, takiego Fajbusia!? taką czystą duszę! Każdy rozbójnik, co ludziom w lesie drogę zastępuje, to też jest taki wstydliwy!

— Każdy wściekły pies ma taką skromność, jak twoja córka!

Mendel był bardzo zmartwiony tem nieszczęśliwem zdarzeniem, tracił już rozum, nie wiedział, co powiedzieć i jak się ratować. Nareszcie zajaśniała mu w głowie bardzo szczęśliwa myśl.

— Słuchajcie! — zawołał — wodę warzyć, będzie tylko woda, co mamy klektać napróżno — zróbmy zgodę!

— Zgodę? Jaka tu zgoda może być?

— Ile mam Jojnie zapłacić za ten przypadek?

Gdy Mendel powiedział to słowo, zrobiło się całkiem cicho. Jojna ruszał wargami, myśląc, ile można od Mendla wyciągnąć, inni żydzi czekali, co Jojna powie. Tymczasem Jojna nie wiedział, co powiedzieć. Taki prosty krawiec zna tylko miarę na kapotę, na interes nie ma dobrej miary. Bał się ciągnąć za dużo, bo miarkował, że Mendel może nie zechce się zgo-

dzić; bał się też powiedzieć za mało, żeby nie był stratny. W takim wypadku, najlepiej trochę poczekać i poradzić się kogo mądrzejszego. Jojna też tak myślał zrobić.

— Słuchajcie-no, Mendel — mówił powoli i z namysłem—wy mnie znacie, że nie jestem zawzięty. Choć miałem przyczynę być bardzo na was zagniewany, ale już wszelka złość wyszła z mego serca, jak kot z pieca, i mogę z wami mówić w sposób honorowy, jak przystoi na nas, nabożnych i sprawiedliwych żydów.

— Mądre słowo! bardzo mądre słowo!

— Więc ja wam powiem tak: chociaż wielka złość i gniew wyszły już z mego serca, ale nie jestem jeszcze tak spokojny, żebym miał z całkiem wolną głowę rozmawiać o takim ważnym i dużym interesie. I wy, Mendlu, z przeproszeniem waszego honoru, piliście dużo wina (oby wam poszło na zdrowie) i mieliście trochę zmartwienia. Lepiej tedy będzie, jeżeli damy tej sprawie czas do jutra i jutro, mając swobodniejszą myśl, ułożymy wszystkie punkta naszej zgody.

Mendel na to przystał i wszyscy rozeszli się spokojnie.

Gdy się Chana Gołda dowiedziała o tem,

co na weselu zaszło, wnet wróciło jej zdrowie. Zerwała się z wielkim impetem z łóżka, poprawiła na głowie czepek i pobiegła szukać swata Judkę, o którym można sumiennie powiedzieć, że był pierwszy swat na całe Kurzełapki, a gębę miał wygadaną, jak żadna kobieta.

Małka korzystając z zamętu, jaki się w domu zrobił, wymknęła się do pani burmistrzowej, do żony tego dobrego burmistrza...

Nie darmo rabin powiedział, że „czasem zły bywa dużo lepszy, niż dobry...“

V.

Zanim Mendel zdążył wypuścić ten wiatr zmartwienia, który mu siedział w głowie, zanim Mendlowa zdążyła porachować, ile potłuczono talerzy i ukradziono łyżek na tem kochanem weselu, już Chana Gołda rozmówiła się ze swatem i już swat siedział u Jojny i kładł mu w ucho całą furę argumentów.

Fajbuś leżał w łóżku z obwiązaną twarzą i wcale nie słuchał, o czem była mowa. Jęczał tylko, gdyż był bardzo przestraszony i zmartwiony.

— Ja wam zawsze mówiłem, Jojno — klektał swat — że Małka dla waszego syna nie będzie dobra żona. Pamiętacie wtedy, koło bóżnicy na mostku, zaraz po szabasie, co ja wam powiedziałem? No, no, widać

macie krótką pamięć. Ja mówiłem, że takiej żydóweczki, jak Bajla, naszej Chany Gołdy córka, na świecie nie znajdzie. To jest cała dusza! Dobra gospodyni, nie myśli o nowomodnych sukniach, ani o trefnych książkach, a w powszedni dzień tak wygląda, jakby tylko co z pieca wyszła. Brylant nie dziewczyna! na moje sumienie. Jojno, czy widzieliście kiedy, żeby miała uczesane włosy? albo ładny kawałek odzienia? Dość spojrzeć na jej trzewiki, żeby przekonać się, jako chodzi prostemi drogami i nie szuka ścieżek wykrętnych, a wiecie wy, jaka ona gospodyni? Ona za waszym Fajbusiem będzie stała jak mur, ona z jednego grosza zrobić pięć, bo taką już naturę ma. Pomyślcie-no, Jojno, coby to było za szczęście, żeby się Fajbuś z nią ożenił.

Jojna podrapał się w brodę i ruszył ramionami.

— Z przeproszeniem waszego honoru, — rzekł — mój Judka, ale powiadacie sami nie wiecie co, jedno z drugiem wcalo się nie trzyma.

— Dla czego nie ma się trzymać?

— Naprzód, że tak jak dziś chwalicie

Bajlę Chany Gołdy, chwaliliście niedawno Małkę Mendla.

— Oj, Jojna, Jojna! Czy jak wam się trafi zrobić zakrótkie rękawy u kapoty, wy będziecie mówili kundmanowi, że one są krótkie? Czy jak zrobicie za długi stan, będziecie wmawiali w kundmana, że ten stan naprawdę jest zadługi. Co to za gadanie! Ja chwaliłem Małkę, bo na to ja jestem swat, bo mi Mendel dobrze zapłacił — ale pytajcie się, gdzie wtenczas była moja dusza? Moja dusza była u Chany Gołdy. Powiem wam więcej, że gdy Małkę chwaliłem, to o Bajli myślałem, bo inaczej żadne pochlebne słowo nie mogłoby mi przyjść do głowy.

— No, no...

— Nie dziwcie się, każdy człowiek ma swój fach i podług tego fachu musi interesa prowadzić. Słuchajno, Jojna: Małka żeby nie była waryatka, to możnaby o niej powiedzieć, że jest pikies fajn dziewczyna; — a o Bajli można powiedzieć, że jest pikies fajn dziewczyna i wcale nie waryatka, ale nabożna, porządna żydóweczka. Daj Boże, żeby wszystkie nasze córki były takie. Ha?

— Po co wy mnie to wszystko powiadacie?

— Powoli, czekajcie, już prędko przyjdziemy do skutku, powiedzcie-no, Jojna, tak naprawdę, na wasze sumienie, ile wam dał Mendel pieniędzy?

— Co on mi dał? Wcale nie dużo, jedne sto rubli.

— Co to jest sto rubli?

— To jest dziesięć razy dziesięć rubli, alboż wam nie wiadomo — a teraz za tę przykrość, za awanturę, co była na weselu, to ja myślę, że powinien mi dać przyjnajmniej pięćdziesiąt rubli, to będzie razem sto pięćdziesiąt.

— No, no — a Chana Gołda mogłaby wam odrazu, gotówką, dla was... słyszycie, Jojna, dla was samych, dać całe trzysta rubli...

— Dziwno mi bardzo, mój Judka, że lubicie kogo częstować orzechem, wiedząc, że ten ktoś zębów nie ma.

— Jak mam wasze słowa rozumieć?

— Tak jak mówię.

— Ja nie wiem.

— Powiedzcie mi, czyście tu przyszli jak swat od Chany Gołdy i jej męża?

— Jak swat, dlaczego nie miałbym przyjść jak swat?

— Osobliwy z was swat, że chcecie żonatych ludzi swatać. Przecież wiadomo, że mój Fajbuś ma żonę. Niech dyabli wezmą taką kochaną żoneczkę, ale tymczasem, to jest jego żoneczka...

— Aj, Jojno, Jojno, posłuchajcie mnie tylko. Zgódźcie się z Chaną Gołdą i jej mężem, weźcie to, co oni wam dają — a jutro rano już Małka nie będzie Fajbusia żona... Słyszycie? Zrozumiejcie, że to jest dobry interes. Kochany Fajbuś nie będzie miał więcej siniaków i dostanie żonę, jak się należy, wy weźmiecie pieniądze od Chany Gołdy, a to, coście dostali od Mendla, także powinno do waszej ręki przyschnąć, bo to sprawiedliwie wasze jest. Wyście obiecali syna ożenić z Małką i ożeniliście — a że się młodzi po weselu rozeszli, to nie wasza wina. Przeciwnie, to Mendel winien, że córkę na waryatkę wychował. No, powiedzcie, Jojna, czy ja nie prawdę mówię? czy nie mam racyi?

Jojna bardzo się zamyślił.

— No — rzekł — ale czy ona zechce przyjąć rozwód?

— Małka?

— Tak.

— O to niech was głowa nie boli. Znajdą się dwa żydki, co jej doręczą. Weźcie sobie to do głowy, Jojna, ja wam powiadam.

Jojna zaczął brać do głowy po krawiecku, musiał w myśl cały ten interes skroić, fastrygować i zczepić do kupy, zwyczajnie jak krawiec, co nie ma wcale wprawy do prędkiego myślenia. Tymczasem Judka już był za drzwiami, a za dziesięć minut przyprowadził Chanę Gołdę z mężem.

Mendel spał i nie domyślał się wcale, co się dzieje u Jojny, a tymczasem Judka dobrze się kręcił, gadał, klektał, tłomaczył, psuł sobie język, potem latał po mieście jak ptak, był u całej starszyzny i wszystko zrobił, jak się należy.

Nazajutrz rano Małka szła do magistratu, jak zawsze, a skoro wyszła na boczną uliczkę, gdzie mało ludzi chodziło, zaszedł jej drogę Judka z drugim żydkiem, Berkiem.

— Dzień dobry, Małciu!—rzekł Judka.

— Dobry rok wam.

— Twój mąż tobie przysyła ukłon.

— Niech jemu oko wypłynie!

— Za co masz do niego taką złość? On chce ciebie przeprosić.

— Żeby nogę złamał!

— Fe, Małciu, fe! ty go przeklinasz, rzucasz na niego brzydkiem słowem, a on tobie przysyła podarunek.

— Nie chcę jego podarunków...

— Bardzo ładna, jedwabna chusteczka, patrzajno! Czy widziałaś, żeby kto w mieście miał taką chusteczkę? Weźno, Małciu, do ręki, zobacz, jaki to jedwab! Na moje sumienie, to jest francuski jedwab. Nie myśl, że warszawski, — to zagraniczny jedwab. Zobacz, weź do ręki, jaki to mięciutki...

Małka schowała obie ręce pod fartuch i zaczęła się śmiać.

— Słuchajcie-no, Judka — zapytała — ile dostaliście za to, żeby mi dać do ręki tę chusteczkę i to, co w niej jest?

— Co ma w niej być? w niej nic niema!

— Czy wy myślicie, że ja taka głupia? że ja nie wiem, że chcecie, żebym od was wzięła rozwód?

Judka nie wiedział, co mówić.

— No, no, gadajcie prawdę, wy mądre, wy nabożne żydki, ileście za to dostali?

— Co mieliśmy dostać?

— Nie zapierajcie się, ja wiem, że wy za pieniądze zanieślibyście własne dusze dyabłu. Nieprawda? Dajcie ten rozwód, ja go wezmę. Przehandlujcie waszego kochanego Fajbusia innej żydówce.

Judka wyjął papier z chusteczki. Małka znowuż cofnęła ręce.

— Dlaczego nie bierzesz?

— A gdzie jedwabna francuska chusteczka, dlaczego schowaliście ją do kieszeni?

— Mówiłaś przecie, że chcesz wziąć rozwód, no, a rozwód nie jest chusteczka, tylko rozwód.

— Przydałaby się dla waszej córki...

— Dlaczego nie?

— Dla mnie też się przyda. Dawajcie z chusteczką, dość zarobiliście na mnie.

Judka zawinął papier w chusteczkę i podał, Małka wzięła.

— Będę miała pamiątkę po kochanym Fajbusiu, powiedzcie mu, że pantofel...

— Tfy! —krzyknął Judka — co ja mu mam powiadać. Czy kto widział kiedy taką bezczelność?

Na papierze, który Judka Małce doręczył, były napisane takie słowa:

„Trzeciego dnia w tygodniu, drugiega dnia miesiąca Elul, pięć tysięcy sześćset trzydziestego szóstego roku od stworzenia świata, podług ery, jaką tu liczymy w Kurzełapkies, zwane Kurzełapki, mieście położonem nad rzeką Trockene Teich, nazwaną Sucha Rzieka i nad wodami źródlanemi, Ja, Fajbuś, syn Jojny, dziś obecny tu w Kurzełapkies, zwanem Kurzełapki, nad rzeką Trockene Teich, nazwaną Sucha Rzieka i nad wodami źródlanemi, chcę dobrowolnie, bez przymusu, rozwieść, uwolnić i opuścić ciebie. Idź sobie ty, żono moja, Małko, córko Mendla, obecna dziś w Kurzełapkies, zwanem Kurzełapki, mieście położonem nad rzeką Trockene Teich, zwaną Sucha Rzieka i nad wodami źródlanemi, którą z własnej woli bez przymusu, uwalniam, opuszczam, rozwodzę. Byłaś żoną moją niegdyś a obecnie uwalniam, opuszczam i rozwodzę cię, abyś była wolną dla każdego i mogła rozporządzać swoją osobą i być zaślubioną mężowi, któregokolwiek zechcesz, a nikt nie może ci zabronić, gdyż od dnia dzisiejszego na zawsze dla każdego wolną jesteś, a to niech będzie odemnie listem rozwodowym, pismem uwolnienia, aktem rozłączenia".

Nie jest to wielki honor dla żydówki dostać kawałek takiego paszportu, ale Małka tyle się znała na żydowskim honorze, co koza na propinacyi!

Zamiast smucić się i płakać, pobiegła pochwalić się przed burmistrzową.

Tej samej nocy, na wielkie zmartwienie Mendla i Mendlowej, na urągowisko Chany Gołdy, która ogromnie w pychę urosła, na wstyd dla całego miasta, Małka uciekła. Uciekł też w tydzień później i pisarz z magistratu, a wszystko to się stało przy pomocy burmistrza, tego burmistrza, którego żydki chwalili, że taki dobry jest!

Później, po roku, przyszła wiadomość, że Małka ochrzciła się, wyszła za mąż za pisarza i mieszka w Warszawie.

Ładne czasy!

. . . . . .

Tej nocy, podczas której Małka uciekła była straszna burza.

Najodważniejszy mąż w całych Kurzychłapkach nie ośmielił się wytknąć głowy z pod pierzyny, kozy beczały w sieniach, koty chowały się za piec, piorun uderzał za piorunem, a błyskawice, oby wrogowie nasi widzieli takie jasności, — prawie nie ustawały.

Potem puścił się deszcz z gradem i ze dwie godziny tłukł dziurawe dachy i robił strzelanie po szybach jak, chowaj Boże, na wojnie.

Dopiero nad ranem zrobiło się cicho i w górze pokazał się kawałek nieba, a po wschodzie słońca nastała najpiękniejsza pogoda.

Sprawiedliwej i błogiej pamięci Boruch Bajgel, odmówiwszy swoje pacierze poranne, udał się za miasto, jak zwykle w stronę wschodnią, aby popatrzeć na próchniejący słup i kiwać głową nad zepsuciem świata. Próżno Buruch wytężał źrenice swoich oczu, nie mógł dostrzedz słupa, dopiero gdy przyszedł na miejsce, przekonał się, że słup już nie stał. Leżał na ziemi, jak człowiek nieżywy, leżał w błocie... Spróchniały na szczęt od dołu, nie wytrzymał naporu burzy i wiatru i powalił się na ziemię.

Boruch patrzył na to smutnie i kiwał głową, mocno kiwał, bo było czego.

W upadku słupa dopatrywał pewnego podobieństwa do upadku Kurzychłapek, tego nabożnego, kochanego miasteczka.

Wtenczas Boruch otworzył serce swoje przedemną i wylał całą rzekę żalu, i bia-

dał i mówił, że to dopiero początek — a ja łowiłem drobne krople z tej rzeki i wlewałem je do flaszki pamięci, żeby potem niegodnem piórem uczynić ten oto fragment...

Kiedy przyszła wiadomość, że Małka się ochrzciła, tego samego dnia, a raczej tej samej nocy, słup ktoś ukradł i, wedle wszelkiego prawpopodobieństwa, spalił go w piecu.

Boruch już nie kiwał głową nad tym faktem, ponieważ wówczas już dni jego nabożnego i sprawiedliwego życia były skończone.

Słowa jego sprawdziły się w zupełności.

Na miejscu, gdzie niegdyś stał, a potem leżał słup, jest stacya kolei żelaznej.

Dyabelski wóz przywozi codzień różne nowości; stara moda i stara nabożność znika; w Kurzychłapkach nie znajdzie nawet pary porządnych pejsów, a żydówki, choć nie mają co jeść, noszą suknie modnym krojem zrobione.

Są już nawet mężatki, które mają bezczelność nosić własne włosy na głowie, oby je za to kolka spotkała.

Jak budowla na mocnym filarze, cały honor Kurzychłapek opiera się jeszcze na Fajbusiu.

To złote, kochane dziecko, nie przesta-

je siedzieć nad mądremi księgami, nie chce wcale znać świata, a gdy Bajla zawoła go do jedzenia, to podnosi głowę i patrzy na nią tak, jak człowiek, który dopiero co spał spaniem mocnem, a nagle ktoś w samo ucho krzyknął mu: „fajer!"

To jest cały brylant Kurzychłapek.

Mendel, zawstydzony z ucieczki Małki, przeniósł się do innego miasteczka o kilkadziesiąt mil; dobrego burmistrza, oby wrogowie nasi poznali taką dobroć!.. przeniesiono nie wiadomo gdzie. Jojna, krawiec, po dawnemu szyje kapoty i pyszni się synem, a natchniony poeta Pinkus Steinerkopf spoczywa już w domu wiecznym, obok sprawiedliwej pamięci Borucha Bajgela (oby obadwaj używali szczęścia raju).

Owóż i koniec fragmentu, który napisany jest akurat według żywych słów wielkich dwóch wyżej wymienionych nabożników i mędrców.

Stawiam ostatnie litery w przekonaniu, że studnia pobłażliwowości ludzkiej nie ma dna, tudzież, że grzech fuszerstwa powszechniejszy jest na tym świecie, aniżeli cnoty i zasługi porządnych majstrów.

KONIEC.

DZIECI PANA RADCY.

(OBRAZEK Z ŻYCIA MIEJSKIEGO).

I.

Na pierwszem piętrze okazałego domu, przy jednej z najbogatszych i najludniejszych ulic Warszawy, we wszystkich prawie oknach zapuszczone były story.

Na bruku ulicznym, przed domem, rozesłano grubą warstwę słomy, w której gubił się turkot przejeżdżających wozów i dorożek.

Po kilka razy na dzień, przed bramą zatrzymywały się karety, należące do najpierwszych znakomitości medycznych w kraju. Zaraz po takiej wizycie, ktoś ze służby biegł do apteki, a po chwili powracał ztamtąd, niosąc świeży transport flaszek i pudełek.

Od czasu do czasu przyjeżdżali lub przychodzili znajomi; bez szelestu, po marmurowych, dywanem wysłanych schodach,

wchodzili na piętro, zatrzymywali się tam przez chwilę, szeptali z domownikami i odchodzili kiwając smutnie głowami:

Agenci rywalizujących z sobą przedsiębiorstw pogrzebowych, skradali się przez tylne schody, wyczekiwali w bramie, usiłowali zawiązać znajomości ze służbą, w przewidywaniu korzystnej prowizyi.

W dużem mieście tak bywa. Cios dla jednych, jest źródłem zarobku dla drugich, a chciwość, lub głód może, nawet łzy i żałobę chętnie wyzyskuje.

W bramach sąsiednich domów i naprzeciwko, kucharki opowiadały sobie bardzo ciekawe szczegóły o bogatym panu, o skarbach, jakie po nim zostaną, o pełnej szafie pieniędzy, workach brylantów, — a wąsaty stróż sparł się na miotle, słuchał, kiwał głową, może nawet zazdrościł przez chwilę „bogaczowi," ale wnet przyszła refleksya. Machnął ręką, splunął, a mruknąwszy: „ta i cóż mu to pomoże?" znowu zaczął zamiatać ulicę...

Wieść o niebezpiecznej chorobie radcy Lubicza, rozeszła się szybko w kole znajomych i przyjaciół, których liczył bardzo wielu.

Trzeba też wiedzieć, co to był za czło-

wiek ten pan Józef Kalasanty Lubicz i jakiej używał opinii. Zajmując dość wysokie stanowisko społeczne, mając niezwykle rozległe stosunki, niejednemu chętnie przychodził z pomocą.

Dom Lubiczowie prowadzili wystawnie, po pańsku nawet, co tydzień w salonach ich zbierało się liczne a doborowe towarzystwo, w karnawale wyprawiali kilka hucznych balów, co rok niemal wyjeżdżali za granicę, dzieci kształcili bardzo starannie, a ponieważ wystarczało im na to wszystko, przeto mieli opinię ludzi zamożnych, nawet bogatych.

Pani Lubiczowa była trochę dumna i wyniosła, przyzwyczajona do wygodnego życia, niewiele sama zajmowała się sprawami domowemi i wychowaniem dzieci.

W pierwszych wyręczała ją uboga kuzynka, stara panna, w drugiem guwernantki i nauczyciele.

Do południa zwykle nie była widzialna, zamknięta w swoim buduarze, spała, czytała powieści, a może też pracowała nad podtrzymywaniem śladów świetnej niegdyś piękności, śladów, których nawet lata zupełnie zatrzeć nie mogły.

O południu dopiero zjawiała się w sa-

lonie, rzuciła okiem, czy nie znajdzie zganić za co lokaja lub pokojówkę, zapytała kuzynki Justysi, co będzie na obiad, chwilkę porozmawiała z dziećmi i, albo wyjeżdżała sama na wizyty, albo też przyjmowała u siebie.

Radca inny znowuż tryb życia prowadził; przed dziesiątą wychodził do biura, zkąd dopiero o czwartej wracał na obiad. Po obiedzie spał godzinę lub dwie, po herbacie na partyjkę szedł, a w nocy zawsze jeszcze kilka godzin przy biurku przepędzał, tak, że go świt częstokroć przy pracy zastawał.

Dzieci było troje: dwie córki i syn. Najstarsza, panna Janina, zaledwie jej długą sukienkę włożono, zaraz poszła za mąż i opuściła dom rodzicielski. Trafił się młody, świeżo z instytutu wypuszczony inżynier, z wielkiemi nadziejami na przyszłość, ładnym wąsikiem, ale bez żadnego stanowiska i funduszu. Ożeniwszy się z panną Janiną, stanowisko wnet znalazł, a funduszów spodziewał się po najdłuższem życiu rodziców żony. Teść wyrobił mu korzystną posadę na kolei i państwo młodzi zamieszkali na prowincyi.

Widocznie nieźle im się tam działo, bo

pani Janina z każdym rokiem wyglądała okazalej, on zaś roztył się zupełnie, grywał świetnie w wista i nabrał tej pewności siebie i dumy, jaką, z małemi wyjątkami, odznaczają się prawie wszyscy dygnitarze prowincyonalni.

Zresztą był to człowiek średnich zdolności, rozumienia zaś o sobie wielkiego. Na otaczający go światek patrzył z wysoka, cierpienia i bóle ogólne nie obchodziły go całkiem, zbierał grosz do grosza, kupował listy zastawne i miał to głębokie przeświadczenie, że cały świat o nim tylko myśli i na niego ma oczy zwrócone.

Drugiem z kolei dzieckiem państwa Lubiczów był pan Czesław. W chwili, w której radca zachorował śmiertelnie, Czesław był na drugim kursie uniwersytetu, gdzie studyował nauki przyrodnicze. Do pracy przykładał się pilnie; wieczorami, chociaż w domu zbierali się goście, on zamykał się w swoim pokoju nad książką.

Najmłodsza ośmnastoletnia córka, Stasia, niedawno ukończyła edukacyę i została zainstalowana przez matkę, jako „panna na wydaniu". Pani radczyni zawiozła ją na jeden i drugi bal do resursy, wydała świetny wieczór u siebie, wnet piękna Stasia

otoczona została licznem gronem konkurentów i, nie namyślając się długo, zrobiła wybór.

Od dwóch miesięcy, na rączce jej błyszczał brylantowy pierścionek od narzeczonego.

Przez trzy, czy przez cztery dni, rozesłana słoma leżała na ulicy, zabłocone kopyta koni i koła powozów poczerniły ją, pocięły na sieczkę...

Pewnego dnia, wieczorem już późnym, gdy gaz zapalono w latarniach, nagle rolety na pierwszem piętrze podniesiono, dwa okna na oścież otwarto i, z ulicy dojrzeć było można, sześć czy ośm zapalonych świec, których blade płomyki chwiały się pod tchnieniem wiatru wpadającego ze dworu.

Przebieglejszy z rywalizujących agentów, który zdołał zaraz do przedpokoju się dostać, wybiegł po chwili z uśmiechem tryumfu na ustach i, rzuciwszy na współzawodnika pełne sarkazmu spojrzenie, wskoczył w przejeżdżającą dorożkę i popędził do pryncypała, W pół godziny później, na ulicy nie było już ani źdźiebełka słomy, gwar i turkot rozlegał się jak zwykle, życie miejskie wrzało w całej pełni, a tam, na pierwszem piętrze, głuchy już na to wszyst-

ko człowiek, spoczywał snem wiecznym, nieprzespanym.

W sąsiednich pokojach rozlegał się płacz kobiet, a student, blady, to chodził po pokoju w zadumaniu, to zbliżał się do okna i czoło do chłodnej szyby przykładał.

Nie mówił nic do płaczących, nie pocieszał! sam tak był przygnębiony tą ciężką, aczkolwiek od kilku dni przewidzianą katastrofą, że z trudnością łzy cisnące się do oczu powstrzymywał. Może wolałby biedny chłopiec usiąść gdzie w ukryciu i puścić wodze łzom żalu po ojcu, którego szczerze kochał, ale w obec kobiet, w domu, gdzie wszyscy płaczą i wszyscy głowy potracili, trzeba było kogoś przytomnego koniecznie.

Rozumiał to Czesław i usiłował panować nad sobą. Kobiety zebrały się w jedną grupę.

Matka, od godziny dopiero wdowa, blada, ze śladami cierpień i zmęczenia na twarzy, śladami świadczącemi o nocach spędzonych bezsennie, siedziała w wysokim fotelu z głową o poręcz opartą. Po twarzy jej spływały ciężkie, grube łzy, a z piersi dobywały się głośne jęki i łkania. Obok, klęcząc przy kolanach matki, panna Stanisła-

wa zanosiła się od płaczu, a dalej nieco stała przerażona kuzynka, usiłując perswadować, pocieszać.

Po jakiejś chwili, Czesław rzekł, matkę w rękę całując:

— Mamo kochana, dość płaczu. Cóż to pomoże? Ojciec nie usłyszy już naszych westchnień, nie wstanie.

Nowy, gwałtowniejszy jeszcze wybuch żalu był odpowiedzią na to.

— Matko! matko — powtórzył z odcieniem łagodnego wyrzutu w głosie—naradźmy się, trzeba pomyśleć o oddaniu mu ostatniej posługi.

— Mój Czesławie — odrzekła tłumiąc łkanie z trudnością — czy ja mam głowę do tego? Mężczyzną jesteś, myśl, rządź, rób co za potrzebne uważasz. Tyś silniejszy, tyś młodszy, a mnie... mnie serce pęka...

— Tak, tak braciszku, wtrąciła panna Stanisława, tyś silniejszy. Zajmij się, pan Kazimierz dopomoże ci... — szepnęła! Czy go tu niema jeszcze? Czy nikt nie dał mu znać o naszem nieszczęściu?

Czesław ramionami wzruszył.

— Twój pan Kazimierz — rzekł — nie pokazywał się tu już od dwóch dni. Zdaje mi się, że on nie znosi smutnych widoków.

— A nie! nie! mylisz się mój Czesiu. Onby nas nie opuścił w takiem nieszczęściu. On przyjdzie.

— Jeżeli nie jest w teatrze — szepnął.

— Coś ty powiedział, Czesiu?

— Nic, powiedziałem tylko, że pana Kazimierza tu nie ma, a ponieważ go nie ma, więc się obejdziemy bez niego. Przecież nie sposób, żebym chodził go szukać. Zresztą, myślmy przedewszystkiem o naszem nieszczęściu.

To mówiąc, wskazał ręką na pokój, w którym leżały zwłoki ojca.

— Mateczko—zapytał nieśmiało—czy ojciec nie wydał jakich rozporządzeń przed śmiercią, czy nie wyjawił swojej ostatniej woli?

— Ja nie wiem moje dziecko, ja o niczem nie wiem, odpowiedziała z płaczem. Dopóki był zdrów, nie mówiłam z nim nigdy o tego rodzaju kwestyach, a potem, gdy zasłabł tak niespodziewanie i nagle, odrazu stracił przytomność i więcej już jej nie odzyskał. Co ja mogę wiedzieć, moje dziecko, jestem jak oszalała, jak ogłuszona tem nieszczęściem... Boże! Boże, czyż będę mogła przeżyć taki cios?

Znowu nastała chwila milczenia, przerywana wybuchami spazmatycznego płaczu.

— Mateczko — odezwał się Czesław— wartoby jednak poszukać, a przytem trzeba pieniędzy na różne wydatki. Może mateczka da trochę, ja się z każdego grosza wyliczę.

— Czesławie — rzekła z wyrzutem — ja myśli zebrać nie mogę, a ty mnie o pieniądze męczysz. Daj mi się wypłakać przynajmniej. Masz tu kluczyki od gabinetu i od biurka ojca. Idź, otwórz i poszukaj, a potem pochowajcie go! albo nie! pochowajcie i jego i mnie! ja już nie nie mam po co żyć...

Panna Justyna, uboga kuzynka, pochyliła się do kolan ciotki, pocieszać i perswadować zaczęła.

— Stasiu —rzekł Czesław do siostry— chodź i ty ze mną, Justysia przy matce zostanie. Chodź, chodź, nie ociągaj się, poszukamy.

Panna Stanisława wstała, wzięła ze stołu kandelabr z zapalonemi świecami i w milczeniu udała się za bratem.

Gabinet ojca był w oczach dzieci pewnego rodzaju sanctuarium. Żadne z nich nie wchodziło tam nigdy prawie, chyba wy-

jątkowo, gdy radca sam zawezwał. Brat i siostra nie bez pewnej trwogi przestąpili próg gabinetu. Lufcik był otwarty, prąd wiatru poruszył płomienie świec w kandelabrach i po ścianach, sztychach, meblach, po kilku pięknych rzeźbach ozdabiających pokój, zamigotały cienie jakieś, chwiejące się, niepewne. Zdawało się, że w tym gabinecie unosi się jeszcze duch zmarłego, że gniewa się na tych, którzy mu spokój naruszają.

Panna Stanisława blada i drżąca, czuła, że ją siły opuszczają; nie śmiejąc usiąść postawiła kandelabr na biurku i oparła się o ścianę.

Czesław do biurka przystąpił.

Klucz zgrzytnął nieprzyjemnie w zamku, młody człowiek otworzył szufladę.

Było w niej pełno papierów, rozmaitych świstków, notatek. W drugiej, trzeciej, czwartej to samo. Listy, papiery zapisane mnóstwem cyfr, rachunki od kupców, recepty, powinszowania od dzieci z przed lat wielu, cenzurki szkolne, akta urzędowe...

W ostatniej dopiero szufladzie znalazł się pugilares skórzany i kilka sztuk dawnych monet, numizmatów.

Czesław pozamykał szuflady i rzekł do siostry:

— Stasiu, zdaje się, że znaleźliśmy co potrzeba. Nie otwieram tego pugilaresu, nie patrzę co w nim jest, odniesiemy go matce! Patrz, że pozamykałem szuflady, że wszystko nietknięte zostało. Patrz, Stasiu...

— Dlaczego każesz mi patrzeć? czy jakich posądzeń się lękasz? Któżby śmiał?...

— Albo ja wiem, moja droga, coś mi szepcze, że ta ostrożność jest konieczna.

— Między rodzeństwem! cóż ty mówisz?!

— Nie wiem, nie wiem moja droga — rzekł obejmując ją i całując w czoło—moja ty biedna sieroto.

Dziewczyna wybuchnęła głośnym płaczem.

— Chodźmy do mamy, Stasiu — odezwał się znowu — otrzyj oczy... panuj nad sobą.

Zamknął gabinet i powrócili do matki.

— Oto cośmy znaleźli ze Stasią—rzekł podając pugilares matce.

— Zobacz co tam jest?

— Tu — odpowiedział — jest banknot sturublowy i kilkanaście rubli drobniejszemi.

Spłakana kobieta zdawała się nie słyszeć tej odpowiedzi.

Trzy dni upłynęło, trzy dni bardzo ciężkich i smutnych. Zmarły spoczął w grobie rodzinnym, na Powązkach, w domu przywdziano żałobę.

Starsza córka z mężem przyjechała na pogrzeb, i ona bardzo boleśnie uczuła stratę ojca.

Była dziesiąta rano.

Cała rodzina zgromadziła się w jadalnym pokoju przy herbacie; stół zastawiony był wykwintną porcelaną, przy samowarze krzątała się Justysia, przez otwarte drzwi widać było wnętrze sąsiedniego salonu.

Dzień był piękny, słoneczny, potoki światła wpadały przez okno, a przy tej jasności słonecznej, można było spostrzedz, że meble, które tak świetnie podczas wieczornych przyjęć wyglądały, były już mocno zniszczone, dywany spłowiałe, bronzy poczerniałe bardzo. Błyszcząca nędza patrzyła z kątów wszystkich i zdawała się urągać pozorom.

Wszyscy milczeli. Zięć, prowincyonalny dygnitarz, delektował się cygarem i popijał harbatę.

Gdy skończył, odchrząknął kilkakro-

tnie i rzekł z wielką powagą, jakby ważąc każdy wyraz.

— Pani matko szanowna, umarli niech spoczywają w spokoju, żywi zaś muszą się sprawami życia zajmować; płakaliśmy przez trzy dni, a teraz pomyślmy o sobie. Ostatecznie, nie licząc matki, jestem tu najstarszy i, jak sądzę, moje zdanie...

Nie dokończył, gdyż w przedpokoju odezwał się dzwonek.

Czesław pobiegł otworzyć i wprowadził jakiegoś jegomościa o wybitnych rysach wschodnich, ubranego dość pretensyonalnie, z grubym złotym łańcuchem u zegarka.

— Ten pan pragnie się z mamą widzieć — rzekł Czesław.

Matka obejrzała się.

— Ah! to pan Fichtencwajg.

— Fichtencwajg! tak, Izydor Fichtencwajg—rzekł kłaniając się. Takie nieszczęście! Pani radczyni nie dałaby wiary, z jaką bolesnością ja się dowiedziałem o tem. Ktoby się spodziewał? no, no! Tyle lat znałem pana radcego, tyle lat handlowałem z nim...

— Handlowałeś pan? podchwycił zięć, w jaki sposób, jeżeli wiedzieć wolno?

— W jaki sposób? Ha... pan inżynier mnie nie zna, ale ja pana dobrze znam.

— Być może, to wszakże nie objaśnia, jakiego rodzaju handel prowadziłeś pan z moim nieboszczykiem teściem.

— Jakiego rodzaju? Cała Warszawa wie, jakiego rodzaju handel prowadzi Izydor Fichtencwajg. Z nieboszczykiem panem radcą łączyły nas stosunki przyjaźni. On był mój przyjaciel, ja byłem jego przyjaciel, a gdzie w potrzebie pójść, jak nie do przyjaciela?

— Aha, mamy tedy i dłużki — szepnął pan inżynier do żony — dobrze się zaczyna! Panie Fichtenberg! — rzekł głośno.

— Przepraszam, Fichtencwajg! Izydor Fichtencwajg .. moje nazwisko jest tu bardzo znane.

— Tedy, panie Fichtencwajg, z okazyi owych przyjacielskich usług, pozostały zapewne jakieś rachuneczki.

— Bagatelka! Myśli pan, że ja po to przyszedłem? Ja przyszedłem odwiedzić państwa, zapytać o zdrowie po takiem ciężkiem zmartwieniu.

— Dziękujemy za pamięć, ale ponieważ właśnie mieliśmy mówić o interesach

z matką, więc nie od rzeczy będzie wiedzieć, ile ten rachunek wynosi?

— Bagatelka! całkiem mała rzecz.

— Ależ ile?

— Cała prawda... tysiąc dwieście rubelków...

— I to pan nazywasz bagatelką!

— A jak mam inaczej nazywać?...

— Panie Fichtencwajg, za pozwoleniem. Twierdzisz pan, że znałeś dawno mego nieboszczyka teścia?

— Mało dwadzieścia lat... może więcej·

— Przypuszczam tedy, że i stan jego interesów nie jest panu obcy. Zresztą, wy, starozakonni, macie doskonałe wiadomości o takich rzeczach.

Fichtencwajg uśmiechnął się.

— Dla czego my mamy nie mieć doskonałych wiadomości?—zapytał—przecież to nasz fach.

— A więc powiedz mi, czy oprócz pana, jeszcze kto posiada rewersy ojca.

— Kto ma posiadać? Pan radca handlował tylko ze mną, a jak mnie brakło czasem pieniędzy, bo czasem może się przytrafić takie zdarzenie, to szwagier mój... Rosenwajn, pan zapewne zna pana Rosen-

wajn? więc pan Rosenwajn zastępował mnie niekiedy...

— Naturalnie i jemu także się coś należy.

— Ah! głupstwo... ktoby o takiej bagatelce wspominał. Pan inżynier myśli, że my jesteśmy ludzie bez serca, że my, w takiem nieszczęściu, będziemy upominać się? naprzykrzać? Pfe! kto to słyszał? Kto takie paskudne pomyślenia by miał?... My, to jest ja i pan Rosenwajn, mój szwagier, będziemy czekali choćby rok cały... tylko...

— Co takiego?

— Tylko mała rzecz... pan inżynier niech położy godny swój podpis na wekslu...

Pan inżynier na matkę spojrzał.

— Czy mama — zapytał — wiedziała o tych długach?

— Nic a nic.

— Aj, aj, wtrącił Fichtenewajg, co pani miała wiedzieć? Nieboszczyk był taki delikatny, żeby jednem słowem nie chciał i nie śmiał pani zmartwić.

— Jeszcze jedno pytanie, rzekł inżynier, co się też dzieje z sumą, którą mama dostała po ciotce?

— Nie wiem, podobno ulokowana jest.

— To ja wiem także, wtrącił Fichten-

cwajg, jest nie wielka suma, całkiem dziesięć tysięcy.

— Dobrze umieszczona?

— Ja to nie powiem... Ona, mnie się zdaje, spadnie.

Inżynier zaczął bębnić palcami po stole; przez jakiś czas milczenie przykre trwało.

Fichtencwajg rozglądał się po pokoju i, okiem znawcy, każdy najdrobniejszy nawet przedmiot oceniał.

— Panie Fichtencwajg — odezwał się nareszcie inżynier — właśnie dziś chcemy papiery po ojcu rozpatrzyć, zgłoś się pan za parę dni. Ja tu jeszcze będę.

— Ah! z całą przyjemnością... Słowo pana inżyniera warte jest tysiące, a podpis... ha! ha! co ten podpis wart!... Moje uszanowanie państwu, moje uszanowanie, proszę pamiętać, co Fichtencwajg jest najżyczliwszy przyjaciel.

Z temi słowy żyd, kłaniając się nizko, wyszedł.

Otyły pan inżynier wielkiemi krokami zaczął po pokoju chodzić, w zamyśleniu targał się za brodę, mówiąc półgłosem:

— Zwaryował żyd! jeszcze podpisywać mi każe! nabrałem tyle majątków! posagów! Zwaryował!

— Mamo—rzekł—trzeba jednak zrobić jakiś porządek z tem wszystkiem.

— Owszem, mój Adolfie, proszę cię... masz oto klucze, idź, szukaj, przepatruj.

— Mama pójdzie ze mną?

— Nie, idź sam, proszę cię... zresztą może ci Czesio pomoże.

— Nie, mamo, ja na lekcyę śpieszę.

— Więc Janinka, Stasia...

Pani Adolfowa poszła powoli za mężem do gabinetu nieboszczyka. Stasia zaś stanęła przy oknie z wyrazem żalu w oczach i nieopisanej tęsknoty. Patrzyła na przejeżdżające powozy i dorożki, na ludzi śpieszących w różne strony, ale tego, którego widzieć pragnęła, nie było między nimi.

Dzwonek w przedpokoju milczał. Z licznych znajomych, z gości, którzy niedawno jeszcze dom ten odwiedzali, nikt nie zajrzał, nie przyszedł... Ten, który potrzebny był ludziom dla protekcyi i stosunków, w grobie już spoczął, więc też i przyczyna czułości ustała.

Pan inżynier do samego wieczora przeglądał papiery po teściu. Robił to z wielką skrupulatnością, przeszukiwał, czytał, najmniejszego papierka nie ominął.

Od czasu do czasu zrobił jakąś sarkastyczną uwagę, która w oczach towarzyszącej mu żony wywoływała łzy.

Skończywszy przeglądanie papierów, pan inżynier przeszedł do salonu, w którym znajdowała się już cała rodzina. Matka do najwyższego stopnia zgnębiona, nieprzytomna prawie, siedziała w fotelu, obok niej na krzesełku Stasia. Czesław stał przy oknie.

— No, moi państwo—odezwał się pan inżynier—przegląd skończony i bilans na poczekaniu zrobiłem... Stan czynny nie wiele wart.—Oprócz tych gratów, które tu widzimy, a które, prawdę powiedziawszy, nic nie są warte, oprócz sumy hypotecznej pani matki, sumy, która ściśle biorąc, jest fikcyą... niema nic. Stan bierny, przedstawił nam rano... ten pan... jakże go tam?! ten mieniący się przyjacielem rodziny... pan Fichtencwajg. Jesteście ubodzy, w całem znaczeniu tego wyrazu!

— Przecież mamy ciebie, Adolfie — odezwała się matka.

— Zapewne, zapewne... ale przedewszystkiem, mama będzie miała emeryturę... jaką, to nie wiem, ale będzie... Stasia podobno wychodzi za mąż, a pan Czesław...

Czesław, który nigdy nie sympatyzował ze szwagrem, przerwał dość ostro:

— Pan Czesław —rzekł — potrafi myśleć o sobie, a w razie potrzeby i o innych.

— Ślicznie, bardzo ślicznie!... ale jest to, właściwie mówiąc, deklamacya, która chleba nie da i, gdyby pan Czesław nie ufał zbytecznie swoim własnym siłom, a wobec starszych zachowywać się umiał z właściwym taktem...

— To co?

— To, przy protekcyi starszych — rzekł z naciskiem—przy poparciu osób mających jakie takie znaczenie, mógłby na początek otrzymać jakąś skromną posadkę na drodze żelaznej i...

— Dziękuję za łaskę starszym i osobom mającym jakie takie znaczenie... moja droga inna jest.

— Ah, naturalnie—naturalnie! — nikt się nie narzuca—odpowiedział pan inżynier. Ja szedłem przez całe życie przebojem... dorabiałem się krwawą pracą...

— I niekrwawą protekcyą ojca — dorzucił Czesław.

— Czesiu! Czesiu! — zawołała matka z wyrzutem — bądź-że uważniejszy.

— Pozwoli mama, że po tem co usłyszałem, rzekł z godnością pan Adolf, ceдząc każdy wyraz powoli — pozwoli mama, że mówiąc o interesach familijnych, unikać będę wzmianki o panu Czesławie.

— Ależ bo zawsze między wami coś jest — wtrąciła pani Janina — ja nie pojmuję, doprawdy...

— Ty, moja żono, nie pojmujesz wogóle wielu rzeczy, ale wiedzieć powinnaś, że nie mam potrzeby myśleć o człowieku, który mnie obraża. Mam moje własne dzieci i obowiązki...

Czesław chciał coś odpowiedzieć, a rozmowa przybrałaby jeszcze drażliwszy charakter, gdyby nie wejście służącej, która przyszła oznajmić, że w kuchni czeka posłaniec.

Młody człowiek wyszedł, odebrał list, spojrzał na kopertę i zbladł. Pod wpływem silnego wrażenia, chwycił się oburącz za głowę, ale oprzytomniał szybko i rzekł do służącej:

— Jak się pani zapyta o mnie, to powiedz, że odebrałem bardzo pilny list od kolegi, że muszę zaraz do niego pójść i zapewne dopiero za jakie dwie godziny wrócę.

Skłamał, gdyż list nie był adresowany do niego, i nie pochodził wcale od kolegi...

Wyszedłszy na ulicę, udał się prosto przed siebie, nie patrząc na nikogo, potrącając przechodniów, nie wiedząc dokąd i po co się udaje... Przeszedłszy kilka ulic, znalazł się w Alejach Jerozolimskich i usiadł na ławce.

Wietrzyk nocny chłodził mu skronie, równowagę rozgorączkowanego umysłu przywracał... Czesław wyjął ów list fatalny z kieszeni i przypatrywał mu się uważnie przy bladem świetle latarni. Nie otwierał koperty, nie czytał... Po co miał czytać, gdy samo dotknięcie wskazywało, że w tym liście, do Stasi adresowanym, znajduje się pierścionek.

— Przeczuwałem to... przeczuwałem — szeptał sam do siebie — nie sądziłem jednak, żeby tak nagle... w pierwszej chwili...

Owinął list starannie w papier, schował do kieszeni i, pochodziwszy jeszcze trochę w Alejach, powrócił do domu. Był spokojniejszy już, z pierwszego wrażenia ochłonął, a może też jakieś postanowienie powziął...

Wszedł do salonu w tej samej chwili,

gdy pan inżynier powiedziawszy matce dobranoc, dodał jeszcze:

— Ostatecznie, moja mamo, nie ma nieszczęścia, któregoby człowiek nie zniósł, jeżeli znosić je musi; a co do biedy, to pamiętajmy o tem, że są ludzie stokroć od nas biedniejsi i żyją. Emeryturka, jaka tam będzie, to będzie, ale zawsze będzie. Ja mając sam dość szczupłe mieszkanie, nie mogę wprawdzie mamy do siebie zapraszać, gdyż byłoby nam ciasno, ale tu, w Warszawie, łatwo będzie znaleźć jakieś dwa pokoiczki w oficynie. Dla mamy to dosyć, zwłaszcza gdy Stasia za mąż wyjdzie. Oszczędność przedewszystkiem, tylko oszczędność. Ja, oto naprzykład, oszczędzałem przez całe życie, zbierałem grosz do grosza i dziś mam. Naturalnie nie tyle, żebym się mógł z kim dzielić, albo się bawić w jakieś filantropie, ale nam na czarną godzinę wystarczy, a po mojej śmierci, żona nie będzie potrzebowała niczyjej łaski. Zawsze się trzymam tej zasady, że trzeba przewidywać i oszczędzać. Wziąłem pannę bez posagu, z wyprawką nieosobliwszą, ale tego nikomu nie wymawiam i, choćbym mógł dziesięć tysięcy razy lepszą partyę zrobić, jednak godzę się z losem i pracuję

jak mogę. Chciałbym — dodał, spoglądając na Czesława — aby pewne, niezupełnie jeszcze dojrzałe umysły, naśladowały ten przykład. No, ale dobranoc mamie; jako człowiek czynu, muszę pamiętać o swojem zdrowiu i chodzić na spoczynek wcześnie, jeżeli nazajutrz mam wstać rano. Dobranoc mamie.

Pan inżynier i jego małżonka oddalili się do swego pokoju, matka także spać poszła, w salonie został tylko Czesław i Stasia.

— Moja droga — rzekł Czesław, ujmując siostrę za rękę, ten próżny samolub i blagier, szanowny nasz szwagierek, pomimowoli wypowiedział przed chwilą jedno rozsądne zdanie: a mianowicie: że nie ma nieszczęścia, któregoby człowiek nie zniósł, jeżeli je znieść musi; tylko zapomniał jeszcze dodać (o czem zresztą nie wiedział zapewne) jeżeli człowiek ma silną wolę i serce kochające. Ty, Stasiu, masz i jedno i drugie. Ty potrafisz walczyć z nieszczęściem?

— Czy ja wiem? — szepnęła.

— O, wiesz, jestem tego pewny. Znajdziesz w sobie dość siły, gdy wspomnisz

o tej nieszczęśliwej matce, która, prócz nas dwojga, nikogo już nie ma na świecie.

— A Janinka!?

— Ona już oderwana od nas, moja Stasiu. Ma swój dom, swoje dzieci, wreszcie ma męża, do którego woli stosować się musi, my więc dwoje musimy być podporą dla matki i pomocą nawzajem dla siebie. Czy ufasz mi, siostro? czy będziesz wraz ze mną odważnie walczyła z nieszczęściem?

Stasia oparła główkę na ramieniu brata, on ucałował ją i uścisnął serdecznie.

Tej nocy w mieszkaniu pana radcy, nikt nie spał. Rozlegało się tylko w ciszy nocnej głośne chrapanie pana inżyniera, który słusznie dowodził niedawno, że człowiek szanujący swe zdrowie, powinien sypiać dobrze i wszelkich silnych wzruszeń unikać.

II.

W apartamencie zajmowanym niegdyś przez pana radcę Lubicza, uwijali się rzemieślnicy. Malowali sufity, okna, naklejali nowe obicia, gdyż lokal ten wynajął jakiś kapitalista semickiego pochodzenia, lubiący się otaczać zbytkiem i jaskrawym przepychem.

Pani Lubiczowa z Czesławem i Stasią, wyprowadziła się od kwartału i zajęła bardzo skromne mieszkanko na Ogrodowej.

Były tam tylko dwa maleńkie pokoiki i kuchenka, umeblowano je resztkami dawniejszych ruchomości, które w trzech czwartych częściach, w drodze dobrowolnych układów, zabrał za bardzo małe pieniądze pan Fichtencwajg i jego szwagier Rosenwajn.

Pan Fichtencwajg rozczulił się nawet przy tranzakcyi i proponował Stasi, żeby jako osoba muzykalna, dawała jego córce lekcye na fortepianie, po czterdzieści groszy za godzinę.

Pani radczyni na tę propozycyę zrobiła wielkie oczy, ale Stasia odrzekła bardzo uprzejmie, że się namyśli i po jakim czasie da odpowiedź.

Mieszkanko na Ogrodowej było bardzo szczupłe, ale czyściutkie i przyjemne, przyzwyczajonej jednak do obszernych apartamentów kobiecie, wydało się ciasną klatką, więzieniem. Uskarżała się na duszność, żaliła, że nie ma kąta spokojnego, któryby wyłącznie tylko do niej należał. Nie mogło jej też dogodzić, przyjęta do posług dziewczyna, niezdolna co prawda do żadnej roboty, ale też zadawalniająca się bardzo małem wynagrodzeniem.

Z funduszami zaś trzeba było się liczyć. Radca nieboszczyk, nie dosłużył całowitej emerytury i wdowie po nim przyznano tylko czterysta kilkadziesiąt rubli rocznie. Wobec drożyzny wielkiego miasta i wobec czasów ciężkich, znaczyło to bardzo niewiele, tem bardziej, że przyzwyz ajona do wykwintnego, prawie do zbyt-

kownego życia kobieta, nie mogła się odrazu pogodzić z tą oszczędnością groszową, bez której życie ludzi biednych byłoby niemożliwem.

Radczyni nawet w biedę swoją wierzyć nie chciała; zdawało się jej, że przez dawne stosunki i przez znajomości liczne, zdoła wyrobić Czesławowi świetną posadę, łudziła się, że Stasia za mąż wyjdzie, że wreszcie zięć, mający się tak dobrze pod materyalnym względem, chętnie z pomocą przyjdzie, a na wypadek braku. natychmiast sam z propozycyą pospieszy.

Odwiedzała dawne znajome domy, zapraszała do siebie, tłomacząc naturalnie, że szczupłe mieszkanko wzięła tylko chwilowo, dopóki lepszego i dogodniejszego nie wyszuka; żaliła się na brak lokali w Warszawie, zwłaszcza porządnych, dawała do zrozumienia, że spodziewa się jakichś sukcesyi, które pozwolą jej znowu dom otworzyć i na dawną skalę go prowadzić.

Przyjmowano ją wszędzie bardzo grzecznie, ale chłodno, z rewizytami nie spieszono. Na prośby o posadę dla syna odpowiadano wymijająco, tłomacząc, że wszędzie kandydatów pełno, że ludzie skończeni, z kalifikacyami wyższemi, po kilka lat

wyczekiwać muszą, a cóż dopiero studencik, któremu właściwiej byłoby uczyć się i kursa kończyć, aniżeli na swoją rękę, samodzielnie pracować. Ten i ów przyrzekł, że pamiętać będzie i na tem się skończyło.

Do zięcia pisała także, na stan zdrowia się skarżąc; donosiła, że lekarze zalecili jej za granicę do wód wyjechać, lecz chwilowy brak funduszów temu na przeszkodzie stoi. Wyrażała przytem nadzieję, że pan zięć, jako człowiek zamożny, a przywiązany do matki, przeszkodę tę usunie i chwilowy brak zażegna, mając doskonałą ewikcyę w ewentualnej posadzie Czesława, zamążpójściu Stasi, a wreszcie w jakimś bogatym wuju, mieszkającym za granicą, a bardzo już schorzałym i wiekowym.

Pan inżynier z odpowiedzią nie zwłóczył. — Natychmiast odpisał, że nad zdrowiem matki bardzo ubolewa, lecz nad swoje współczucie nic więcej ofiarować nie może. Dodał przytem, że wskutek nadmiernej pracy, sam cierpi na powiększenie wątroby, że mu zalecono Karlsbad, co pociągnie za sobą znaczne koszta i wydatki... Przytem dorzucił kilka słów o oszczędności, o potrzebie liczenia się z każdym groszem, o czasach ciężkich i oświadczył wy-

raźnie, że na jego pomoc, matka nic liczyć nie może. Zresztą, pisał w końcu, matka ma emeryturę, na opędzenie jej potrzeb wystarczającą aż nadto, a Czesław i Stasia są już w tym wieku, że nie powinni być matce ciężarem.

Pani radczyni list ten odczytała kilkakrotnie, spłakała się, lecz ani Czesławowi, ani Stasi nie wspomniała o nim zupełnie. Przez kilka dni, na migrenę się skarżąc, przeleżała w łóżku i postanowiła więcej korespondencyi z zięciem nie wznawiać.

Na najstarszą córkę też liczyć nie mogła. Janina bowiem bardzo powolnego i łagodnego usposobienia, była zupełnie pod wpływem męża, jego myślami myślała, jego frazesami mówiła; w sprawach zaś pieniężnych, w ważniejszych interesach, żadnego głosu nie miała i nie rozporządzała niczem. Z tej więc strony, niczego się nie było można spodziewać.

Zatruwała też ciężkie chwile radczyni niepewność co do losu Stasi. Narzeczony nie pokazywał się i żadnego znaku życia o sobie nie dawał, a że w Warszawie stale mieszkał i znajomych wielu nie miał, więc

nie było nawet kogo zapytać, co się z nim dzieje.

Stasia nie wspominała o nim ani słowa, Czesław zapytywany o niego przez matkę, dawał odpowiedzi wymijające i niechętne. Nie chciał biednej kobiecie nowych zmartwień przysparzać.

Pani radczyni widząc, że od dzieci niewiele się dowie, postanowiła zbierać wiadomości na własną rękę. Przez kilka dni z rzędu, wychodziła do miasta, w nadziei, że spotka którą z dawnych znajomych i od niej informacyi zasięgnie.

Los w takich razach bywa szczególniej usłużny, a niepomyślna wiadomość przychodzi zazwyczaj bardzo szybko.

W głównej alei Saskiego ogrodu, jakoś przed samem południem, spotkała pani radczyni dobrą swoją znajomą, niedawno przyjaciółkę od serca, a niegdyś koleżankę z pensyi.

Panie rzuciły się jedna drugiej w objęcia, wycałowały serdecznie i powiedziały sobie tysiące komplementów na poczekaniu.

— Droga, kochana pani! pomimo tylu zmartwień i żałoby, zawsze prześliczna, zawsze zachwycająca! Niechże pani najdroż-

sza siada; właśnie tu jest wolna ławeczka. Jakże synek? a Stasia! ta urocza Stasia! Nigdy nie zapomnę, jak wyglądała wtenczas w resursie! pamięta pani?

— Pamiętam... wybornie pamiętam, ale teraz...

— No, nic naturalniejszego, teraz żałoba.

— Zwinęłam też chwilowo dom, ale po uregulowaniu interesów, po skończeniu żałoby, będę musiała znowu otworzyć salony.

— Zamierza pani?

— Nie chciałabym, ale widzi pani, kto ma córkę dorosłą, musi prowadzić koniecznie dom otwarty; pani najlepiej wiesz o tem.

— Istotnie... dwie już wydałam, a trzecia ma kilku starających się... chociaż ja na to nic nie liczę... jestem pod tym względem niewierny Tomasz.

— Jakto?

— Nie wierzę starającym się, nie wierzę konkurentom, nie wierzę narzeczonym. Dopiero, jak ślub się odbędzie, matka może odetchnąć i powiedzieć, że wydała córkę za mąż. Od ołtarza się rozchodzą, a ta dzisiejsza młodzież jest tak chciwa grosza, że

uwierzyć trudno! Nieprawdaż, droga pani, nieprawda?

— Hm... zapewne.

— Ale cóż ja robię!? Wszczynam rozmowę, która właśnie dla pani szczególniej może być przykrą.

— Dla czego?

— Nie mogę sobie darować tej nieuwagi i nie pojmuję, jak mogłam nawet popełnić taką nieostrożność. Pani wybaczy, ale zwróćmy rozmowę na inny przedmiot. Czy wie pani, że Alfonsowie kupili powóz?

— Nie słyszałam, ale...

— Ale to czyste szaleństwo, proszę pani, bo jakże można, mając po same uszy długów, pozwalać sobie na takie zbytki. Założyłabym się, że to jej wymysł. To jej polityka, chce otumanić ludzi, żeby prędzej mogła wydać córki. Mają podobno widoki na pana Kazim... Ah! doprawdy, jakżem dziś roztargniona! popełniam same niedyskrecye, lepiej będzie chyba gdy pożegnam panią i odejdę.

— Słowa pani robią na mnie wrażenie szarad, logogryfów lub rebusów, do odgadywania których nie miałam i nie mam najmniejszej zdolności. W czem pani wi-

dzi swoją niedyskrecyę i nieostrożność? bo ja domyśleć się nie mogę.

— Więc to wszystko nieprawda? Nieprawda to co mówią, co od kilku tygodni po całem mieście kursuje... Och! jakże jestem szczęśliwa! a tak mi żal było serdecznie tej biednej Stasi. Taka dobra, taka miła panienka... istna przylepeczka! Nie zapomnę nigdy, jak zachwycająco wyglądała w tenczas w resursie.

Pani radczyni zbladła, niezmordowana przyjaciółka zaś prawiła, niemal jednym tchem.

— Jak dzieci kocham, spadł mi kamień z serca, bo wierz mi pani, żem to bardzo, bardzo głęboko odczuła! Jakie to jednak plotkarskie miasto ta Warszawa. Co gadali! co opowiadali, to włosy na głowie stawały! Mnie było to podwójnie przykro. Raz, z powodu sympatyi, jaką mam dla pani i dla Stasi, a powtóre, że przed wyjazdem za granicę, pan Kazimierz złożył nam wizytę, z czego znów powstała plotka, że stara się o rękę naszej Kloci... Myślałam sobie, co też państwo powiecie, gdy ta bajka dojdzie do waszych uszu, jakie będziecie mieli o mnie wyobrażenie! Na

szczęście pokazało się, że plotkom wierzyć nie można.

Radczyni zrozumiała dobrze, jakie to były plotki i domyśliła się, że jest w nich tyle prawdy, że aż nadto wystarczy do ostatecznego zrujnowania jej zdrowia. Umiała jednak panować nad sobą i, w razie potrzeby, ukrywać wrażenia.

Przywołała na usta kwaśno-słodki, lecz pełen uprzejmości uśmiech i rzekła:

— Więc posądzają pana Kazimierza, że się stara o najmłodszą córeczkę pani?

— No tak, tak... ale zapewniam panią, że to jest plotka szkaradna.

— Mówią, że niema dymu bez ognia.

— Przysłowia nie zawsze mieszczą w sobie mądrość.

— Ostatecznie — rzekła radczyni — cóżby było w tem złego? Klocia jest zachwycająca panienka i każdemu może się podobać. Co do mnie, nie miałabym nic przeciwko temu.

— Pani?

— Tak jest, ja.

— A Stasia?

— Sądzę, że już zapomniała o tym projekcie...

— Więc to zerwane naprawdę...

Naturalnie... od dość dawna nawet.

— Niepodobieństwo!

— Zapewniam panią.

— Jakiż powód? na miłość Boską, jakiż powód? Przecież o ile wiem, Stasia była nim bardzo zajęta, a ze względów praktycznych, odrzuciwszy już kwestyę wzajemnych sympatyi, pan Kazimierz... to była partya, proszę pani.

— Jak dla kogo — rzekła radczyni, siląc się na spokój.

Przyjaciółka spuściła oczy i laseczką od parasolika zaczęła kreślić kółka i figury na piasku... Przez chwilę trwało milczenie.

Przerwała je pierwsza radczyni:

— Moja droga pani, rzekła, jak powiedziałam, stosunek nasz z panem Kazimierzem zerwany; jakie były do tego powody, powiem pani kiedyindziej, przy sposobności, szczegółowo. Nie przewidywałam, żeby Stasia mogła być w tym związku szczęśliwa i zerwałam. Właściwie więc nie ma o czem myśleć, lecz ciekawa jestem niezmiernie, jak ludzie o tem mówią, bo powiadam pani, że mówią. Już ten sam fakt — dodała z przekąsem — pochlebia mi bardzo.

— Co pani pochlebia?

— Sądziłam, widzi pani, że świat zupełnie już o mnie zapomniał, a dowiaduję się tymczasem, że o mnie mówi; przyzna pani, że bądź co bądź, jest to dowód pamięci.

— Uprzedza się pani do ludzi. Któżby zapomniał o tak miłej, kochanej osobie?

— A jednak nikt do mnie nie zajrzy, nikt nie przypomni sobie, że żyję.

— Teraz bo taki czas. Całe towarzystwo wyjechało, korzystając z lata, odpoczywają, leczą się.

— Zapewne, ale moja pani, powiedzże mi, co to o nas mówią? W mojem biednem życiu tak mało rozrywek...

Przyjaciółka wzięła się do opowiadania niechętnie.

— Zna mnie kochana pani, że nie lubię powtarzać tego, co słyszę, ale ponieważ pani sobie życzy, otóż powiadają, że państwo obiecali dać panu Kazimierzowi jakiś posag. Nic dziwnego, że młody człowiek myśli o takich rzeczach, gdyż biorąc pannę przyzwyczajoną do wykwintnego życia... do wygód, musi być przygotowany na znaczne stosunkowo wydatki. Ja sama po-

wiedziałam przed chwilą, że dzisiejsza młodzież jest chciwa, ale widzi pani, czasy są takie ciężkie, że wejrzawszy bliżej w tę kwestyę, doprawdy nie należy się nawet bardzo dziwić...

— I cóż więcej mówią?

— Ano, że niby były z tego powodu jakieś wyjaśnienia, że pani obiecywała dać coś w przyszłości; mówiono jednem słowem, i tak i owak... i no... że wreszcie pan Kazimierz, aczkolwiek z bólem serca, zmuszony był odesłać pierścionek... ale co to!? pani blednie! drży... na miłość Boską! co pani jest? Może wody?

— Istotnie — odrzekła radczyni słabym głosem — czuję się niedobrze.

— Ah! to moje opowiadanie fatalne!

— Nie, pani, to słońce... Jestem nadzwyczaj niewytrzymała na gorąco... a taki upał... Zrobi mi pani wielką łaskę, jeżeli raczy mnie odprowadzić do dorożki.

— Ależ odwiozę panią do samego domu. Może doktora zawezwać? może...

— Nie, nie, dziękuję, to przejdzie, która godzina teraz?

— Za kilka minut pierwsza.

— To doskonale, Stasia zawsze o tej

godzinie jest w domu, a to mój najlepszy doktor i opiekunka zarazem.

— Pani powiedziała, że o tej godzinie, czyż więc panna Stanisława nie znajduje się przy pani przez cały dzień?

— Stasia na parę godzin codziennie wychodzi na miasto... Ona jest taka uzdolniona... Daje lekcye... Nie dla chleba, bo tego nie potrzebuje... lecz tak sobie, dla przyjemności... Zdaje mi się, że nawet bez żadnego wynagrodzenia... Ale otóż i brama. Dziękuję serdecznie pani, dziękuję za miłe towarzystwo i za odprowadzenie.

— Odwiozę panią...

— Niech się pani nie trudzi... pojadę sama... Już moje osłabienie przeszło... czuję się znacznie lepiej...

W istocie biedna kobieta czuła się jeszcze gorzej, lecz nie chciała prezentować przyjaciółce swego ubogiego mieszkania, owych dwóch pokoików małych, ciasnych, umeblowanych biednie. Pojechała więc sama.

W dorożce zrobiło jej się tak słabo, że musiała się chwytać rękami za oparcie, z obawy, żeby na bruk nie wypadła, a kie-

dy nareszcie dojechała do domu, nie mogła zejść o własnych siłach.

Stróżka z pomocą dwóch swoich kumoszek, wprowadziła, a raczej wniosła biedną kobietę do mieszkania.

Właśnie przed chwilą Stasia powróciwszy z miasta, włożyła biały fartuszek i zajęła się przygotowaniem jakiejś ulubionej potrawy dla matki.

Gdy zadzwoniono, z uśmiechem na ustach ku drzwiom pobiegła, aby matkę, której powrotu lada chwila się spodziewała, przywitać i popisać się przed nią swoją kucharską zręcznością.

Zobaczywszy matkę zmienioną i bladą, krzyknęła z przerażenia. Przy pomocy stróżki przeniosła ją na łóżko i rozebrała, a uklęknąwszy przy niej, całowała po rękach, o przyczynę zasłabnięcia pytając.

— Ja po doktora poślę, mateczko, natychmiast poślę, tu w drugim domu jakiś mieszka... zaraz przyjdzie...

Radczyni mówiła, że posyłać nie trzeba, że osłabienie chwilowe zaraz minie, lecz energiczna dziewczyna zrobiła swoje. Wnet przyszedł doktor, lekarstwo na uspokojenie przepisał i przyrzekł chorą naza-

jutrz odwiedzić. Odchodząc, szepnął Stasi, że matka jest naprawdę chora i że należałoby o radykalniejszej kuracyi pomyśleć.

Stasia postanowiła naradzić się z Czesławem, jak tylko do domu powróci i obmyśleć jakieś środki ratunku.

Uspokoiwszy się nieco, wypłakawszy, radczyni opowiedziała córce całą rozmowę z przyjaciółką.

Nie przerywając ani jednem słowem, Stasia słuchała tej relacyi z suchemi oczami, spokojnie.

— Więc to o to — rzekła, gdy matka opowiadanie skończyła—o to chodzi? Ależ droga mamo, ja zaraz po śmierci ojca dowiedziałam się o tem i jak mama widzi, nie umarłam z rozpaczy, przeciwnie, kontenta jestem, że się tak stało... o! bo doprawdy mateczko, lepiej być całe życie samą i pracować ciężko na kawałek chleba, aniżeli wegetować przy boku człowieka, którego trudno szanować! Zresztą, maja mamo, cóż mi tak złego? Mam ciebie, mam więc dla kogo żyć, mam brata, dobrego, poczciwego chłopca, który cię mamo bardzo kocha i mnie także. We troje tworzymy szczupłe, biedne, ale kochające się gronko ro-

dzinne. Będziemy oboje z Czesławem pracowali, aby ci zapewnić wygody i spokojną starość.

— A ja? cóż ja biedna? jakąż wam dać mogę pomoc? Niedołężna i schorowana, ciężarem tylko jestem wam, moje dzieci.

— O! przepraszam... my darmo mamie pomocy nie damy, targować się będziemy o zapłatę.

— W jakiż sposób wynagrodzić was mogę?

— Musisz nas kochać... mateczko.

Radczyni rozpłakała się... objęła córkę za szyję i pocałunkiem okrywała jej czoło...

— Dobre, poczciwe dziecko! — mówiła, Bóg ci to wynagrodzi, ale gdzież Czesław, dla czegoż nie ma go tutaj? zwykle o tej porze przychodzi.

— Od dziś nie będzie mógł przychodzić na obiady, moja mamo, dostał nową lekcyę.

— I znowuż lekcya! ten chłopiec zapracuje sią doprawdy.

— Istotnie, pomizerniał trochę, ale wierzy w swoje siły. Powiada, że nie czu-

je zmęczenia. Zresztą tej lekcyi nie mógł nie przyjąć, mateczko, dom zamożny, zapłata stosunkowo dość duża. Wprawdzie daleko chodzić będzie musiał, aż na Wiejską, ale to nic nie szkodzi...

— Taki kawał!

— Przy ciągłej pracy siedzącej, umysłowej, taka przechadzka wyjdzie mu na zdrowie.

— Czy ja się spodziewałam, że was, biedne moje dzieci, taki ciężki los czeka... Wyobrażałam sobie, że Czesław skończy nauki przy pomocy rodziców, spokojnie, nie wysługując ludziom... Niestety... Póg zabrał nam ojca, a ja, cóż ja? Wyobrażałam też sobie, że ty, moja Stasiu...

— Powtarzam mamie, że mnie to nic nie martwi... od chwili, w której zdjęłam z palca ten nieszczęśliwy pierscionek, spokojniejszą już, swobodniejszą się czuję.

— Prawda, że nie masz pierścionka... i ja nie zauważyłam tego! kiedy to się stało,' moja Stasiu, jak to się zrobiło, opowiedz...

— Po co mówić o tem, co już powinno być zapomniane, droga mamo... po co poruszać popioły? I dla mamy, byłoby

przykro rozstrząsać te szczegóły. Rozmyślił się pan Kazimierz i dość na tem.

— Nikczemny! — szepnęła radczyni.

— Nie, mateczko, praktyczny tylko... nic więcej.

— I ja nie zauważyłam, że nie masz już tego pierścionka — rzekła matka, ujmując rękę Stasi — ja nie zauważyłam, to szczególne! Ha! przez łzy gorzej się widzi, a ja teraz ciągle łzy mam w oczach, ciągle łzy i tylko łzy... Ale czemu cofasz rękę, Stasiu!

— Muszę odejść do kuchni, mateczko.

— Nie, zaczekajno trochę... Co to jest? Tyś miała takie bieluchne, delikatne rączki...

— Ależ są zupełnie takie same jak dawniej, zapewniam mamę.

— Cóż znowu! Przecież widzę! ręce ci zgrubiały i wyglądają, jakby narobione. Od czego?

— Nie wiem, mamo — odrzekła zarumieniona Stasia — może od żelazka, czasem się co prasuje...

— Od żelazka powiadasz, to szczególne; jednak trzeba coś na to zrobić! Zaniedbywać na żaden sposób nie można.

— Czyż to nie wszystko jedno?

— Naturalnie, że nie wszystko jedno... przecież nie jesteś panną służącą, ani praczką. Już sama wezmę twoje ręce w opiekę. Mam przepis na przewyborną maść, od której ręce bardzo delikatnieją i nabierają alabastrowej białości.

III.

Była smutna, szara jesień.

Deszcz mżył od tygodnia, ulice i trotuary warszawskie oślizgły, domy wyglądały ponuro i brudno. Nad żywą, ruchomą falą ludzką, która od wczesnego ranku aż do nocy późnej, płynie a płynie po ulicach miasta, unosiły się parasole, przemokli dorożkarze kurczyli się na kozłach, posłańcy kryli się pod ścianami domów i w bramach.

Wieczór już zapadł, na ulicach płonęły latarnie, a z okien i wystaw sklepowych biło światło.

W lekkim dość paltocie, w czapce studenckiej, przez Krakowskie Przedmieście spieszył Czesław. Szedł bardzo szybko, wymijając zręcznie przechodniów. Doszedłszy do Kopernika, zwrócił na lewo, prze-

szedł przez Aleksandryę, a później dołem na Tamkę i zatrzymał się przed jednym z domów, niedaleko Dobrej ulicy.

Spojrzał na zegarek, była akurat siódma. Jednocześnie prawie, z bramy wybiegła młoda osoba w okryciu, z pod którego żałobną czarną suknię było widać. Od kapelusza, długi welon czarny spływał po jej ramionach.

— Właśnie w tej chwili przyszedłem — rzekł Czesław, podając rękę siostrze i osłaniając ją parasolem od deszczu...

— Wiedziałam, że przyjdziesz i, sama nie wiem, jak ci mam dziękować... Tego jeszcze tylko brakowało, abyś przy twoich zajęciach, musiał tracić czas na odprowadzenie mnie do domu... ale cóż zrobię? cóż zrobię? powiedz sam, mój drogi. Na dorożkę mnie nie stać. Nie zarabiam jeszcze nic, a porzucać pracy rozpoczętej nie sposób.

— Nie dziękuj, moja Stasiu. Do mnie należy opiekować się tobą, bądź spokojna, codzień przyjdę po ciebie.

— Dotychczas wracałam i zawsze jakoś szczęśliwie.. szłam szybko do samego domu, czasem dla pospiechu, w omnibus siadłam, ale od wczorajszego spotkania....

— Biedna! drżysz na samo wspomnienie...

— Wierz mi, że z oburzenia tylko...

— Bezczelny!... już ja z nim zrobię obrachunek, żebym go tylko spotkał...

— Ah, daj pokój, proszę cię na wszystko...

— Bronisz go?

— Nie, ale mojem zdaniem, najlepiej unikać. Mściłby się, szkodziłby ci, a wiesz, że ma stosunki i, jak zechce, może dużo złego zrobić.

— On mnie!? Cóż on mi zrobić może!? Ja się jego stosunków ani wpływów nie lękam; nie popełniłem też nic takiego, czegobym się wstydzić potrzebował, że zaś ręka mnie świerzbi, i że pragnąłbym dać mu porządną nauczkę, to nic dziwnego; każda podłość oburza mnie, a uczuć moich ukrywać nie umiem.

— Ty go nigdy nie lubiłeś — szepnęła Stasia, — nie lubiłeś go i wtedy jeszcze, za życia ojca, gdy bywał u nas, a kiedy się o moją rękę oświadczył i przyjęty został, nie umiałeś ukryć swego niezadowolenia. Pamiętam to bardzo dobrze, jak dziś. Wszyscy winszowali mi, ty jeden tylko milczałeś, a kiedym się zapytała dla czego,

odrzekłeś, że nie masz najmniejszego powodu do radości. Chyba nie potrzebuję opowiadać, jak mi to było przykro.

— Nie lubiłem go nigdy, masz słuszność. Od pierwszego spotkania uczułem dla niego szczególną niechęć.

— Czy miałeś do tego powody?

— Nie, i to mnie najbardziej gniewało. Nieraz wyrzucałem sobie nawet, dla czego żywię nienawiść do człowieka, którego, właściwie mówiąc, nie znam prawie. Rozsądek walczył we mnie z jakiemś nieokreślonem, nieujętem przeczuciem i zwycięztwo pozostało po stronie przeczucia. Niedługi też czas przekonał, że po stronie przeczucia była także słuszność.

Stasia westchęła.

— W chwili — mówił dalej Czesław, — w chwili, w której odebrałem ów list pamiętny, chciałem go szukać, wyzwać, bić się znim! Szumiało mi w głowie, myśli zebrać nie mogłem. Gdyby wówczas był stanął na mojej drodze, nie wiem coby się stało... Wyszedłem na ulicę, chodziłem, usiłowałem umysł do równowagi przywrócić. Nie przyszło mi to z łatwością, jednak używszy całej woli, zacząłem zastanawiać

się nad owym faktem zimno, krytycznie. Pomyślałem o naszej biednej matce i o tobie. Gdybym się z nim bił, całe miasto dowiedziałoby się o tem, a nie chciałem żeby cię wymieniano jako bohaterkę awantury. Tak zwana opinia nie wchodzi w przyczyny, nie bada po czyjej stronie słuszność, lecz dowiaduje się o faktach i tłomaczy je po swojemu, najczęściej fałszywie. Zastanowiwszy się, uznałem, że najwymowniejszą odpowiedzią na jego list będzie milczenie—ty zgodziłaś się na to samo... Biedne dziecko! ileż mnie kosztowało opowiedzenie ci tego co zaszło! Wyrazy więzły mi w gardle... dusiłem się niemi.

— Jednak wysłuchałam relacyi twojej spokojnie i potrafiłam przenieść to...

— Istotnie podziwiałem cię, podziwiałem tembardziej, że byłem przygotowany na wybuch płaczu, na sceny rozpaczy i żalu. Przekonałem się wszakże, iż wy, kobiety, umiecie znosić cierpienia.

— Może w tem właśnie siła nasza jest... Nie kryję przed tobą, mój drogi, żem przeżyła chwile okropne, ale na szczęście, w samem cierpieniu znajdowało się i lekarstwo zarazem.

— Jakto?

— Ciężki zawód łączył się z rozczarowaniem, żal z pogardą dla tego, który stał się jego przyczyną, że więc przeniosłam taki cios, ściśle biorąc, zasługa niewielka. Po kilku miesiącach uspokoiłam się zupełnie, zapomniałam i, gdyby nie spotkanie wczorajsze...

— Czy on co mówił do ciebie? Opowiedz mi szczegółowo, bo dziś rano, kiedyś mnie prosiła, żebym cię odprowadzić przyszedł, nie było czasu na rozmowę. Czego on właściwie chciał od ciebie? Co go ośmieliło do wszczynania rozmowy?

— O! nie przypuszczaj tylko, że ja! Kiedy wyszłam z pracowni, była już godzina siódma, jak dziś. Zasłaniając się parasolem od deszczu, usłyszałam wymówione moje imię: panno Stanisławo! panno Stanisławo! Obejrzałam się, to był on. Doznałam dziwnego wrażenia, zupełnie jak gdybym nastąpiła na węża... Spojrzałam na niego, nie odpowiadając na ukłon i szłam dalej. On dążył za mną wciąż. Mówił, że chce się usprawiedliwić, wytłómaczyć, uzyskać przebaczenie, deklamował, że bez tego przebaczenia żyć nie może, że nie jest w stanie walczyć z sobą dłużej.

— Nędzny blagier!

— Naturalnie, milczałam i przyśpieszyłam kroku. On wciąż swoje powtarzał, mówił o uczuciu, które nie wygasło w nim dotąd.

— Musiał mu ktoś powiedzieć o owej sukcesyi spodziewanej, którą się nasza mama tak słodko łudzi.

— Może być. Nareszcie, nie otrzymawszy odpowiedzi, oświadczył, że codzień będzie mnie spotykał, że będzie się znajdował zawsze na mojej drodze, aż dotąd, dopóki nie otrzyma...

— Czego?

— Przebaczenia.

— Jakimże sposobem pozbyłaś się nareszcie tego nieproszonego towarzysza?

— Widząc, że nie myśli odejść, weszłam do sklepu. Zażądałam igieł i różnych drobiazgów. Wybierałam dość długo; on oczekiwał przed skiepem. Widziałam to doskonale. Zabawiwszy w sklepie z kwadrans, wyszłam; na szczęście, przejeżdżała próżna dorożka, wskoczyłam w nią i kazałam się zawieść do domu. Pan Kazimierz został na ulicy i, jak się zdaje, zaniechał dalszej pogoni.

— Bardzoby mądrze zrobił—rzekł Cze-

sław—i więcej od niego nie żądam. Pomiędzy nim a nami wszystko skończone.

Stasi zdawało się, że po drugiej stronie ulicy dostrzegła swego byłego narzeczonego.

Istotnie był to on. W naciśniętym na same oczy kapeluszu, z brodą wsuniętą w podniesiony kołnierz od paltota, przechadzał się po trotuarze, widocznie oczekując na kogoś.

Dostrzegłszy Stasię, idącą w towarzystwie brata, skinął na dorożkę, wsiadł w nią i pojechał, zrozumiawszy, że oczekiwanie jego dzisiejsze będzie bezowocne.

Rozmawiając o swoich smutkach i kłopotach; brat i siotra doszli do domu na Ogrodowej.

W bramie spotkał ich jegomość już nie młody, dosyć otyły, szpakowaty, ubrany trochę pretensyonalnie, z wąsami i bródką uczernioną, w niebieskich okularach na nosie.

Był to właściciel domu.

— Ah! dobry wieczór—zawołał—co za szczególne zdarzenie! Właśnie chciałem wstąpić do państwa, ale nie wiedziałem, czy państwo jesteście w domu i czy moje wej-

ście nie zrobi subiekcyi pani radczyni, która, jak słyszę, jest cierpiąca.

— Zdaje się — rzekła Stasia — że do pierwszego mamy jeszcze dwa dni.

— Mówi pani jak kalendarz, akurat dwa dni. Sądzicie państwo naturalnie, że przychodzę upominać się o komorne.

— Takby się zdawało—rzekł Czesław.

— Istotnie, czegóż by mógł chcieć od lokatora właściciel domu, kamienicznik! Po co by przychodził? a jednak, niekiedy kamienicznicy miewają i inne interesa do lokatorów. Zdarza się naprzykład, że radziby wiedzieć: czy piece nie dymią, czy okna dobrze pasują i czy w ogóle nie potrzeba jakiej reparacyi w lokalu.

— O, dziękujemy stokrotnie, mieszkanko nasze jest prześliczne i zupełnie dobre.

— Nie o to idzie, proszę pani, ja wiem, że kto nie jest bardzo wymagający, temu wszystko dobrem się wydaje.

— Więc o reparacyę chciał pan zapytać?

— Nie, pani, o co innego. Wszak mama pani jest chora?

— Tak, niestety.

— Chodzić po schodach jej trudno?

— Rzeczywiście.

— Świeższe powietrze jest dla niej pożądane, jak zwykle dla osoby chorej, nieprawdaż?

— Tak, tak, panie.

— Otóż chciałem zaproponować państwu zmianę lokalu.

— To znaczy—rzekł Czesław—że nam pan mieszkanie wymawia. Szkoda, przyzwyczailiśmy się, ale trudno, jak trzeba, to wyprowadzimy się ztąd, od kiedyż to:

— Co też pan mówi!? Przeciwnie, chcę państwa jak najdłużej zatrzymać, proponuję tylko zmianę lokalu. Mam tu w oficynie, na dole, śliczne trzy pokoiki, suche, ciepłe, widne, okna wychodzą na ogród... dla pani radczyni będzie to idealne mieszkanko.

— Zdaje mi się, że pan sam je teraz zajmuje.

— Tak jest, ale chciałbym przenieść się na drugie piętro.

— Dlaczego?

— Proszę pani, mam w tem swoje widoki. Po prostu oto dla zdrowia. Czuję, żem trochę ociężał, a gdy kilkanaście razy dziennie będę musiał wchodzić na drugie piętro i z powrotem, to taka agitacya wybornie mi posłuży. Jestem o tem najmoc-

niej przekonany. Jakże więc, przystaniemy na zmianę?

— Jak myślisz, Czesiu? — zapytała Stasia.

— Możnaby przystać, bez żadnego namysłu—odrzekł—ale uważasz, tamto mieszkanie na dole jest znacznie większe niż nasze i, zapewne, o wiele droższe, a my — dodał, zwracając się już wprost do gospodarza—my, panie szanowny, nie kryjemy się z tem, że nie jesteśmy zamożni...

— Czyż to wstyd? kochany panie, czyż to wstyd? Człowiek młody nie może być zresztą niezamożny, bo przed nim cały świat otwarty, a pani, naprzykład — rzekł patrząc na Stasię — może jeszcze znaleźć nietylko zamożność ale los, szczęście.

— Ah, nie mówmy o tem!

— Jak nie mówmy, to nie mówmy. Ja tylko proponuję... proponuję zmianę lokalu. Płacić państwo będą tyle co i teraz.

— Przecież nie możemy narażać pana na stratę.

— Jakaż strata?!

— No przecie.

— Niech pani obliczy. Ja sam sobie za komorne nie płacę, a od państwa biorę. Mieszkania dla siebie potrzebuję, a czy

mieszkać będę na dole, czy na piętrze, to mi dochodu ani o jeden grosz nie umniejszy. Nieprawdaż?

— Zapewne, ale zawsze...

— Ja proponuję i proponuję ze szczerej życzliwości. Chociaż nie osobiście, ale ze słyszenia, znam państwa oddawna.

— A to zkąd?

— Nieboszczykowi panu radcy mój brat stryjeczny zawdzięcza to, że obecnie ma doskonałą posadę i pewny kawał chleba. Tylokrotnie mi mówił o państwu, a zawsze z uwielbieniem szczerem i wdzięcznością. Chociażbym więc nawet zrobił państwu jakąś dogodność, to byłaby tylko z mej strony słaba oznaka pamięci i wdzięczności za brata.—Niechże się państwo nie skrupulizują i przyjmą moją propozycyę.

— Trzebaby z mamą pomówić.

— Słusznie, bardzo słusznie, trzeba pomówić z mamą; niechże państwo pomówią, ja w niedzielę koło południa wstąpię do państwa i dowiem się o rezultacie. Wszak zastanę państwa?

— Owszem, będziemy.

— Doskonale więc. Przyjdę punktualnie o godzinie dwunastej, a teraz nie za-

trzymuję, pani radczyni oczekuje zapewne. Moje uszanowanie, do nóżek upadam!

Czesław ze Stasią wbiegli szybko na górę i opowiedzieli matce scenę z gospodarzem.

— Ależ brać, brać, bez żadnego namysły — rzekła radczyni. Sami widzicie, że jest nam tutaj ciasno. Czesław cierpi największą niewygodę.

— O to, moja mamo, najmniejsza.

— A jak się gość trafi, to nie ma go gdzie przyjąć.

— Zkąd u nas goście? kochana mateczko, od chwili śmierci ojca nikt do nas nie zajrzał.

— Otóż mylicie się, bo dziś miałam wizytę. Właśnie podczas nieobecności waszej, była pani Ewelina z córeczką.

— Ona?!

— A tak. Cóż cię to dziwi? Przyjechała karetą, przysłała służącego dowiedzieć się czy jestem i przyszła tu do mnie, na górę. Dopytywała się bardzo serdecznie o moje zdrowie, o was, a szczególniej o Czesława, pytała kiedy kursa skończysz? Powiedziałam, że na przyszły rok. To ślicznie, zawołała, to bardzo ślicznie! mąż mój będzie mógł dać panu Czesławowi korzy-

stną posadę w cukrowni; teraz poszukują młodych ludzi z wyższą kwalifikacyą naukową.

— Ależ, mamo—zawołał Czesław—ludzi z wyższą kwalifikacyą są całe setki w Warszawie; biedacy, muszą dawać lekcye, gdyż inaczej, pomarliby z głodu.

— Ah! moje dziecko, nie sprzeczaj się. Skoro pani Ewelina powiada, że poszukują—wyraźnie mi to powiedziała. Nie myśl, że ona jedna tak mówi. Zaraz po jej odejściu przyjechała pani Szulc, wiesz przecie, ta co bywała u nas tak często.

— Wiem, wiem.

— Jej mąż jest teraz bardzo ważną figurą w zarządzie drogi żelaznej i szczerze żałuje, że jesteś jeszcze na kursach, ponieważ wziąłby cię zaraz na kolej.

— Zkąd taka nagła czułość? Nie rozumiem, doprawdy, jestem, jak na niemieckim kazaniu.

- Szczególny z ciebie chłopak, mój Czesiu. Zkąd czułość? Dziwne pytanie. To nie jest żadna czułość, tylko stosunki, stosunki nasze dawne, moje dziecko. Twój ojciec robił ludziom tyle dogodności, więc teraz ludzie nam robią. Cóż się dziwić? kiedy nietylko ludzie z towarzy-

stwa, ale nawet taki Fichtencwajg czuł się w obowiązku.

— Czyż i on był tutaj?

— A był.

— Czegóż chciał od mamy?

— Przyszedł dowiedzieć się o moje zdrowie i pytał, czy mi nie potrzeba pieniędzy. Ofiarował mi kilkaset rubli na pół roku na bardzo mały procent.

— I mama wzięła od niego?

— Naturalnie, że wzięłam... dlaczegóż nie miałam wziąć?

— A zkąd oddamy?

— O! niech was o to głowa nie boli. Nie ztąd, to zowąd, zawsze się znajdzie. W każdym razie, Fichtencwajg jest bardzo poczciwy. Gadają na żydów, piszą na nich, a jednak...

— Zapewne darmo nie pożyczył mamie tych pieniędzy.

— No, nie.

— A widzi mama!

— Cóż chcecie, przecież to jego chleb. On z tego żyje.

— Co mama myśli zrobić z temi pieniędzmi?—zapytał Czeław.

— Meble chcę kupić. Cóż patrzycie

na mnie z takiem zdumieniem, wszak nie mówię od rzeczy...

— Dotychczas mama nie miała tego zamiaru — odezwała się panna Stanisława nieśmiało—i to właśnie cokolwiek nas zdziwiło.

— Szczególna rzecz, jak wy nie pojmujecie najpierwszych potrzeb życia! to trudno, proszę was, kto z ludźmi chce żyć, musi po ludzku mieszkać przedewszystkiem. Jak cię widzą, tak cię piszą, tembardziej teraz, gdy mamy zająć obszerniejsze mieszkanie...

— Kto u nas bywa, moja mamo!

— O! bywają ludzie i bywać będą. Przyjdzie pani Ewelina z córką, pani Szulc, na czemże je posadzę? Czy na tych wypłowiałych stołkach może? Nie, moje dzieci, na żaden sposób... tego mi zabronić nie możecie.

— Ależ, droga mamo — odezwała się Stasia—ani ja, ani Czesław nie śmielibyśmy nigdy krępować woli mamy. Tak mama zrobi, jak jej się podoba.

— Jeszcze jedno, moja Stasiu.

— Co mama każe?

— Ponieważ pani Ewelina z córką bę-

dzie odwiedzała nas częściej i ponieważ, jak widzę, odnowimy wszystkie dawniejsze stosunki, więc obecność twoja w domu jest konieczna. Prosiłabym cię przeto, żebyś dała za wygranę lekcyom, za któremi cały dzień się uganiasz. Panna z towarzystwa powinna siedzieć w domu, dopóki za mąż nie pójdzie. Bardzo też proszę cię o to. Teraz idźcie już spać, ja również potrzebuję wypoczynku, głowa mnie rozbolała. Myślałam i myślałam: jaki kolor mebli będzie najodpowiedniejszy i nie mogłam się zdecydować. Może ranek lepsze myśli przyniesie.

Po odejściu matki, Stasia zapytała brata.

— W cóż się obrócą teraz nasze usiłonia i zamiary?

IV.

Pan inżynier miał zwyczaj drzemać po obiedzie całą godzinę.

Wypiwszy czarną kawę, zapalał cygaro, brał gazetę, którą mu akurat o tej porze z poczty przynoszono, i, położywszy się w swym gabinecie na wygodnej, szerokiej otomanie, czytał, dopóki genialny wynalazek Gutenberga nie skleił mu powiek.

Aczkolwiek mieszkanie było obszerne, jednak podczas poobiedniej drzemki pana inżyniera nikt odezwać się nie śmiał. Pani Janina chodziła na paluszkach, dzieciom nie było wolno ust otworzyć, a gdy które przekroczyło ten zakaz, natychmiast wypędzane zostawało bądź na podwórze, bądź do kuchni, stosownie do pory roku i do pogody.

Pewnego dnia, pan inżynier bardziej potrzebował poobiedniego spoczynku niż kiedyindziej.

Złożyło się na to kilka przyczyn.

Przedewszystkiem był bardzo spracowany. Trzeba zdarzenia, że coś się na linii popsuło i pan inżynier sam, osobiście, musiał pojechać to oglądać, aż na czwartą wiorstę. Przebyć taką drogę, tam i z powrotem na drezynie, to nie są żarty, tembardziej, że przez cały czas padał drobny deszczyk.

Powróciwszy z tej wycieczki, pan inżynier zabrał się do obiadu, który mu wyjątkowo smakował i bardziej jeszcze usposobił do snu.

Ległszy na sofie, byłby odrazu usnął, ale chciał dokończyć cygara i, z przyzwyczajenia, rzucił okiem na gazetę.

Gdy wziął ją do ręki, stała się rzecz nadzwyczajna. Zamiast przymykać oczy, pan inżynier coraz je szerzej otwierał, zamiast przycisnąć głowę do poduszki, podnosił się zwolna, podnosił, aż wreszcie wstał, przeszedł do okna i tu odczytał gazetę powtórnie.

Potem zadzwonił.

Zbiegła się cała służba, zaalarmowana

dzwonieniem o tak niezwykłej porze. Przybiegła i sama pani Janina przerażona, przypuszczała albowiem, że drogi jej małżonek nagle zasłabł i potrzebuje pomocy.

— Czegożeście zlecieli się tutaj?! — krzyknął opryskliwie.

— Sądziłam, żeś zasłabł, mój kochany, po takiem zmęczeniu. Ja ci zawsze powiadam, że ty za wiele pracujesz, Adolfie. Cóż ci potrzeba? dlaczegoś dzwonił?

— Każ mi dać jeszcze czarnej kawy i przyjdź, mam ci parę słów powiedzieć.

— Spać nie będziesz?

— Nie.

— Dla czego? po takiem zmęczeniu.

— Nie... nie... nie mogę... Proszę cię tylko, żeby kawa była gorąca i każ podać koniak, ten, co niedawno przywieziony z Warszawy.

To powiedziawszy, pan inżynier zaczął się przechadzać po pokoju wielkiemi krokami, głaszcząc brodę i poświstując półgłosem motyw z jakiejś opery.

W kilka chwil później, gorąca kawa stała już na stoliku, a pani Janina zatrzymała się na środku pokoju, nie wiedząc, czy wyjść i zostawić małżonka w samotności,

czy też zostać i słuchać zapowiedzianych zwierzeń.

— Może ja ci przeszkadzam? — zapytała.

— Nie, owszem, proszę cię usiądź.

Pani Janina zajęła fotelik przy oknie.

— Powiedz mi, proszę cię — rzekł głaszcząc brodę — czy nie miałaś listu od matki?

— Nie.

— Ani od siostry?

— Stasia pisała przed dwoma tygodniami, donosząc, że mama chora.

— To wiem, idzie mi jednak głównie o późniejsze wiadomości, o ostatnie wiadomości od matki. Więc powiadasz, że nie miałaś ani depeszy, ani listu... nic? przeczytaj-no to...

Pani Janina rzuciła okiem na zakreśloną wiadomostkę i przeczytała następujące wyrazy: „Uśmiech losu. Niedawno umarł w Paryżu, zamieszkały tam od dość dawna zamożny przemysłowiec i pozostawił po sobie znaczny, podobno kilka milionów franków wynoszący majątek. Z. był kawalerem i umarł bez testamentu, cała jego fortuna przechodzi zatem na państwa L. mieszkańców Warszawy! Reporterowi

naszemu udało się zebrać kilka szczegółów, dotyczących wybrańców fortuny. Rodzina składa się z matki, oraz dwojga dzieci: syna i córki. Niedawno zmarł ich ojciec pozostawiając wdowę i sieroty w opłakanem położeniu materyalnem. Syn, student uniwersytetu, zarabia na życie lekcyami, córka pracuje podobno igiełką, czy też daje lekcye za bardzo marne wynagrodzenie. Trzeba przyznać, że tym razem, fortuna uśmiechnęła się w samą porę."

— Cóż myślisz o tem? — zapytał pan inżynier.

— Nie wiem, doprawdy. Z opisu możnaby mniemać, że istotnie jest mowa o naszej mamie, Czesławie i Stasi, ale zkądżeby taka sukcesya? To musi być co innego, albo podobieństwo sytuacyi i początkowych liter nazwiska, albo po prostu plotka nieuzasadniona, wymysł może. W każdym razie, rzecz ciekawa.

— Moja Janinko, każ mi przygotować walizkę. Pojadę do Warszawy.

— Dziś!

— Najbliższy pociąg odchodzi za dwie godziny.

— Dowiesz się więc.

— O! nie sądź znowu, że dla sprawdze-

nia tej pogłoski jadę, także miałbym po co? Wyjeżdżam, ponieważ miałem od kilku dni ten zamiar.

— Nie wspomniałeś nic.

— Moja kochana, mając tyle interesów co ja, nie sposób wspominać o każdym, tem bardziej, że to do niczego nie prowadzi. Jeżeli chcesz napisać kilka słów do matki lub siostry, to racz się pośpieszyć.

— Owszem, napiszę zaraz. Czy będziesz sam u mamy? — zapytała nieśmiało.

— Naturalnie, że będę. Co prawda, wiem, że nie cieszę się szczególną sympatyą u tych państwa na Ogrodowej ulicy, ale przedewszystkiem obowiązek. Ponieważ mam obowiązek odwiedzać matkę mojej żony, odwiedzam ją więc, bez względu na to, czy mnie tam mile, czy niemile przyjmują.

Pani Janina wzięła się do pisania listu, a w dwie godziny później, małżonek jej rozpierał się wygodnie w osobnym przedziale wagonu klasy pierwszej.

Pociąg pośpieszny pędził całą siłą pary, przebiegając pola i lasy, wlokąc za sobą kłęby czarnego, gryzącego dymu.

— Pan inżynier przybywszy do Warszawy i przebrawszy się w hotelu, pośpieszył przedewszystkiem do teatru.

Czyniąc to, miał cel podwójny: zobaczyć sztukę, której nie znał jeszcze i dowiedzieć się od znajomych czegoś pewnego o sukcesyi, jaka na rodzinę Lubiczów spaść miała.

Człowiek bardzo wyrachowany i przezorny, lubił działać oględnie, opierając się na pewnych podstawach.

W teatrze ujrzał pełno osób, grano poraz trzeci dopiero nową sztukę rozgłośnego autora, wszystkie miejsca były zajęte.

Podczas antraktu, pan inżynier wyszedł do „foyer", w przekonaniu, że usłyszy coś o kwestyi, która go tak dalece obchodziła.

Istotnie, zaraz zbliżyło się do niego kilku znajomych.

— Ha! jak się masz! jak się masz, panie inżynierze! — zawołał otyły jegomość, kolega z kursów, — dalibóg, w czepku się urodziłeś, jak to mówią! powinszować!

— O niczem nie wiem — odrzekł pan Adolf, udając zdumienie, — nie mam pojęcia, na czem moje rzekome szczęście polega.

— Nie udawaj! bardzo proszę, nie udawaj. Całe miasto o tem mówi, gazety piszą, a ty nie wiesz! Czy do waszego kąta żaden głos ze świata nie dochodzi?

— Jestem tak dalece zajęty służbą, że nie zwracam uwagi na to, co kto mówi.

— Służbą?! to paradne, doprawdy! Więc oddajesz się służbie tak gorliwie, jakbyś miał zamiar całe życie jej poświęcić?

— Całe życie?! Nie, ale dopóki nie wysłużę emerytury...

— Słyszycie, słyszycie! To komiczne, dalibóg, ten człowiek opowiada o emeryturze. Wstydziłbyś się doprawdy, panie Adolfie.

— Czego?

— No, no, nie udawaj tylko. Przecież nie sposób, żebyś mając dziś tak olbrzymi majątek, zajmował posadę, o której marzy dziesięciu przynajmniej bardzo, a bardzo potrzebujących. Dla nas nie ulega wątpliwości, że podasz się do dymisyi. Z ustąpieniem twojem otworzy się cały szereg wakansów. Nawet zobaczywszy cię tu w Warszawie, pomyślałem odrazu, że nie po co innego, tylko po to przyjechałeś.

— Dziwne żądanie, szanowny kolego, bardzo dziwne.

— Owszem, mojem zdaniem naturalne. Powiem ci otwarcie, że ja przynajmniej, tak dalece na to liczyłem, iż wczo-

raj chodziłem do dyrektora, aby go prosić o twoją posadę.

— Dla siebie?

— Nie, dla jednego z moich kuzynów. Powiedziałem dyrektorowi, że jeżeli zostaniesz na kolei, to tylko chyba w charakterze członka rady zarządzającej, jako akcyonaryusz. Powiedziałem, że nosiłeś się oddawna z zamiarem opuszczenia służby. Kwestya, kto obejmie twoją posadę, rozstrzygnie się na najbliższej sesyi.

Pan inżynier zaczerwienił się po same uszy.

— To jeszcze zobaczymy — rzekł, — dotychczas nie podałem się do dymisyi.

— Czcza formalność, bez której można się obejść. Dyrektor wie, że wychodzisz i dosyć.

— Do dyabła! — zawołał pan Adolf, — kto śmie...

Dzwonek przerwał ten wykrzyknik.

— Nie irytuj się szanowny kolego... akt się zaczyna. Trzeba zobaczyć. Po skończeniu, możemy jeszcze pomówić. Czekaj na nas w kontramarkarni, pójdziemy razem na kolacyę. Przecież można się porozumieć. Tobie po tej posadzie nic, a mój kuzyn, jak tylko dostanie nominacyę, bę-

dzie mógł się ożenić, to nie bagatelka!... dwie kamienice, folwark; naturalnie, po najdłuższem życiu matki. Pytałem się lekarzy, co warto jej szacowne zdrowie. Powiedzieli, że maximum dwa lata!...

Kolacya w pierwszorzędnym handlu w bliskości teatru, była wykwintna; dysponował ją, po porozumieniu się z kolegami, sam pan inżynier, wielki znawca spraw gastronomicznych. Każdy punkt programu przedyskutowany był jak należy, z zastanowieniem się i rozmysłem.

— Kto nie umie zadosponować obiadu, lub kolacyi — mówił pan Adolf, — ten, ściśle mówiąc, niewiele jest wart. Wolno inżynierowi nie wiedzieć jak się stawia most, wolno prawnikowi sprawę przegrać, doktorowi chorego do grobu wpędzić, lecz umieć jeść musi każdy porządny człowiek, a to nie jest rzecz łatwa.

— O, nie łatwa! — powtórzył kolega z namaszczeniem, zawiązując serwetę pod brodą. — Żywić się, karmić się, opychać, potrafi lada chłop, jestto bowiem akcya właściwa zwierzęcej naturze człowieka, akcya przyrodzona niejako, ale jeść, w szlachetnem znaczeniu tego wyrazu, to sztuka,

w której tylko wysoko inteligentni ludzie celują.

— Naturalnie!

— Mój Boże!—rzekł z uśmiechem pan Adolf, zabierając się do homara, — ledwie kilkanaście lat upływa od czasu, gdy będąc na kursach, jadło się chleb razowy i serdelki, a dziś...

— Tak... tak, a dziś jakaż różnica pojęć! Jużto z czystem sumieniem możemy powiedzieć, że nie traciliśmy czasu naprożno, dziś mamy już pojęcia ustalone.

— Ugruntowane, iż tak powiem, a dlaczego? Bośmy wiele przeszli, wiele przecierpieli. Ja naprzykład, ledwie, ledwie wykręciłem się od kataru żołądka. Doktór twierdził, że za dużo jadam, ale mylił się, to była wina kuchni.

— Ja proszę was, poszedłem jeszcze dalej, bo prosiłem teściowej, żeby zamieszkała przy nas. Wiecie zapewne, co to jest mieć matkę żony w domu!

— Istne piekło!

— O, tak, ale moja teściowa zna się wybornie na kuchni. Jak da obiad, to można zjeść go z przyjemnością. Stępkowski niech się schowa ze swoją armią kuchmistrzów. Ja tę kobietę uwielbiam pod-

czas obiadu. O innej porze dnia nie jestem nią wcale zachwycony, ale w obiad! Daję wam słowo, że ta kobieta w obiad jest warta milion.

— To się mieniaj z Adolfem — rzekł któryś z biesadników, — weź jego milion, a daj mu twoją teściowę.

— Propozycya godna rozwagi, nie zdaje mi się jednak, żebym na nią przystał. Miliona jeść nie będę.

— Jesteś wzorem zięciów!

— Znam się trochę na rzeczy... i nic więcej.

Gdy podano szampana, rozmowa ożywiła się jeszcze bardziej. Wszyscy pana Adolfa ściskali, całowali, winszując sukcesyi, on natomiast przyrzekł, że jak tylko miliony odbierze, wnet się poda do dymisyi i sam dołoży wielkich starań, żeby kuzyn kochanego kolegi tę posadę objął.

— Ale — mówił, — znacie mnie, że lubię porządek, że poniekąd uważany jestem nawet za pedanta.

— Więc cóż! przeliczysz swoje skarby z pedantyczną ścisłością i dosyć.

— Nie o to idzie, moi dobrzy; tylko uprzedzam was, że podam się do dymisyi

nie jutro, ani nie za tydzień, lecz w dniu, w którym owe miliony odbiorę.

— Formalista jesteś?

— Nie, moi kochani, od tego nie odstąpię. Ja za worek, wy za dworek, taka jest moja zasada. Zresztą, czy wy myślicie, że ja wierzę w jakieś tam zagadkowe sukcesye, albo, że o nie dbam!

— On nie dba! Wybacz, panie Adolfie, ale nie przypuszczam, żeby się znalazł naiwny, któryby ci uwierzył.

— Naturalnie! naturalnie.

— Nie wierzycie? Jak wam się podoba, ja wszakże trwam przy swojem i powiadam, że ani wierzę, ani dbam. Obchodzi mnie cała ta historya tyle, co przeszłoroczny mróz.

— To się zrzecz na naszą koszyść.

— I tego nie zrobię. Nie dbam, ale za okno nie wyrzucę, taka już moja zasada, a ja przedewszystkiem jestem człowiek zasad.

Po kolacyi, pan inżynier udał się do hotelu na spoczynek. Aczkolwiek o sukcesyę nie dbał, jednak myśl o niej spać mu nie pozwoliła. Do samego rana prawie usnąć nie mógł, rozmyślał, zastanawiał się, dopóki zmęczenie nie wzięło góry nad pod-

nieconym i rozgorączkowanym nieco umysłem.

Gdy się przebudził, była godzina jedenasta. Ubrał się pośpiesznie i wyszedł na miasto. Był w kilku redakcyach, w celu zebrania pożądanych informacyj, później udał się do jednego ze znakomitszych prawników, a następnie, zjadłszy doskonały obiad, kazał się zawieźć na Ogrodową.

Pani radczyni powitała go okrzykiem radości.

— Czy słyszałeś, Adolfie — zawołała zaraz na wstępie — czy słyszałeś o naszem szczęściu?

Udał, że nie wie o niczem.

— Chyba na loteryi mama wygrała— rzekł.

— Ależ gdzie tam! Niepodobna, żebyś nie wiedział, całe miasto o tem tylko mówi, po gazetach piszą. U nas drzwi nie zamykają się, odbieram ze wszystkich stron powinszowania, a prócz tego, zgłaszają się ciągle różni panowie z propozycyami nabycia domów, dóbr, lub korzystnych bardzo interesów. Poczciwy Fichtencwajg, który mi w najkrytyczniejszej chwili kilkaset rubli pożyczył, zgłaszał się także z propozycyą założenia olbrzymiego lombardu. Powia-

da, że to jest bardzo a bardzo zyskowny interes, że można w przeciągu kilku lat podwoić kapitał. Fichtencwajg żąda na początek stu tysięcy rubli i chce wszystkie kłopoty prowadzenia lombardu wziąć na siebie, tak, że my, bez żadnego zachodu, zbieralibyśmy tylko zyski. Nie masz wyobrażenia, jakie to poczciwe żydzisko. Jak sądzisz, Adolfie, zdecydować się na ten lombard? czy może lepiej majątek kupić?

Zamiast odpowiedzi, pan Adolf powoli i z wielką powagą, zaczął wypytywać się o szczegóły dotyczące owego spadku, a zebrawszy wszystkie wiadomości, jakie mu były potrzebne, zabierał się do odejścia.

— Zostań, zostań—mówiła radczyni—wieczór, tylko patrzeć jak dzieci nadejdą. Będziesz mi nawet potrzebny, bo nie wyobrażasz sobie, jaki z niemi mam kłopot.

— Cóż takiego?

— Czesław...

— O, przepraszam mamę, ale co się tyczy pana Czesława...

— Posłuchaj-że przynajmniej o co idzie.

— Słucham, ale z góry zastrzegam, że w nic się wdawać nie będę; naraziłbym się tylko na nieprzyjemność.

— Uprzedzasz się niesłusznie.

— Już ja wiem, co mówię.

— Otóż Czesław zabija się lekcyami, pracuje od rana do nocy; wprawdzie zarabia, stosunkowo zarabia nawet dużo, ale czyż dziś potrzebuje zarobku kosztem zdrowia?

— Upór, wygórowana ambicya! Ja zawsze mówię, że ten chłopak nie zajdzie daleko. Nie ma języka, którymby można do niego przemówić. A propos, jakież wrażenie zrobiła na nim wiadomość o sukcesyi?

— Wzrusza ramionami i śmieje się.

— Śmieje się?

— Tak, powiedział do mnie, że kto ma mniej złudzeń, tem mniej rozczarowań go czeka i — stanowczo w nadspodziewane łaski fortuny nie wierzy.

— Czy opiera to na jakich podstawach?

— Jakto?

— No, może ma jakie wiadomości, może zasięgał informacyi, pytał się kogo?

— Ale gdzież tam, powiada, że nie wierzy i dość na tem.

— Rzecz szczególna — mruknął pan inżynier półgłosem, bo ten chłopak, pomimo swoich wad, zdradzał niekiedy wcale poważne usposobienie.

— Zresztą, mniejsza o niego. Jest samodzielny i energiczny. Niech sobie

robi co chce, ale dla czego mi Stasię buntuje?

— Stasię?

— Tak jest. Co ja już łez wyłałam, ile nocy niespanych przepędziłam z tego powodu. Wyobraź to sobie, Adolfie, że Stasia całe dnie przepędza po za domem, daje, proszę cię, jakieś lekcye!

— Teraz to już zupełnie zbyteczne.

— I ja mówię, ale Stasia ani chce słuchać. Powiada, że zrobiła zobowiązanie na rok cały i nie może naruszyć umowy.

— To głupstwo! Ktoby się takiemi drobnostkami krępował. Kazać Stasi, żeby nie chodziła na lekcye i dosyć. Dziwię się, że mama robi z tem jakieś ceremonie.

— W tej chwili, Czesław z siostrą weszli do pokoju.

— Adolf — zawołała Stasia.—Czy nie przywiozłeś listu od Janinki?

— Owszem, przywiozłem, oddałem mamie.

— Muszę go zaraz przeczytać.

Czesław skłonił się i, milcząc, podał rękę panu inżynierowi.

— Niespodziewany gość — rzekła Stasia.

— Istotnie, nie miałem zamiaru być

w Warszawie—odrzekł pan Adolf—przyjechałem przypadkiem, w interesie służbowym.

— Spadkowym raczej — wtrącił Czesław.

— Nie wiedział nic o żadnym spadku, mama dopiero...

— Szczególne poczty macie na prowincyi. Zapewne gazety z przed tygodnia jeszcze nie nadeszły.

— Czy nadeszły, czy nie, jest to rzecz podrzędna... nie każdy zresztą ma tyle wolnego czasu, żeby mógł czytać wszystkie dzienniki od deski do deski... Przyjechałem odwiedzić matkę mojej żony i rodzeństwo; jest to obowiązek, który ani z gazetami wogóle, ani z tem co się w nich znajdować może, nie ma żadnej styczności.

— Obowiązek, zapewne...

— A naturalnie, każdy człowiek powinien spełniać swoje obowiązki, nic więcej, tylko obowiązki. Wszelkie tak zwane poświęcenia się, ofiary, są zupełnie zbyteczne. Niech tylko każdy pełni co do niego należy, a świat będzie zupełnie inaczej wyglądał niż teraz.

Czesław słuchał tej deklamacyi z ironicznym uśmiechem na ustach. Stasia za-

częła się krzątać koło kredensu, jedna tylko radczyni podtrzymywała rozmowę.

— Tak, tak, masz racyę, kochany Adolfie—rzekła.

— Ja zawsze mam racyę, szkoda tylko, że nie każdy to rozumie; obowiązek, widzi mama. to jest grunt i podstawa wszystkiego, obowiązek to jest...

— Proszę państwa na herbatę—zawołała Stasia,

— Chodźmy—rzekł Czesław—przecież to także obowiązek...

— Mam do ciebie, moja Stasiu, prośbę — rzekł pan inżynier, zajmując miejsce przy stole.

— Prośbę? do mnie?

— Tak jest... prośbę w imieniu Janinki. Kiedym odjeżdżał, Janinka poleciła mi, abym mamę i ciebie zaprosił na parę tygodni do nas. Dobrze byłoby odetchnąć trochę po warszawskim zaduchu. Wprawdzie, nie jest teraz lato, ale bądź co bądź, u nas na prowincyi, czas o każdej porze dość przyjemnie schodzi. Żyjemy z ludźmi, wiele osób bywa u nas...

— O! to mnie najmniej interesuje.

— Dla czego? — wtrąciła matka —

młoda osoba nie powinna unikać towarzystwa.

— Zwłaszcza takiego, jakie u uas się zbiera—rzekł pan inżynier. Mogłabyś zrobić doskonałą partyę.

— Ja o tem myśleć nie chcę.

— Dziecko jesteś — odezwała się radczyni—co do mnie, przyjmuję z całą gotowością zaproszenie Adolfa. Doprawdy, stęskniłam się już do Janinki i do wnuczków. Kiedyż moglibyśmy wyjechać?

— Jak mamie dogodniej, ale im prędzej, tem lepiej. Ja mogę zabawić w Warszawie jeszcze dzień jeden, dwa najwyżej, dłużej nie, a chciałbym, żebyśmy pojechali razem.

— Dzień, dwa... no, to będzie dość czasu do pomyślenia o naszych toaletach. Musimy, Stasiu, jutro od samego rana wyjść na miasto... żeby jak najspieszniej pozałatwiać sprawunki, nie sposób bo trzymać tu długo Adolfa, on ma tyle zatrudnienia, tyle obowiązków na głowie!

Pani radczyni tak była zajęta projektami wyjazdu, że nie spostrzegła, iż Stasia zmieszała się bardzo i pobladła. Nie uszło to jednak uwagi pana inżyniera.

— Co tobie jest, Stasiu—zapytał.

— To nic—odrzekła—bagatelka. Głowa trochę boli... przepraszam mamę, pójdę położę się na chwilę.

— Może ci zanieść herbatę? — spytał Czesław i, nie czekając na odpowiedź, wyszedł za siostrą.

— Widzi mama — rzekł z uśmiechem pan inżynier — na jaki dobry pomysł wpadłem.

— To jest...

— Mówię, że wpadłem ua dobry pomysł, zapraszając do siebie mamę i Stasię. Kwestya owych lekcyj, która tak bardzo mamę niepokoi, zostanie odrazu rozwiązana. Stasia wyjeżdża i lekcye się kończą.

— To prawda! ileż wdzięczności winna ci jestem, Adolfie!

— Mnie się zdaje, że owe lekcye to tylko pozór, że po za niemi kryje się co innego.

— Ah! Adolfie, co też tobie przychodzi do głowy?! — rzekła radczyni z wyrzutem.

— No, już ja mam dobre oko, zapewniam mamę.

— Stasia jest tak poczciwe dziecko...

— Bezwątpienia. Ja jednak trwam przy swojem i jestem moralnie przekonany,

że ona żadnych lekcyj nie daje, że mów o nich tylko dla zamydlenia oczu mamie.

— Więc cóż robi? z czem się kryje? na miłość Boga, Adolfie, powiedz, wyprowadź mnie z niepewności! Wierzyć trudno, a jednak... alboż ja wiem co myśleć?... ja słaba, schorowana kobieta, nie mogę chodzić za nią krok w krok... Chociaż nie! nie, to niepodobieństwo! ta dziewczyna nie mogłaby popełnić nic niewłaściwego.

— O tem też nie ma mowy, moja mamo.

— Więc cóż przypuszczasz? czego się domyślasz?

— Jasno określić tego nie potrafię, ale przeczuwam w tem wpływ i działanie pana Czasława.

— Czesia!

— Naturalnie; jakiś koncept pełen egzaltacyi—tu uśmiechnął się szyderczo — dobijanie się stanowiska własnemi siłami. Ona zawsze była pod jego wpływem. Myślała jego myślami, widziała w nim ideał doskonałości. Czy mama nie zauważyła, jak Stasia zbladła, jak wspomniałem o wyjeździe, jak porozumiała się oczami z Czesławem, jak zaraz na zawołanie znalazł się ból głowy.

— Kiedy ona istotnie, w samej rzeczy, ulega często atakom migreny.

— Mnie tem nie zwiedzie. Ja mam dobre oko.

— Zawołam ją i wnet dowiemy się całej prawdy...

— A nie! nie trzeba. Niech mama tego nie robi, niech mama nie da nawet poznać, że się czegoś domyśla. Udawajmy, że nie wiemy o niczem. Ja zapraszam, mama ją zabiera; jedziecie ze mną i cała historya. Zostać w Warszawie sama nie może, a skoro matka decyduje się na wyjazd i chce ją zabrać z sobą, jechać musi. Tym sposobem cichutko, bez scen, bez płaczów, bez wojowania z panem Czesławem, krzyżują się wszelkie plany, a dziewczyna pójdzie tą drogą, jaką iść powinna... zwłaszcza teraz, gdy nadspodziewanie staje się panną bogatą. Mając znaczny posag, może doskonale wyjść za mąż...

— Uwielbiam cię, Adolfie. Ja przecież ciągle z nią jestem i niczego się nie domyślałam, ty przyjechałeś na krótko, raz spojrzałeś i wiesz więcej aniżeli ja! Otworzyłeś mi oczy, doprawdy, otworzyłeś mi oczy. Gubię się w domysłach, co oni z Czesławem zamyślali zrobić, nie pojmuję.

— I o tem będziemy wiedzieli — rzekł z wielką pewnością siebie pan inżynier, tymczasem niech nam wystarcza to przekonanie, że od chwili wyjazdu z Warszawy, panna Stanisława będzie już wyłącznie pod naszym tylko wpływem i, że nie egzaltowany student, ale my o jej losie radzić będziemy. Jak powiedziałem, u nas w domu bywa wiele osób, pomiędzy niemi kilku ludzi bezżennych, mających stanowiska i wpływy. Nawet pomocnik dyrektora naszej drogi często mnie odwiedza i skoro zobaczy Stasię, to kto wie? Panna z takim posagiem! Trzeba zaś mamie i to wiedzieć, że ów wice-dyrektor posiada ogromne stosunki, mieć takiego w rodzinie, to więcej znaczy niż majątek.

— Zapewne... powiedzże mi, Adolfie, czy to młody człowiek?

— Młody!? to rzecz względna, są różne pojęcia o młodości. Można być dwudziestoletnim starcem i pięćdziesięcioletnim młodzikiem.

— Ale przecież, ile ma lat?

— Wygląda na czterdzieści kilka.

— Przystojny?

— To także rzecz względna. Trochę może za nadto poważny, sztywny, ale nie-

kiedy ożywia się. Między nami mówiąc, jest to stary kawaler, więc też ma swoje różne dziwactwa, ale zresztą, proszę mamy, ściśle biorąc, cóż to jest młodość? Krótka chwila. Co tak zwana uroda?.. głupstwo, nic więcej.

— Jednak, gdyby Janinka była brzydka...

— Zapewne... chociaż teraz nie zważałbym na to. Ostatecznie, taki wice dyrektor to wyjątkowa partya.

— Z tego co mówisz, nie sądzę, żeby zrobił wrażenie na Stasi.

— Niech tylko Stasia na nim wrażenie zrobi... reszta do nas należy, od czegoż my jesteśmy? Mama od siebie, Janinka od siebie, ostatecznie i ja także coś powiem. Nie sposób, żeby połączonym naszym usiłowaniom nie udało się przekonać jej, a choćby nawet popłakała z początku, za to, w przyszłości, miałaby czem łzy ocierać.

Pani radczyni milczała.

— Zresztą — ciągnął dalej inżynier — o przymusie tu mowy niema. Ja radzę, bo uważam to sobie za obowiązek, a u mnie obowiązek przedewszystkiem. Gdyby się uparła i nie chciała, to może sobie wybrać

kogo innego, prowadzę dom otwarty i przyjmuję dużo, dużo osób.

— Radziłabym odrazu nie nalegać.

— Naturalnie, tego rodzaju plany należy przeprowadzać powoli. Teraz ja pójdę spocząć. Niech-że mama zachowa naszą rozmowę w tajemnicy i pozwoli mi działać.

— Stasiu! Stasiu! — zawołała pani radczyni—chodźże tu, Adolf odchodzi.

Stasia weszła. Oczy miała zaczerwienione, jakby od łez.

— Cóżto, moje dziecko, płakałaś?—zapytała matka.

— Zdaje się mamie.

— Widzę przecież!

— Nie, to z bólu głowy mam może oczy czerwone. Odchodzisz już, Adolfie?

— Idę, spocząć muszę, gdyż jutro mam jeszcze różne rzeczy do załatwienia. Dobranoc mamie, dobranoc ci, Stasiu.

Pan inżynier nie myślał wszakże spoczywać. Przyjechał do Warszawy nie po to przecież, żeby spać. Na spoczynek dość miał czasu w domu.

— Jeszcze przy śniadaniu umówił się ze znajomymi, że się na kolacyę zbiorą, aby przy miłej pogawędce parę godzin przepędzić. Dla tych znajomych, pan Adolf

był o wiele droższym towarzyszem obecnie, aniżeli dawniej.

Otaczał go urok bogactwa, które zawsze przyciągająco działa na ludzi. W wesołem gronie biesiadników, przy kieliszku szampana, była mowa o rozmaitych projektach i wielkich przedsiębiorstwach, budowach nowych kolei żelaznych, antrepryzach, które miały spodziewaną fortunę podwoić.

Każdy niemal człowiek, ujrzawszy się nagle w posiadaniu znaczniejszej sumy, lub też mając nadzieję, że w niedalekiej przyszłości mieć ją będzie, wnet uczuwa w sobie powołanie do odegrania roli wielkiego finansisty. Miliony spodziewane chce wnet podwoić, potroić.

Gdy pan inżynier, w gronie wesołych towarzyszów, rozprawiał szeroko na temat, co znaczą duże pieniądze w ręku człowieka genialnego, w skromnem mieszkaniu na Ogrodowej ulicy było już cicho i tylko w jednym pokoju paliło się światło.

Pani radczyni usnęła, marząc o świetnej przyszłości córki, a brat z siostrą rozmawiali szeptem, aby tego snu i tych marzeń świetnych nie przerwać.

Stasia miała w oczach łzy. Czesław uspakajał ją i pocieszał.

Na trzeci dzień, dwoma dorożkami, udano się na dworzec drogi żelaznej.

Pan inżynier skrzywił się, patrząc na mnóstwo tłomoczków, jakie z sobą radczyni zabrała, ale niezadowolenia swego nie śmiał głośno objawiać.

Ulokował się z paniami w przedziale pierwszej klasy i, zapaliwszy cygaro, spoglądał z góry na ów szary tłum, który z gorącym pośpiechem przebiega od wagonu do wagonu, szukając twardej ławki.

Gdy się rozległ głos drugiego dzwonka, do przedziału, zajętego przez naszych znajomych, wskoczył młody człowiek w stroju podróżnym.

Wskoczył, spojrzał na panią Lubiczową, na Stasię i wybąknąwszy „przepraszam" wyskoczył jeszcze prędzej z wagonu.

— Czy mnie wzrok nie myli—zawołała pani radczyni — Stasiu, kto to był?

— To był, mateczko, pan Kazimierz— odpowiedziała Stasia...

V.

W apartamentach pana inżyniera było gwarno i ludno.

Dzieci uradowane z przyjazdu babci i cioci, które przywiozły ze sobą cały transport zabawek, pozwalały sobie krzyczeć głośniej niż zwykle. Pani Janina uwijała się, aby jak najlepiej przyjąć matkę i siostrę, służba była w nieustanuym ruchu.

Prócz tego, zaczęły, się przygotowania do wielkiego przyjęcia, jakie pan inżynier z okazyi dnia urodzin żony postanowił wyprawić.

— Dotychczas nie przyjmowaliśmy gości w moje urodziny — ośmieliła się zauważyć pani Janina.

— Istotnie—odrzekł—nie przyjmowaliśmy, ale w tym roku wyjątkowo przyjmujemy.

— Jeżeli sobie życzysz.

— Nietylko życzę sobie, lecz chcę. Są tego rodzaju okoliczności, że muszę wydać wieczór i to taki, żeby o nim dużo mówiono.

— Jak każesz...

— Bądź więc łaskawa i zajmij się tem. Możesz się poradzić matki, ona w takich razach ma znakomite doświadczenie. Przejadali przecież wszystkie dochody.

— Adolfie!

— No, no, to nic... tak sobie tylko nawiasowa uwaga. Mówię, że matka ma w tem doświadczenie, które, w danym razie, bardzo się może przydać. Pomów z nią... naradź się, a ja rozpisuję listy zapraszające.

— Jak każesz...

— Pomyśl także, a raczej zajmij się tem, żeby Stasia była na ten wieczór szczególnie dobrze ubrana.

— Ah! więc to dla niej. Jakże ci mam za to dziękować, mój kochany.

— Czy dla niej, czy nie dla niej, trzeba żeby tak było i tak będzie.

— Zawsze tak bywa przecież — odpowiedziała pokornie pani Janina.

— No tak, tak, tak — rzekł łagodniej trochę — ja wiem, że ty, ostatecznie, obowiązki swoje rozumiesz.

Pan inżynier zamknął się w swoim gabinecie i pisał listy zapraszające.

Zajęło mu to sporo czasu.

Przedewszystkiem zastanawiał się długo nad kwestyą kogo prosić, a wybór nie był łatwy. Spodziewana sukcesya, podniosła skalę wymagań i nie pozwoliła zapraszać tych, dla których obecnie progi domu pana inżyniera były za wysokie.

Wyjątek stanowiła młodzież niezbędna do tańców, ta wszakże, zrekrutowana przeważnie ze sfer panu inżynierowi podwładnych, nie wchodziła w rachubę. Tacy tancerze, na każdem większem zebraniu, liczą się do akcesoryów niezbędnych, jak muzyka, kolacya i wino.

Kilka godzin zeszło panu Adolfowi na układaniu listy zaproszonych; jakoż ukończywszy tę czynność, czuł się niezmiernie spracowanym i pragnął odpocząć.

Nie sądzono było mu wszakże zażyć miłego wywczasu, gdyż wśród kobiet, przeciwko zamierzonemu balowi powstała silna opozycya.

Pani radczyni oświadczyła, że zanim upłynie uświęcony zwyczajem termin żałoby, za nic w świecie na zabawie się nie pokaże. Stasia była tego samego zdania,

a nawet pani Janina, zawsze posłuszna i bierna względem męża, tym razem ośmielona obecnością matki i siostry, postanowiła podnieść głowę i pokazać, że ma swoje zdanie.

W tym celu, udała się z biciem serca do gabinetu swego małżonka i, po dość długim wstępie, powoli, z ostrożnością wszelką, powiedziała o co idzie, przepraszając, że w pierwszej chwili wyszło jej to jakoś z pamięci.

Pan Adolf oburzył się na hołdowanie staroświeckim przesądom, usiłował dowieść, że żałoba jeszcze ani jednego nieboszczyka nie wskrzesiła, że smutek po stracie drogiej osoby powinien być w sercu i pamięci, nie zaś w czarnym gałganie, gniewał się, zżymał, lecz bezskutecznie; opór kobiet był nieprzełamany.

Postanowiono zatem, zamiast zabawy tańcującej, urządzić raut z muzyką, deklamacyą, kartami dla panów i wykwintnem przyjęciem.

Ta myśl przez panią radczynię rzucona, w wykonaniu natrafiła jednak na wiele przeszkód.

Niełatwo to na prowincyi urządzić jaki taki koncert, bo chociaż amatorów i dyle-

tantów nie braknie, jednak cała mieścina dzieli się na rozmaite kółka i koterye.

Pan Adolf dość musiał się napracować, zanim zebrał komplet amatorów.

Nauczyciel muzyki, stary niemiec Innemann, ułożył bogaty program i kierował próbami.

Pani Janina z matką tak były zajęte przygotowaniami, że zostawiły Stasi zupełną swobodę, skorzystała też z niej i napisała do brata długi list, w którym spowiadała mu się ze wszystkich wrażeń swoich.

Wreszcie nadszedł dzień urodzin pani Janiny.

Już od południa woźni kolejowi, poubierani we fraki, krzątali się w kredensie, a kucharz, sprowadzony umyślnie z Warszawy, z powagą i namaszczeniem zabierał się do tworzenia arcydzieł.

Pan inżynier przechadzał się po pokojach, przeglądając, czy jeszcze czego nie braknie.

Wieczornym pociągiem nadjechali goście z Warszawy, ma się rozumieć, sama śmietanka. Wice-dyrektor, dwóch naczelników i jeden akcyonaryusz, tęgi, otyły, o wschodnich rysach twarzy.

Pan Adolf wybiegł aż przed dom na spotkanie tak dostojnych gości i, z wielką rewerencyą, wprowadził ich do salonu, który wkrótce zaczął się napełniać.

Bogactwo ma dziwną moc przyciągającą; niby drobne igiełki do magnesu, lgną ludzie do niego i czoła prze niem schylają. Stasia, do niedawna jeszcze biedna lokatorka skromnego mieszkanka na Ogrodowej ulicy, dziś stała się gwiazdą, ku której zwracały się wszyskie spojrzenia.

Wice-dyrektor jak mógł panował nad reumatyzmem, który go strasznie dręczył i twarz mu dokuczliwym bólem wykrzywiał; otyły akcyonaryusz opowiadał cuda o swoim synu, kształcącym się za granicą... Bo też to i syn był osobliwy! Piękny jak Apollo, mądry, wykształcony, dowcipny, poszukiwany w towarzystwach, kolosalnie bogaty, mógłby był za granicą zrobić najświetniejszą partyę. Pewien lord angielski koniecznie chciał go mieć swoim zięciem, ale młody człowiek nie mógł przyjąć tego zaszczytu.

— A dla czego nie mógł? — mówił akcyonaryusz do Stasi — bo nie chciał! A dlaczego nie chciał? bo postanowił sobie, że ożeni się tylko w kraju, tylko z polką

i koniecznie z warszawianką. On ma taką fanaberyę, on ma nawet przekonanie, że na całym świecie, a przecież on już zna cały świat, nie znajdzie tak miłych i pięknych kobiet, jak w Warszawie. I wie pani co? on ma racyę! On się zna! to jest prawdziwy, nieodrodny mój syn! Zna się, bo i ja także się znam i gdybym ja był na jego miejscu, to słowo honoru daję! jabym zaraz potrafił zrobić taki wybór, żeby mi go cały świat powiszował.

Z radością zauważył pan Adolf, że Stasia i na panu wice-dyrektorze zrobiła wrażenie. Dygnitarz ten nadskakiwał jej, bawił opowiadaniem o odbytych podróżach, o swojem osamotnieniu w Warszawie i, bardzo oględnie dawał do zrozumienia, że mu ta samotność jest nieco przykra.

Pani radczyni była w siódmem niebie.

Od śmierci męża, od czasu w którym zwinęła dom i z wykwintnego apartamentu przeniosła się na Ogrodową, nie była jeszcze w tak licznem towarzystwie.

Widok wyfraczonych panów i wystrojonych dam, gwar rozmowy, ożywił ją i rozruszał. Zdawało się, że odmłodniała, na bladą jej twarz wybiegły rumieńce, oczy

ożywiły się dawno niewidzianym w nich blaskiem.

Przypominały jej się dawne czasy. Zdaje się, że powracają znowuż, że chwile rozczarowania, goryczy, zmiany losu pierzchnęły i rozwiały się niby sen przykry, niby mgła za silniejszym wiatru podmuchem.

Znowuż widzi się na dawnem, nawet na świetniejszem niż dawne stanowisku. Córkę jej młodszą otacza rój młodzieży, wszystkie spojrzenia są na nią zwrócone.

I jakie spojrzenia!

Wice dyrektor wzdycha; bogaty akcyonaryusz o synu swoim wciąż mówi, kilku obywateli ziemskich z historycznemi nazwiskami, wyraźnie ubiega się o względy Stasi.

Mimowoli przychodzą pani radczyni na myśl owe jakieś lekcye, Warszawa i ubogie mieszkanko na Ogrodowej ulicy. Co za dzieciństwo! To już przeszło na zawsze, przeszło, bezpowrotnie minęło i nigdy, nigdy nie wróci.

Rozlega się dźwięk fortepianu, ma być śpiew.

Wysmukła, o niezwykle pięknych rysach panienka zaczyna śpiewać. Ma głos silny i dźwięczny, włada nim umiejętnie, stary Innemann nauczyciel muzyki, promie-

nieje dumą, bo to jego najlepsza uczennica; ale śpiewem nie zachwyca się nikt, oklask dają tylko z grzeczności, bo właściwie czemże się tu zachwycać, wszak to tylko córka zawiadowcy stacyi.

Po niej ma śpiewać panna Stanisława. Wymawiała się wszelkiemi sposobami, lecz na prośby matki i siostry, musiała ustąpić. Zaśpiewała jakąś piosnkę ludową, miłym wprawdzie, lecz słabym bardzo głosem. Gdy skończyła, powstała istna burza oklasków. Wszyscy winszowali talentu, otyły akcyonaryusz wyliczył przy tej sposobności wszystkie sławniejsze śpiewaczki europejskie i przyznał, że równie pięknego głosu jeszcze w swojem życiu nie słyszał. On! taki mecenas sztuki i znawca! Wice dyrektor powiedział pół komplementu, gdyż kaszel drugą połowę mu przerwał, a trzej wiejscy panowie, nie sadząc się na dobór słów, wyrazili swój zachwyt oklaskami, które jak rotowy ogień rozległy się po sali.

Na ustach Stasi drgał uśmiech pełen goryczy; oburzała ją tak wyraźna niesprawiedliwość. Gdy rozpoczął się trzeci numer programu, popis jakiegoś młodego człowieka na wiolonczeli, Stasia wymknęła się z kółka, które ją otaczało i przysiadła

się do córki zawiadowcy. Rozmawiała z nią dość długo, pragnąc ciepłemi, serdecznemi słowy, wynagrodzić doznaną krzywdę.

Prawie nad ranem, goście opuścili dom pana Adolfa; otyły akcyonaryusz, pospieszył na kolej, aby zdążyć do Warszawy na giełdę, dla pana vice-dyrektora zaś przygotowany był zawczasu pokój, w którym miał nocować. Pan Adolf posunął nawet uprzejmość gospodarza do tego stopnia, że umyślnie zatrzymał obecnego na raucie doktora, aby nastręczyć szanownemu gościowi sposobność zasięgnięcia porady lekarskiej, bez której mąż ten nigdy się nie obywał przed pójściem na spoczynek.

Pan inżynier znał doskonale obyczaje swoich zwierzchników, stosował się do nich i dobrze na tem wychodził.

Doktor, zapisawszy dygnitarzowi jakiś środek na uspokojenie nerwów, ostatni opuścił gościnne progi pana Adolfa...

Pani Janina dozorowała służby sprzątającej srebra, w salonie zaś została tylko pani radczyni i jej zięć.

— Winszuję ci, Adolfie — rzekła, —

twój raut był świetny. Towarzystwo bardzo dystyngowane.

— A tak, moja mamo, zresztą u nas tak zawsze bywało, teraz, naturalnie, tembardziej. Ale Stasia — dodał po chwili namysłu, — zrobiła furorę. Sam vice-dyrektor, to nie bagatela, sam vice-dyrektor!

— Czy mówił co?

— No, przecież nie mógł powiedzieć wprost, co myśli. Dał mi jednak do zrozumienia, że czas mu u nas przeszedł bardzo przyjemnie i że, przy pierwszej sposobności, znowu mnie odwiedzi. Uważa mama, przy pierwszej sposobności...

— Istotnie, to jest wyraz znaczący.

— Zwłaszcza, gdy wychodzi z ust człowieka, który w departamencie jest jak u siebie w domu.

— Czy być może?

— Ależ tak... stosunki ogromne, wpływy, znajomości! słowem, co tylko zechce, może zrobić.

— Powierzchowność nie bardzo ujmująca.

— Powierzchowność! jest też o czem mówić! Ma on coś lepszego niż dziesięć najpiękniejszych powierzchowności, bo

przedewszystkiem, wysokie stanowisko, wpływ, znaczenie, a oprócz tego, spory majątek. Dobra ziemskie w płockiem, udziały w kilku cukrowniach, a podobno i gotówka jest.

Pani radczyni zamyśliła się.

— Ciekawa jestem — rzekła, — jakie wrażenie zrobił na Stasi. Dziś jeszcze zapytam jej o to.

— Nie trzeba; niech mama tego nie robi!

— Dla czego?

— Lepiej powoli. On tu nocuje, naturalnie, niewywczasowany, spać będzie długo, przed obiadem nie puścimy go ztąd.

— Wielki z ciebie dyplomata, mój Adolfie.

— Nie; lecz mam zwyczaj iść do celu powoli i konsekwentnie. Zrazilibyśmy Stasię do niego odrazu, wspominając o naszych zamiarach; lepiej czasowi rzecz tę pozostawić. On zrobi swoje, zwłaszcza teraz, gdy usunęliśmy ją z pod wpływu pana Czesława.

— Powiedz mi, Adolfie, co ty cierpisz do tego chłopca?

— Nie lubię entuzyastów, nie lubię tych, co zamiast iść wygodnym, utartym

szlakiem, torują sobie jakieś nowe dróżki, na których najczęściej, kark kręcą.

— Uprzedziłeś się, przecież ja prawie ciągle patrzę na tego chłopca i widzę, że jest nad wiek swój stateczny i poważny.

— To właśnie źle.

— Więc wolałbyś, żeby było inaczej? On pracuje, on uczy się, ciągle czyta...

— I to źle!

— No, doprawdy, teraz już sama nie wiem, co podług ciebie jest dobrze.

— Dużo by było o tem mówić, a mama znużona, i ja również potrzebuję cokolwiek chociaż wypocząć. Od rana muszę być na nogach, gdyż wice-dyrektor podobno cierpi na bezsenność, może więc wstanie wcześnie, a w takim razie i ja, jako gospodarz, muszę być na nogach.

— Naturalnie, naturalnie, mój Adolfie, nie zatrzymuję cię, idź spać.

— Dobranoc mamie.

— Dobranoc.

Pan inżynier poszedł do swego pokoju, po chwili jednak wrócił.

— O najważniejszem zapomniałem — rzekł.

— O czem, Adolfie?

— Niech mama powie Stasi, żeby była dla niego bardzo uprzejmą...

— Bądź spokojny, pamiętam o tem dobrze.

Niezadługo w apartamentach pana inżyniera wszyscy pogrążeni byli w śnie głębokim, oprócz jednej Stasi, która, pomimo niewyspania i zmęczenia, wzięła się do pisania listu do brata.

Czuła potrzebę podzielenia się wrażeniami swemi, a jedynym jej powiernikiem był Czesław.

W długim liście opisała mu dzieje pobytu w domu szwagra, ów świetny raut, kaszlącego vice-dyrektora, otyłego finansistę, który wciąż o swoim synu opowiadał. Przedstawiła w liście te wszystkie osobistości, jakie się przed jej oczami przewinęły, a w rezultacie, wyraziła żal za Warszawą, za Ogrodową ulicą i za tem zatrudnieniem, któremu się z takiem zamiłowaniem oddawała.

„Drogi Czesiu, brzmiał jeden ustęp listu, ty, jedyny na ziemi powierniku mój i przyjacielu, ty zapewne zrozumiesz, jak mnie ta cała komedya nuży i męczy, jak przykro dotykają te nadskakiwania i hołdy. Tak niedawno jeszcze, nikt się o mnie

nie troszczył, nikt nie interesował. Szłam spokojnie wytkniętą raz drogą, a przy zajęciu, przy pracy, dnie ubiegały szybko. Dziś tu każda godzina tygodniem mi się zdaje; zmiana postępowania Adolfa względem nas, jego szczególna opieka, jaką mnie i mamę otacza, robią na mnie niewypowiedzianie przykre wrażenie. Jesteśmy dziś w jego oczach bardzo drogie, ponieważ jakaś sukcesya ma spaść na nas. O! jakże pragnę, żeby nas ominęła! Jeszcze jej nie mamy, a już się daje we znaki! Po dzisiejszym raucie, na którym zbierałam oklaski za śpiew i słuchałam porównań mego głosu z głosami najpierwszych artystek (głosu, którego, jak wiesz, prawie nie mam), przyszła do mnie mama, z miną bardzo poważną i tajemniczą zarazem, i wykładała mi całą teoryę, jak się zachowywać powinna panienka na mojem stanowisku. Zdawało mi się, że sama wiem jak mam postępować, ale nie... mama mi dała nowe wskazówki! Przedewszystkiem, mam być wyjątkowo uprzejmą dla jednego z dygnitarzy kolejowych, zwierzchnika Adolfa. Jest to, jak mi się zdaje, człowieczysko Bogu ducha winien, schorowany, myślący tylko wyłącznie o lekarstwach i doktorach. Przypusz-

czam, i zapewne nie bez słuszności, że moja wyjątkowa uprzejmość tyle go obchodzić będzie, co zeszłorocza zima. Ale są widocznie jakieś plany. Nie trzeba być jasnowidzącą, żeby zrozumieć, że taki szwagier dla Adolfa, byłby bardzo, a bardzo na rękę. Mama powiada, że vice-dyrektor ma nadzwyczaj liczne stosunki i, że może bardzo wiele. Usłyszałam przytem zdanie, że niema nic prędzej przemijającego, jak młodość, że miłość, o której tyle czytamy w powieściach, iztnieje tylko na papierze. Na dowód, przytoczyła mi mama, moje własne dzieje i postępek pana Kazimierza. Ciekawy jesteś zapewne, co odpowiedziałam na to? Przypuszczasz, że znalazłam mnóstwo argumentów. Nie, do czegożby to doprowadziło? Słuchałam nie przerywając, a mama mówiła dalej, dowodząc, jak szczęśliwy jest ten, kto odrzuciwszy wszelkie złudzenia i mrzonki, zdobywa sobie dobrobyt i komfort, bez którego życie niewiele warto. Patrzyłam mamie w oczy i przyszłam do przekonania, że ona nie podziela tych zdań, jakie wygłasza, że mówi je, jak lekcyę, której się wyuczyła na pamięć. Powtórzyła nawet kilka frazesów, jakby wyjętych z ust Adolfa,

a on, jak wiesz przecie, ma swój styl. Nie przerywałam, słuchałam, a gdy mama, odchodząc już, spytała, czy posłucham jej dobrych rad, odrzekłam, że nie widzę powodu, dla którego miałabym być dla pana vice-dyrektora niegrzeczną, że wogóle traktuje wszystkich uprzejmie, a cóż dopiero takiego dygnitarza, mającego stosunki, wpływy i znaczenie. Mama wzięła to za dobrą monetę, ale westchnęła przytem, pocałowała mnie w czoło i rzekła poczciwa: biedne dziecko! Roześmiałam się gorzko, gdy wyszła już. Nie z matki, bo wiesz dobrze, jak bardzo ją kocham, ale z tych zabiegów ludzkich, z tej chęci wyzyskania każdej sytuacyi, z której można jakąś korzyść wyciągnąć. Rozumierz to dobrze, mój Czesławie.“

Dzień już był, gdy Stasia skończyła list. Światło lampy zgasło przy świetle słonecznem.

Spuściła roletę i zmęczona usnęła natychmiast.

VI.

Od czasu wyjazdu pani radczyni ze Stasią, upłynęło kilka miesięcy; mieszkanko przy ulicy Ogrodowej zajmował sam Czesław.

Pan inżynier zapraszał go bardzo grzecznie na święta, lecz młody człowiek wymówił się brakiem czasu. Tłomaczył się, że dając codzień lekcye, zbyt mało zajmuje się własną nauką i, że chwile wolne podczas świąt, na ten cel obrać musi, gdyż inaczej, z egzaminami, rady by sobie nie dał.

Pewnego dnia, gdy wieczorem wracał do domu, stróż doręczył mu list. Zaadresowany on był szerokim, równym charakterem i nosił na sobie stempel poczty miejskiej.

Czesław zaciekawiony, pobiegł co prę-

dzej do mieszkania, zapalił światło i rozerwał kopertę.

Na grubym, szarym papierze, skreślone były następujące słowa:

„Kochany panie Czesławie! przyjdź jutro do mnie między piątą a siódmą po południu, to się dowiesz o czem wiedzieć chciałeś.

Seweryn X.“

Ów pan Seweryn, był to niegdyś przyjaciel zmarłego radcy, ojca Czesława, z zawodu prawnik, charakteru szorstkiego trochę, dziwak, ale człowiek niezmiernie zacny i niepokalanie uczciwy. W swoim czasie słynny mecenas, później przestał zajmować się interesami. Majętny, miał więc z czego żyć. Przez cały dzień wertował stare sprawy, rozczytywał się w jurisprudencyi senatu, a wieczorami, albo szedł do znajomych na wista, albo też zapraszał do siebie kilku z dawnych towarzyszów, jak ich nazywał „inwalidów palestry“ i, przy kieliszku wina, gawędził z nimi o kodeksie, procedurze, a najwięcej o dawnych, minionych czasach.

Czesław, otrzymawszy od pana Sewe-

ryna liścik, nazajutrz, punktualnie o godzinie piątej stawił się w jego mieszkaniu.

Stary jurysta, z nogą okręconą kocem, bo mu pedogra trochę dokuczała, z cygarem w ustach, siedział na fotelu przy ogromnem machoniowem biurku, zawalonem stosami papierów.

Gdy wszedł Czesław, mecenas odwrócił głowę. Twarz miał starannie wygoloną, duże myślące czoło, rysy twarzy bardzo regularne. Fizyognomia jego przedstawiała doskonały typ senatorów rzymskich, jakich się na obrazach spotyka.

Spojrzał na zegar i rzekł:

— Punktualny jesteś, mój chłopcze, takich lubię, siadaj. Cygara palisz?

— Nie, panie mecenasie.

— Tem lepiej, na to zawsze będzie czas.

— Wino pijasz?

— Nie.

— To także dobre... ale czasem kieliszek nie zawadzi. Jakiś ty podobny do ojca! a wieszże kto był twój ojciec?

Czesław spojrzał zdumiony.

— Jakże bym mógł nie wiedzieć, naturalnie, że wiem.

— Oj ty, naturalisto! wy wszystko wiecie. I to pewnie wiesz, że się ojciec twój nazywał Lubicz, że radcą był...

— Tak.

— No i cóż więcej?

Czesław milczał,

— No, i że był moim przyjacielem, o czem nie wiesz. Dobry człowiek, ale mnie słuchać nie chciał, źle na tem wyszedł. Mówiłem mu sto razy: wszystko rzuć, zostań obrońcą. Nie słuchał, sam sobie winien. Całe życie biedę klepał, po śmierci nic nie zostawił, a ja, widzisz oto, przez całe życie nie piłem złego wina, nie paliłem lichych cygar, no, i uważasz, mój kochanku, gdy umrę, to dwaj moi synowie będą mieli przynajmniej przez lat pięć co tracić.

— Czemu tracić?

— Ty, panie Czesławie, zdaje się naturalista jesteś? — spytał, patrząc mu w oczy.

— Tak jest, panie mecenasie, chodzę na wydział nauk przyrodniczych.

— I uczysz się podobno dobrze?

— Staram się o to przynajmniej.

— W takim razie, powiedz mi, czego

u dyabła was tam uczą, kiedy nie znasz najnaturalniejszej rzeczy.

— Przecież nie mówiliśmy o naukach przyrodniczych.

— Ale, mój kochany, mówiłem, że synowie moi w pięć lat stracą to, co ja zarobiłem, o tem wątpisz, a jednak to taka naturalna historya.

Czesław uśmiechnął się.

— Może nieprawda? Jak pożyjesz tyle lat co ja, to się przekonasz, a może i nie przekonasz się — dodał po chwili namysłu.

— Dla czego?

— Bo widzisz, mój dobrodzieju, kształcisz się na naturalistę, będziesz więc znał żaby, myszy, szczury, robaki, ale nie ludzi.

— O ludziach uczymy się także.

— Co to znaczy! co wy się tam możecie nauczyć? Ludzi, to proszę cię, zna prawnik. Im starszy, im doświadczeńszy, tem lepiej zna te najżarłoczniejsze stworzenia... te robaki... bo wierz mi, że to także robaki.

— Ściśle biorąc...

— Czy ich weźmiesz ściśle, czy luźno, zawsze ta sama historya. Ale pozwól, naleję ci kieliszek wina.

— Dziękuję panu mecenasowi, nie pijam.

— Tym razem pić będziesz, ja cię proszę, a dla czego proszę, to ci powiem później.

Czesław nie oponował, bo wiedział, że stary tego nie lubi. Mecenas nalał kieliszek, podniósł go do góry i, przez chwilę, przypatrywał się złotawemu płynowi pod światło.

— Zapisz że to sobie — rzekł i pamiętaj raz na zawsze, że najlepszy kodeks jest francuzki, a najlepsze wino węgierskie; ja ci to powiadam. Twierdzą doktorzy, a oni także są niby to naturaliści, że mnie wino wchodzi w nogę, nie prawda, oni nie znają się; to nie wino, lecz siedmdziesiąt pięć lat weszło w nogę, siedmdziesiąt pięć, proszę cię. Pijże-no...

Czesław wychylił kieliszek.

— Krzywisz się?

— Cierpkie trochę.

— Bo się nie znasz, ale mniejsza o to, masz czas. Gdzie jest matka twoja i siostra?

— Są u szwagra.

— U pana inżyniera. Aha, znam, znam... dygnitarz!

— Tak, ma niezłą posadę.

— Będzie miał jeszcze lepszą z czasem, bo umie koło swoich interesów chodzić. Głowa dobra, plecy giętkie.

Czesław się roześmiał.

— Czego się śmiejesz, panie naturalisto? Ale pomówmy teraz o interesie. Zapewne pomyślasz się, po com cię fatygował.

— Przepraszam.

— Ponieważ zgłosiłeś się do mnie w interesie owej sukcesyi, o której gazety piszą, a całe miasto mówi, więc obiecałem ci, że się dowiem, jak ta rzecz zblizka wygląda. Otóż...

— Już pan mecenas wie?

— Czekaj, czekaj, powoli, do porządku. Powiedziałem, że się dowiem, a że mam zagranicą znajomości i stosunki z prawnikami, przeto napisałem do jednego z nich z prośbą, żeby dobrze tę rzecz zbadał i doniósł mi. Właśnie oto wczoraj...

— Nadeszła odpowiedź? — zapytał z pewnym niepokojem Czesław.

— Wczoraj przyniesiono mi z poczty list i natychmiast cię w skutek tego listu wezwałem. Napij no się jeszcze kieliszek wina.

— Kiedy, panie mecenasie, nie mogę, doprawdy, nie mogę.

— Napij się, bo przy takich interesach spadkowych bywają rozmaite emocye. Czasem wielka radość, a częściej zawiedziona nadzieja; częściej nawet zawód, aniżeli radość.

— Więc zawód, panie mecenasie?

— Nie.

— A zatem, wielka radość?

— I to także nie.

— No, to już sam nie wiem, czego się spodziewać?

Na wygolonej, gładkiej twarzy starego mecenasa, pojawił się uśmiech przelotny.

— Nie wiesz, czego się masz spodziewać? — rzekł— no, jużcić to prawda, że nie wiesz, ale naturalnie, nie pogardziłbyś milionami?

— Kto wie?

— Jestem pewny, że nie. Ostatecznie, milion, to proszę cię, rzecz dobra. To pan, przed którym ludzie czapki zdejmują,

— Nie wszyscy.

— Prawie wszyscy, prawie wszyscy, szanowny naturalisto, widzi się to codzień. Milion to pan, ale i figlarz także. Nie masz

wyobrażenia, jak ludziom w głowach przewraca. Napatrzyłem ja się na to dosyć, mój kochany, podczas długiej praktyki. Bywały zdarzenia... Mógłbym do późnej nocy opowiadać, ale cóż cię to obchodzi? Otóż jak ci wspomniałem, odpowiedź nadeszła. Odpowiedź dokładna, pewna, na której można bezwarunkowo polegać. Dla mnie cała ta sprawa jest teraz jasna jak dzień.

— I jakże pan mecenas uważa?

— Otóż właśnie miałem ci to powiedzieć, ale mi przerywasz, to źle. Trzeba ci wiedzieć, mój młodzieńcze, że gdy ja mówiłem o sprawie, to senat słuchał, senat w komplecie! i nie przerywał mi. Czy ty wiesz, co to znaczy senat?

— Wiem... sąd.

— Nieprawda, najwyższa magistratura.

— Przepraszam najmocniej pana mecenasa.

— No, no, takim laikom wybacza się. Otóż faktem jest: 1) że tamten istotnie umarł; 2) że posiadał bardzo znaczny majątek, złożony z nieruchomości i sum na lokacyach; 3) że nie zostawił po sobie testamentu i 4) że ponieważ jest blizkim kre-

wnym waszej matki, przeto macie niezaprzeczone prawa do spadku.

— Więc prawda...

— Jaka prawda? gdzie prawda? znowu przerywasz.

— Sądziłem, że pan mecenas już skończył.

— Aj, ty naturalisto, nie znający najnaturalniejszych rzeczy. Tobie się zdaje, że dość już umrzeć i zostawić majątek, żeby ktoś krewny mógł przyjść i majątek ten zabrać.

— Zdawałoby się.

— Tak??! No proszę! a gdzież postępowanie spadkowe? gdzie legitymacya? ale co z profanem mówić; siadajże i słuchaj. Historya tego nieboszczyka dobrze mi jest znana; teraz przypominam sobie nawet dokładnie rok, w którym zagranicę wyjechał. Były takie okoliczności, że musiał to zrobić. Z początku szło mu ciężko, biedę klepał, później wziął się do jakiegoś handlu, poszczęściło mu się, zebrał maleńki kapitalik. Bieda jaką przebył nauczyła go oszczędności, a, że przytem był bardzo sprytny, zabiegły, ruchliwy, więc składał tysiączek do tysiączka i doszedł do znacznej fortuny. Nabył sobie nieruchomość,

porządną nieruchomość, jak mi oto donoszą, ale widocznie nieszczególnego miał doradcę prawnego.

— Pod jakim względem?

— A no, pod względem lokowania kapitałów. Co to jest, proszę cię, dawać pieniądze nie na hypotekę?! Na to trzeba być waryatem, półgłówkiem!, a nieboszczyk pożyczał właśnie na weksle. Po śmierci znaleziono ich bardzo dużo, ale jak mi piszą, wszystkie nie wiele warte. Żył w przyjaźni z jakimś bogatym entreprenerem, podobno uczciwym nawet człowiekiem, ale wielkim ryzykantem. Temu właśnie jegomości, na krótko przed śmiercią, pożyczył bardzo znaczną sumę, tymczasem ryzykant zanadto zaryzykował i stało się to, co zwykle w takich razach się staje—klapnął.

— Jakto klapnął?

— O, naiwne dziecko! nie wiesz co znaczy klapnąć.

— Domyślam się, że nie zarobił tyle ile pragnął.

— Stracił na łeb, na szyję i wszystkim pokazał figę. Ogłoszono upadłość i wierzyciele w najlepszym razie dostaną dziesięć za sto. — Z tego powodu, ogromny majątek nieboszczyka redukuje się do bardzo skro-

mnych rozmiarów. Właściwą wartość całego spadku stanowi właśnie nieruchomość o której wspomniałem. Co się zaś tyczy owych weksli, to byłoby bardzo dobrze, gdyby to co się da z nich osiągnąć, wystarczyło na pokrycie kosztów odebrania sukcesyi. Ponieważ rzecz się dzieje zagranicą, więc naturalnie koszta będą znaczne i samo przeprowadzenie interesu zajmie sporo czasu. Co do legitymacyi, trudności nie będzie; o ile znam stosunki rodzinne, to wy jesteście jedyni spadkobiercy, mający do tego majątku prawo. Oto jest cała rzecz.

— Dziękuję bardzo panu mecenasowi za informacyę — rzekł Czesław.

— Nie masz za co. Wolałbym ci powiedzieć, że jesteś współwłaścicielem miliona.

— Kto wie, panie mecenasie, mogę mieć go jeszcze w przyszłości — rzekł z uśmiechem Czesław.

— Filozof łatwo się pociesza, ale masz słuszność. Lichy jest żołnierz, jeżeli nie ma nadziei zostania marszałkiem, a w dzisiejszych marnych, bezbarwnych czasach, gdy ludzie tylko za groszem gonią, gdy jedynie rublami wojują, posiadanie miliona znaczy to samo, co niegdyś marszałkowska buława.

Zawsze to jest wybicie się po nad szary, zgłodniały tłum, nasycenie próżności, ambicyi, żądzy wywyższenia się. Ha! jakie czasy, taka i ambicya, mój kochany.

Rzekłszy to, mecenas zamyślił się.

Wstał, poszedł do szafki, wydobył z niej cygaro, obejrzał strannie i napowrót schował, potem obejrzał drugie, trzecie i piąte, aż wreszcie znalazłszy takie, które mu się dobrem wydało, obciął je, zapalił i usiadł w fotelu.

Czesław milczał, stary prawnik gonił wzrokiem niebieskawy dymek unoszący się w powietrzu, a ciszę przerywał tylko miarowy chód pięknego bronzowego zegaru.

— Marna ambicya! mizerne ideały — mówił półgłosem, jakby sam do siebie mecenas — mizerne... ale ideały... duch czasu. Wszak prawda, mój młody przyjacielu?

— Istotnie marne — odparł Czesław — jeżeli ktoś, tak jak pan mecenas naprzykład, środek za cel uważa.

— Co, co ty kochanie powiadasz?

— Powiadam, że niesłusznie potępia pan czasy i pokolenie dzisiejsze; my także mamy swoje ideały, ale warunki życia są inne, wymagania inne i okoliczności inaczej się składają teraz aniżeli dawniej. Płynie

czas, szanowny panie, płynie jak woda i coraz to nowe fale toczą się starem korytem.

Mecenas badawczo spojrzał na twarz Czesława.

Zapewne — rzekł — zapewne, świat idzie... śpieszy się... i w tym pośpiechu gubi co dobre, a lichotę zbiera.

— Bywa też odwrotnie, panie mecenasie—rzekł młody człowiek z uśmiechem.

— Odwrotnie? hm... może.

— Bywa panie, rzeczywiście bywa.

— Być może, iż w niektórych razach tak się dzieje; ja mam swój wyrobiony już sposób widzenia rzeczy.

— Ręczę, że w zasadzie zgodzilibyśmy się na jedno, pomimo różnicy w szczegółach.

— Mojem zdaniem i szczegóły ważne są.

— To zależy.

— Ważne, powtarzam że ważne, bo proszę cię, ze szczegółów ogół się składa, ale odeszliśmy od przedmiotu, od tego co cię najbardziej obchodzi.

Czesław bliżej krzesełko swoje przysunął.

— Milionerem, mój kochany, nie będziesz — rzekł stary.

— Niech mi pan wierzy, że osobiście cała ta sprawa obchodzi mnie bardzo mało. Zapewniam pana.

— No?

— Tylko ze względu na matkę i na siostrę, głównie nawet ze względu na matkę, bo siostra moja, to bardzo energiczna, pracowita dziewczyna; ta sobie da rady na świecie.

— Roześmiał się mecenas.

— Ładna panna — rzekł — znajdzie prędko męża.

— Nie myśli o tem.

— A to jakaś osobliwsza dziewczyna, dalibóg. I ty, panie Czesławie, naturalnie wierzysz temu?

— Wierzę.

— Oj ty, naturalisto! No, ale przypuśćmy, że zamąż nie pójdzie, cóż będzie robiła? Lekcyjki na mieście? Mój kochany, teraz w Warszawie więcej nauczycielek niż uczących się. Niedaleko zajdzie na tej drodze.

— Nie ma też podobnego zamiaru.

— Więc igiełka? także niewdzięczne zatrudnienie...

— I to nie.

— Zatem?

Czesław opowiedział szczegółowe zamiary swej siostry, których wykonanie przerwała wieść o sukcesyi i wyjazd do szwagra.

Wysłuchawszy tej relacyi, mecenas wstał i zaczął chodzić po pokoju szerokiemi krokami.

— No!—rzekł—szczególnie, doprawdy szczególnie, i to są wasze ideały?

— Tak, panie.

— Ideały, nie ma co mówić!

— Przyzna pan, że uczciwe.

— Tak, tak, ani słowa. Uczciwe, że uczciwe to prawda.

— Ma pan mecenas co przeciwko temu?

— Cóżby? nie mam nic.... jak cię kocham nic... ale dziwne mi się to wydaje.

— Czas, panie szanowny, czas.

— Masz słuszność... ktoby temu uwierzył przed laty?

— A jednak...

— Prawda, prawda... tak trzeba... tak dobrze, słuchaj no — rzekł po chwili milczenia, a z sobą co zamierzasz uczynić?

— Kursa chcę skończyć przedewszystkiem.

— To się rozumie, mój drogi, ale później? Gdzież podziejesz zdobytą naukę,

w jaki sposób zużytkujesz swój dyplom? Ciasno wszędzie, dyabelnie ciasno, mój kochany.

— To prawda.

— W dodatku jeszcze wybrałeś też sobie fakultet, niech cię kule biją! Nauki przyrodnicze! Na co ci się to przyda? Że; byś prawnikiem był, to jeszcze pół biedy-adwokatura przynajmniej daje kawałek chleba, naturalnie do czasu, bo niedługo będzie więcej adwokatów niż klientów. Ale nauki przyrodnicze? Gdzie się z niemi podziejesz, biedaku? Wszędzie ciasno!

— Ja też, panie mecenasie, pójdę tam, gdzie jeszcze, względnie przynajmniej, nie ma wielkiego natłoku.

— Ciekawym!

— Ogrodnikiem będę.

— Ogrodnikiem?!

— Tak jest.

— Takim, co kapustę na targach sprzedaje?

— W tym rodzaju, z tą może różnicą, że będę tę kapustę trochę umiejętniej uprawiał, aniżeli niewykształcony ogrodnik.

— Ogrodnikiem, ogrodnikiem—powtarzał mecenas. — Ha, zapewne, jestto także zawód, ale czy warto było dla niego koń-

czyć szkoły, odbywać studya uniwersyteckie, tracić najpiękniejsze lata młodości nad książką? Jeżeli miałeś taki zamiar, to lepiej było odrazu po ukończeniu kilku klas pójść do jakiego ogrodu na praktykę.

— Ja też to zrobię.

— Co?

— Pójdę na praktykę, bez tego obejść się nie sposób.

— A potem, cóż potem będzie?

— Albo przyjmę obowiązek w jakim dużym zakładzie ogrodniczym, albo może też kiedy własny ogród założę.

— Z sukcesyi?

— Ta jest dla matki.

— Hm, hm, — pomrukiwał starowina, puszczając dym z cygara.—Ideały, osobliwe ideały, na honor. A no, trudno, czas taki...

— Pan mecenas nie pochwala tego?

— Co? Nie pochwalam? dlaczego nie mam pochwalać? Powiadam tylko, że czas taki, a skoro czas tego wymaga, skoro w danej chwili ta praca pożyteczna jest, to niech ci Bóg błogosławi, moje dziecko... Pracuj.

Czesław pocałował staruszka w ramię.

— Dzękuję za słowo zachęty— rzekł.

— Pracuj, pracuj — powtarzał mece-

nas,—a siostrę sprowadź do Warszawy, po co ma tam siedzieć. Powiedz jej jak istotnie rzeczy stoją, niech się nie łudzi.

— Szwagrowi trudno będzie wyperswadować.

— I nie kuś się o to.

— Dlaczego?

— Bo to próżna fatyga. Jemu sukcesya owa zajechała jak fura siana. Zdaje mu się, że weksle są pewne, że wszystko będzie odebrane. Utrzymuje go w tem przekonaniu pewien jegomość, który chce się podjąć przeprowadzenia całego interesu. Łudzi go.

— I mama także się łudzi.

Mecenas rozśmiał się.

— Rozczarują się później, ale zawsze będą mieli przyjemne wspomnienia; pan inżynier przynajmniej.

— Tak, on bardzo pragnie być milionerem.

— Słyszę, że już nowe koleje buduje— rzekł śmiejąc się, — fabryki zakłada; no, niech się łudzi, skoro lada bajkom wiarę daje... niech się łudzi, a ty, mój kochany, siostrę sprowadź napowrót.

— Dziś jeszcze do niej napiszę.

W przedpokoju dzwonek brzęknął.

— Stara gwardya idzie — rzekł mecenas wstając, — obiecali się na dziś... towarzysze z lat dziecinnych... Hę! hę! młodzież z przed lat pięćdziesięciu, ani podobna do was... Jak się zestarzejesz, jak ci włosy z głowy uciekną, to przekonasz się dopiero, co to za przyjemność o dniach młodości wspominać, z towarzyszami gawędzić.

— Nie będę więc przeszkadzał.

— Bywaj zdrów, a od czasu do czasu zajrzyj do mnie. Ja zdaleka będę czuwał nad waszą sprawą.

. . . . . .

Po dobrym obiedzie, pan inżynier, swoim zwyczajem, z gazetą świeżo otrzymaną z poczty i z doskonałem cygarem w ustach, udał się na spoczynek do swego gabinetu.

Ułożywszy się wygodnie na miękkiej otomance, odczytywał przegląd polityczny, przymrużając powoli jedno oko. Bez polityki i cygara nie mógł usnąć.

Właśnie gdy cygaro już gasło, a obraz stosunków parlamentarnych w Anglii niknął powoli, jakby we mgle, przed oczami pana inżyniera, gdy w niezakłóconej niczem ciszy gabinetu rozpoczynał swe panowanie Morfeusz, drzwi otworzyły się z trzaskiem i na środek pokoju wpadła radczyni.

Była przerażająco blada i zmięszana.

Inżynier zerwał się na równe nogi.

— Adolfie!

— Cóż się stało? co to jest? Doprawdy, już nie pojmuję, jak można tak gwałtownie szarpnąć drzwiami, gdy kto zasypia.

— Adolfie!

— Mama nie ma żadnego względu. Przecież nie pali się chyba?

— Nie.

— No i nikt nie umarł... nikt nie zasłabł.

— Nie.

— No, to już nie rozumiem. Głowa mnie rozbolała, jakby w nią kto obuchem uderzył. Cóż jest? niechże się nareszcie dowiem, co to jest?!

— Ah nieszczęście!

— No?

— Wyobraź sobie, Janinka ze Stasią w tej chwili po obiedzie wyszły do sklepu po jakiś sprawunek.

— No, na miłość Boską! toć to jeszcze nie powód go rozpaczy.

— Ja zostałam sama... dzieci były w drugim pokoju z boną, a na stoliku stał koszyczek, w którym Stasia chowa swe robótki...

— Nie rozumiem, dla czego mama opowiada mi to wszystko.

— Nieszczęście, nieszczęście, mój Adolfie.

— Ależ...

— Czekajże, daj mi myśli zebrać. Koszyczek stał... Stasi koszyczek. Naturalnie, chciałam go sprzątnąć, bo w stołowym pokoju nie miejsce dla takiego koszyczka.

— No, więc sprzątnęła mama koszyczek i cóż dalej? Cóż nareszcie dalej?

— Nie, nie sprzątnąłem, bo przykrywka była nieco odchylona i dostrzegłam list.

— Przecie! list był pisany do Stasi.

— Czyś go widział?

— Nie, ale przypuszczam, że list znajdujący się w koszyczku Stasi, był prawdopodobnie do niej pisany.

— Otworzyłam ten list i struchlałam...

— Ponieważ zawierał wyznanie uczuć młodzieńca, zakochanego w Stasi.

— Ależ ten list był z Warszawy.

— I to nic nadzwyczajnego, gdyż ja odrazu zgadłem, że Stasia jest zajęta kimś w Warszawie.

— Stasia nie jest nikim zajęta—rzekła z gniewem sędzina, — list napisany ręką Czesława.

— Pana Czesława! no proszę, to musi być coś ciekawego.

— Nie ciekawego, ale okropnego! Oto go masz, masz, czytaj! Z temi słowami, radczyni jak bezwładna padła na fotel i zakryła oczy rękami.

Pan inżynier lubił pozować na anglika; wszystkim kazał podziwiać swą zimną krew i panowanie nad sobą. I tym razem z roli nie wyszedł.

Włożył na nos binokle, zapalił zagasłe cygaro i, zbliżywszy się do okna, czytać zaczął.

W miarę czytania jednak, twarz jego wydłużała się i bladła, a usta kilkakrotnie drgnęły nerwowo.

Przeczytał uważnie cały list raz i drugi, złożył go napowrót starannie i, podając radczyni, rzekł:

— Zwracam mamie ten familijny dokument.

— I cóż! co ty powiadasz, Adolfie? Czytałeś przecie.

— Czytałem.

— I?

— I oddaję mamie list z prośbą, aby mama włożyła go napowrót do tajemniczego koszyka.

— Ależ ten list zawiera przerażające wieści.

— Zapewne... gdyby były prawdziwe.

— Więc ty im nie wierzysz?—zawołała chwytając go za rękę — ty im nie wierzysz, wszak prawda?

— W ogóle, nie przywiązuję wielkiej wagi do informacyj pana Czesława, zawsze lubił on występować w roli puszczyka.

— Nie wierzysz, mój Adolfie, ty naprawdę nie wierzysz. O! powiedz mi to raz jeszcze.

— Naturalnie, że nie wierzę i przyznam się mamie, że nie potrzeba było robić takiego alarmu i przeszkadzać mi wytchnąć trochę po pracy. Wybaczy mama, że się położę znowu.

— Więc ty nie wierzysz?!

— Z całym spokojem usnę.

— O! życie mi wracasz, mój drogi. Ta wiadomość ugodziła we mnie jak piorun, sądziłam że...

— A widzi mama, jak to niedobrze czytać cudze listy.

— Przecież to list od syna! Ah! jak to dobrze, że ty nie wierzysz. Masz zasadę nie wierzyć. Ty się lepiej znasz na takich rzeczach, aniżeli Czesław, studencik.

— Spodziewam się.

— Tak... połóż się... odpocznij. Przebacz, żem ci sen przerwała, ale to było straszne, przerażające. Czesław pisze o tem z taką obojętnością. No, połóż się nareszcie, mój Adolfie, ja wyjdę...

— Bardzo dobrze. Położę się i usnę jak kamień... gdyż bardzo potrzebuję snu.

Pani radczyni wyszła.

Inżynier skłamał. Nie położył się wcale i nie usnął; nie mógłby usnąć, choćby chciał, bo list Czesława, dawał mu dużo do myślenia, a przeraził go jeszcze bardziej, niż biedną, schorowaną radczynię.

Budowa nowej drogi, kolosalne zyski, skuzynowanie się z vice-dyrektorem, mającym tak rozległe stosunki i wielkie wpływy, wszystkie te ponętne obrazy, wypieszczone, wymarzone w ambitnej głowie pana inżyniera, musiały rozwiać się i pierzchnąć. Bez wielkich kapitałów nie sposób podejmować wielkich spekulacyi, a kaszlący vice-dyrektor, jedynie dla pięknych oczu Stasi, nie zechce pozbawiać się staro-kawalerskiej wolności.

Mózg pana Adolfa pracował forsownie. Co robić? Czy doniesienie Czesława, opie-

ra się na prawdzie? Czy stary, niedowierzający mecenas, nie zapatruje się zbyt pesymistycznie? Takie pytania zadawał sobie pan Adolf, a z tych znowu pytań, wywiązywał się cały szereg następnych. Jeżeli mecenas ma dobre informacye, jeżeli jest tak istotnie, jak Czesław donosi, co robić? Czy nie skorzystać z czasu i nie przyspieszyć małżeństwa Stasi. Dygnitarz jest prawie zdecydowany, dawał to już wyraźnie do zrozumienia. Gdyby przyspieszyć, zanim się ludzie prawdy dowiedzą? Myśl dobra, a po ślubie wszystko jedno. Niech się dowie.

Idzie o Stasię, bo z jej strony może być opór, ale na nią łatwo znaleźć sposób; dziewczyna egzaltowana, matkę bardzo kocha, czemużby nie miała dla niej się poświęcić. Zresztą, czyż to na długo! Wicedyrektor nieszczególne ma zdrowie, więcej nad kilka lat nie pociągnie.

Pozostaje najważniejszy szkopuł: jak zapobiedz, aby fatalnej wieści nie rozgłoszono przedwcześnie? Stary mecenas jest dyskretny, z postronnemi osobami o sprawie cudzej nie mówi z zasady. Znany jest z tego. Co się tyczy Czesława, to odludek zamknięty w sobie i do zwierzeń nie-

skłonny. Matka przez samą ambicyę milczeć będzie. Nie przyzna się. Lecz obcy! jakim sposobem zamknąć im usta, jeżeli się dowiedzą?

Na to pytanie, pan inżynier nie znalazł odpowiedzi.

Usiadł przy stoliku, zredagował depeszę i zadzwonił.

— Idź mi natychmiast do telegrafu — rzekł do służącego — i zapłać za odpowiedź. Spiesz się.

Służący pobiegł jak strzała.

Pan Adolf wszedł do salonu, gdzie zastał radczynię zatopioną w smutnych myślach. Podejrzenie trułoją, pomimo zapewnień zięcia, że wieści są fałszywe.

— Już się wyspałeś, Adolfie? — zapytała.

— Właściwie nie spałem wcale.

— Nie mogłeś?

— Owszem, mogłem, ale przypomniałem sobie, że mam do załatwienia pilny interes służbowy, a wiadomo mamie, że u mnie obowiązek przedewszystkiem. Teraz umyślnie przyszedłem do mamy, aby jeszcze powiedzieć parę słów, z powodu niefortunnego listu pana Czesława.

— Ale ty mu nie wierzysz?

Naturalnie że nie... jednak niech mama będzie łaskawa nie wspominać Stasi ani słóweczka o tym liście.

— Nie!

— Ani jednego wyrazu.

— A ja właśnie chciałam napisać do Czesława z wymówką. Zaczynałam już nawet, ale fatalny ból głowy przeszkodził mi.

— To dobrze się stało. Udawajmy, że nie wiemy o niczem. Stasia pierwsza nie odezwie się.

— Zkąd to możesz wiedzieć.

— Bo Czesław w liście prosi ją o sekret, a mama wie, jak Stasia ulega wpływowi brata.

— Bardziej niż naszemu — rzekła radczyni z westchnieniem.

— Tak, to jest niestety fakt.

Przeszedł kilka razy wzdłuż salonu, wreszcie, zatrzymawszy się przed radczynią, rzekł:

— Nic nam nie może bardziej zaszkodzić, jak wszelkie fałszywe pogłoski i plotki, dla tego szczególnie proszę, żeby się mama niczem, a niczem nie zdradziła.

— Wszak ty nie wierzysz, Adolfie?

— Nie wierzę, lecz wcale sobie nie ży-

czę, żeby ludzie o tem mówili; każda plotka rozpowszechnia się bardzo prędko, a jak w tym razie, mogłaby nam zaszkodzić.

— Cóż, gdy się pokaże, że nieprawda?

— Choćby nawet, niejeden plan może się nie udać, a później, trudno już będzie naprawiać.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Adolfie.

— Idzie mi o los naszej Stasi.

— Ah! o vice-dyrektora?

— Właśnie. Plotka może go odstręczyć.

— Radczyni zamyśliła się.

— Dla mnie osobiście — mówił dalej inżynier — to jest absolotnie wszystko jedno. Mama wie, że i cała sukcesya nie obchodzi mnie tak bardze. Mam niezależne stanowisko i przyszłość. Inna rzecz ze Stasią, taka bowiem świetna partya, może się drugi raz nie trafić. Zapewniam mamę, że tylko o tę dziewczynę mi idzie.

— Jakiś ty dobry, Adolfie.

— Spełniam tylko moralny obowiązek, jako najstarszy w rodzinie Ten właśnie obowiązek każe mi czuwać nad mamą i Stasią. Jak Stasia los swój ustali, wten-

czas odetchnę spokojnie. Dla tego też proponowałbym kochanej mamie...

— Mów, proszę, wszystko zrobię co trzeba.

— Trzebaby Stasię przygotować, oswoić z tą myślą... Należy działać szybko... ponieważ tamten, lada dzień może się oświadczyć.

— Niepodobna!

— Kiedy ja mamie powiadam, że tak jest, to można wierzyć.

— Ja ci też wierzę, lecz...

— O cóż mamie idzie? — spytał niechętnie.

— Tak nagle, tak prędko. Obawiam się, że Stasia nie da się odrazu przekonać.

— Ha! jak jej się podoba! Wolno jej przyjąć lub odrzucić szczęście... bo przyzna mama, że taka partya, to szczęście.

— Zapewne.

— Stasia, jak Stasia — rzekł pan inżynier — młoda, niedoświadczona, prawie dziecko, zresztą, pod wpływem braciszka; ale mama rozumie o co idzie.

— No tak, zapewne... starać się będę wszelkiemi sposobami, żeby ją przekonać.

— Ja też liczę na to w zupełności

i jestem pewny pomyślnego skutku zabiegów.

— Radczyni westchnęła.

— Właśnie teraz, jak Stasia powóci, znajdzie mama doskonałą sposobność do pomówienia z nią. Ja, żeby nie przeszkadzać, wychodzę.

— Prędko wrócisz?

— Nie wiem, prawdopodobnie jednak wrócę późno. Wstąpię do klubu, gdyż chciałbym się przekonać, czy kursują jakie niepotrzebne plotki.

— Tak, masz słuszność, w klubie najprędzej mogliby coś wiedzieć.

— Jeszcze jedno. Gdyby Stasia nie dała się odrazu przekonać, to niech mama wezwie na pomoc moją żonę.

— Janinkę?

— Tak, ona poprze argumenta mamy.

— Niewiele mam wiary w jej wymowę.

— Zdaje się mamie, potrafi ona być bardzo elokwentną w potrzebie, mówię to z własnego doświadczenia. Naturalnie, na mamę więcej liczę, aniżeli na nią, ale zawsze może panie we dwie, wspólnemi siłami, prędzej dojdziecie do pożądanego rezultatu. Zostawiam więc mamie plac boju

i uciekam, w nadziei, że wróciwszy, powinszuję zwycięztwa.

Powiedziawszy to, pan inżynier wyszedł.

Radczyni zostawszy sama w salonie, zapadła w głęboką zadumę. Oparła głowę na rękach i siedziała nieruchomo.

W przeciągu kilku godzin, doznała tylu wrażeń, iż nawet jasno sprawy sobie zdać z nich nie mogła. Przytem zamierzona stanowcza rozmowa, napełniała ją także niepokojem i trwogą.

Jak Stasi powiedzieć, jakiemi słowy przekonać, jeżeli się nie zgodzi?... jaki moralny nacisk wywrzeć, jeżeli opierać się będzie?

Radczyni, aczkolwiek pragnąca blichtru, do którego całe życie przyzwyczajona była, aczkolwiek lubiąca zbytek, a przynajmniej jego pozory, pojmowała jednak bardzo dobrze, iż niełatwo będzie namówić młode dziewczę, aby zaledwie na progu życia, już się tego życia wyrzec miało; przytem w sercu radczyni budziło się uczucie macierzyńskie. Ono kładło swoje veto, ono nie pozwalało, aby młodziutką, pełną sił, życia i energii istotę łączyć dozgonnym węzłem z człowiekiem schorowanym i cier-

piącym, przeżytym i zgorzkniałym przedwcześnie.

Wprawdzie pan inżynier bardzo mądrze tłomaczył, że młodość mija szybko, a dostatki uprzyjemnić mogą całe życie, aż do ostatniej chwili prawie, radczyni czuła, że ten argument całkiem słuszny z pozoru, do przekonania Stasi trafić nie może.

W ogóle, trudno jest bronić sprawy, nie mając przeświadczenia o jej słuszności.

Pani inżynierowa ze Stasią powróciły z miasta. Pierwsza udała się zaraz do dzieci, druga zarumieniona, wesoła, wbiegła do salonu i rzuciła się matce na szyję.

— Powiadam mateczce — rzekła — ubawiłyśmy się wybornie. Dawno już tak serdecznie nie śmiałam się jak dzisiaj!

— Przecież byłyście w sklepie?

— Tak, ale wypadek chciał, że znalazło się tam kilka pań znajomych. Naturalnie, rozmowa, w trakcie tej znowu przyszło kilka osób. Kupiec, kupcowa i wszyscy subiekci, nie mogli wyjść z podziwu...

— No, dla czego?

— Zdawało im się, że całe towarzystwo tutejsze... nie! źle się wyrażam moja mamo, że cała śmietanka towarzystwa tu-

tejszego, dała sobie rendez-vous w tym sklepie.

— To szczególne...

— Przypadkowo tak się złożyło. Tutejsze panie zwykle po obiedzie, w braku lepszego zajęcia, puszczają się na wędrówki po sklepach. Janinka powiada, że to się oddawna praktykuje. Chodzą, przeglądają, kupią jaką bagatelkę, a najczęściej, nie kupią nic i powracają do domu.

— Także dziwna przyjemność.

— Ależ jest, jest przyjemność, zaraz mateczce powiem. Wędrując po sklepach, nie mija się nigdy wielkiego magazynu Fajngolda. U niego właściwie jest główna stacya.

— Jakto stacya?

— Do tego sklepu zbiegają się nowinki ze wszystkich stron miasta, przefiltrowane odpowiednio, ulepszone i udoskonalone.

— Zkąd ty to wiesz, moja Stasiu?

— Janinka wtajemniczyła mnie dziś w te szczegóły; inaczej nie wiedziałabym wcale, że taka wspaniała instytucya znajduje się w miasteczku.

— Czy Janinka często chodzi do owego sklepu?

— Bardzo rzadko i w tem właśnie jest powód mojej wyjątkowej wesołości.

— Nie rozumiem.

— Zaraz mamie wytłomaczę: Janinka zawsze liczyła się tu do arystokracyi, a tembardziej teraz. Ja, jak mamie wiadomo, jestem przecież milionową panną. Cóż dziwnego zatem, że jakeśmy się pokazały na ulicy, przyglądano się ze wszystkich okien. Nie żarty, moja mamo, takie dwa słońca jak my!

Radczyni uważnie spojrzała na córkę. Czyżby i ona nie wierzyła temu, co Czesław donosi.

— Więc, proszę mateczki — mówiła dalej Stasia — jak nas zobaczono, zrobił się zaraz wielki ruch. U Fajngolda w sklepie było pełno. Wszystkim paniom wypadło robić sprawunki, a że za paniami zwykle ciągną panowie, na poczekaniu, sklep zamienił się w salon.

— Wyobrażam sobie radość właściciela, musiał sporo zarobić przy tej okazyi.

— Sądzę, że przeciwnie, moja mamo.

— No?

— Bo tak gorliwie zajmowano się sprawami bliźnich, a zwłaszcza nieobecnych, że każdy mógł zapomnieć po co właś-

ciwie przyszedł.—Ale cóż tam, mało mnie obchodzi, czy pan Fajngold zarobił wiele, czy stracił, dość, że ubawiłam się jakby na jakim raucie. Brakowało tylko muzyki i deklamacyi.

— Uważam, moja Stasiu, że jesteś dzisiaj bardzo wesoła — rzekła radczyni z westchnieniem.

— Czy to mamę smuci?

— Co znowu! nie smuci mnie wcale, przeciwnie... tylko widzisz, moja droga...

— Tylko co, mateczko?

— Twoja wesołość, właśnie dzisiaj, to jest nawet nie dzisiaj, ale w tej mianowicie chwili, nie jest mi na rękę...

— Ah, mamo! gotowa jestem zasmucić się, a nawet rozpłakać, jeżeli to mamie przyjemność sprawić może.

To rzekłszy, Stasia zarzuciła rączki na szyję radczyni i serdecznie całować ją zaczęła.

— Zawsze jesteś dziecko—rzekła wpół nadąsana, a wpół rozczulona matka—dziecko! tylko dziecko!

— A czem mam być dla ciebie, droga mamo? Całe życie pragnęłabym pozostać tą samą małą Stasią.

— Moja droga, ja właśnie chciała-

bym cię widzieć osobą zastanawiającą się, poważną, trzeźwo zapatrującą się na przyszłość.

Stasia zrobiła komicznie poważną minkę. Usiadła na fotelu prosto, sztywnie i, naśladując ruchy swego szwagra, rzekła:

— Jeżeli idzie o obowiązki, to jestem gotowa; tylokrotnie wspominałam już, że wedle definicyi największych mędrców starożytnych, obowiązek jest to... panie dobrodzieju, iż się tak wyrażę... przedewszystkiem obowiązek.

— Stasiu! Stasiu! — rzekła z wyrzutem radczyni—ty się śmiejesz, a doprawdy, jest przedmiot, o którym należałoby poważnie pomówić.

— O cóż idzie mateczko?

— O wielkie rzeczy, kochanie, idzie o całą przyszłość twoją.

— Moja mamo, przyszłość jest w ręku Boga.

— Zapewne... ale czy nas to uwalnia od obowiązku myślenia o sobie.

Stasia przybrała minkę tym razem na seryo poważną.

— Nie rozumiem, co mama chce przez to powiedzieć — rzekła.

— Posłuchaj więc.

— Jestem zawsze na rozkazy mamy.

— Doszłaś już do tego wieku, w którym należałoby pomyśleć o ustaleniu losu.

— Ja wiem o tem, mamo, a co się tyczy losu mego, zawsze zastanawiam się nad nim.

— Cóż ty mogłaś dla siebie obmyśleć?

— Myślałam...

— To rzecz matki, jako opiekunki twojej.

— Jeszcze nigdy nie rozmawiałyśmy o tem.

— Uważałam, że czas na to nie przyszedł.

— A dziś, mateczko?

— Dziś co innego: i czas nadszedł i położenie twoje się zmieniło.

— Podług mnie, w niczem.

— O nie, kochanko, zupełnie inne jest położenie biednej dziewczyny, a inne panny majętnej i posażnej.

— Posażnej — rzekła z ironią.

— Tak! Biedna czeka aż ją kto wybrać raczy, panna posażna sama wybiera. Ty właśnie jesteś w tem położeniu, że wybierać możesz, i dla tego właśnie chciałam dziś z tobą pomówić.

— Ale mamo, kogóż mam wybierać, gdy nikt nie stara się o mnie?

— Chyba widzieć nie chcesz.

— Istotnie, nie widzę, niech mama wymieni, kto się tak o moją rękę dobija.

— Wymienię, pierwej jednak chciałabym się zapytać...

— O co, mamo?

— Powiedz mi, ale otwarcie, szczerze, czy serce twoje jest wolne?

— Mogę mamę zapewnić, że dziś ten człowiek, o którym mama myśli, jest mi zupełnie obojętny.

— Szczerze to mówisz?

— Najszczerzej, mamo.

— I po nim, nikt ci się nie podobał, nikt cię bardziej nie zajął?

— Nikt a nikt, mamo.

— Więc nie kochasz nikogo?

— Mamę... Janinkę... Czesia...

— A nie przychodzi ci nigdy myśl wyjścia zamąż?

— Nie, mateczko.

— Ciężar mi spada z serca. Wobec tego, coś powiedziała przed chwilą, misya moja znacznie będzie łatwiejszą.

— Nie wiem, co mama chce przez to powiedzieć.

— Moja Stasiu, ponienki w twoim wieku bywają egzaltowane, ty, jak sądzę, wolna od tego jesteś...

— O mamo, nasze pokolenie dzisiejsze, jest bardzo, bardzo trzeźwe...

— Tem lepiej.

— Może tem gorzej, mateczko.

— Dla czegoż gorzej, moja Stasiu? Przeciwnie, zastanowienie się, rozwaga, zawsze przynoszą w życiu dobre rezultaty.

— Stasia rozśmiała się,

— Nie rozumiem, co jest śmiesznego w tem co mówię, i co cię właściwie do wesołości pobudza.

— Nic, już nic, kochana mateczko, mimowoli przypomniało mi się coś zabawnego... ale ja mamy słucham.

— I naturalnie usłuchasz.

— Chciałabym mateczce zrobić tę przyjemność, lecz trudno odpowiedzieć, nie wiedząc o co idzie.

— O twoje szczęście, Stasiu.

— Ah, szczęście — rzekła z westchnieniem — szczęście!...

— Ostatecznie, czas już pomyśleć o przyszłości, czas wyjść zamąż.

— Kiedy mnie nikt nie chce — odpowiedziała ze śmiechem.

— Co też mówisz? Jest człowiek bardzo, a bardzo tobą zajęty, nawet to mało powiedziane: zajęty, zakochany w tobie po uszy, jak młodzik.

— Jak młodzik, mama powiada, a więc nie młodzik.

— Istotnie, człowiek trochę już poważniejszy, powierzchowności skromnej, ale przy bliższem poznaniu, dużo zyskuje, powiedziałabym, że nawet jest miły. W gruncie rzeczy, moja Stasiu, cóż tam powierzchowność! szczerze mówiąc, głupstwo. Nic nie przemija tak szybko, jak wdzięki młodości i jak wszelkie jej uniesienia. To wszystko, proszę cię, moje dziecko, jest jak kwiatek, ładne zabawne, miłe, lecz krótkotrwałe, a życie natomiast długie, wymagania jego wielkie, coraz większe.

— Słyszałam to przed dwoma dniami od Adolfa, wtrącał do rozmowy słowo w słowo takie zdania.

— Nie dziw się kochanie. Adolf jest człowiek bardzo rozsądny, a przedewszystkiem praktyczny.

— Wiem, wiem o tem, moja mamo, Adolf...

— Wierz mi, że on was bardzo kocha,

a o tobie szczególniej, moja Stasiu, myśli, jak o rodzonej siostrze.

— Tak, przeczuwam, że i dzisiejsza rozmowa wypłynęła z jego inicyatywy, gotowam się założyć.

— Nie potrzebujesz się zakładać, gdyż nie zaprzeczam. Istotnie, Adolf namówił mnie, abym rozmówiła się z tobą.

— Byłam pewna.

— Masz w tem jeden dowód więcej, jak ten człowiek o tobie myśli, jak gorąco i szczerze pragnie twego szczęścia, jak chce żebyś miała dobry byt, dostatki, żebyś była otoczona komfortem, a nawet przepychem, żebyś zajmowała wybitne stanowisko towarzyskie, żebyś weszła w sfery wyższe i tam jaśniała urodą, inteligencyą i dowcipem, żeby twój salon był ogniskiem, przy którem...

— Mamo, mateczko, na miłość Boską, przerażona jestem ogromem dobrych życzeń mego szwagra i tą niepomierną obfitością zaszczytów, jakie na mnie spaść mają. Gdzież mnie, najzwyczajniejszej, po domowemu wychowanej dziewczynie, marzyć o takich nadzwyczajnościach. Nie,

droga mateczko, nie czuję w sobie dość sił, ani też nie mam odpowiednich warunków, ażeby zostać gwiazdą salonów.

— Skromność mówi przez ciebie, czegoż ci brak moje dziecko. Masz młodość...

— To prawda.

— Urodę.

— To już rzecz gustu.

— Nareszcie, masz majątek, a jeżeli przyszły twój mąż będzie dygnitarzem, zajmującym wysokie stanowisko...

— Takiego mi więc raczył wybrać szwagier? Któż jest, jeżeli wolno zapytać, ten co z wysokich progów raczył się zniżyć do mnie, jakby jakiś gromowładny Jowisz z Olimpu...

— Nie żartuj sobie, Stasiu, bo się naprawdę rozgniewam. Jeżeli mówię z tobą na seryo, to przynajmniej racz mnie wysłuchać. Jestem przecież twoją matką i twoją opiekunką. Mogłabym nie robić wielkich ceremonii i powiedzieć po prostu: tak chcę i tak ma być. Mam wszakże tyle wyrozumiałości, że chciałabym usłyszeć także twoje zdanie, uwzględnić je, o ile to

będzie możliwe. Rozmawiam z tobą na seryo, a ty wszystko obracasz w żarty.

W oczach Stasi zakręciły się łzy. Nie odpowiedziała ani słowa, spuściła oczy i starała się opanować wzruszenie.

— Radczyni zdobyła się na krok stanowczy i, dając za wygranę wszelkim wstępom, przystąpiła wprost do rzeczy.

— W tych dniach ma się oświadczyć o twoją rękę pan dyrektor.

Powiedziawszy to, radczyni patrzyła uważnie na córkę, w nadziei, że słowa jej wywołują wrażenie... okrzyk zadziwienia lub niechęci.

— Stasia milczała.

— W tych dniach pan dyrektor ma się oświadczyć o twoją rękę—powtórzyła z naciskiem—cóż ty na to powiadasz?

— Nic — odrzekła spokojnie.

— Nic!

— A naturalnie.

— Przecież to jest... to jest, moja Stasiu, fakt, który bądź co bądź... przynosi ci zaszczyt!

— Najmniejszego.

— I przyjmujesz to obojętnie, zimno.

— Z czegoż się mam cieszyć?

— Każda inna na twojem miejscu, nie posiadałaby się z radości; boć to partya wyjątkowo znakomita.

— Co do mnie, żałuję tylko pana dyrektora, że się naraża na odmowę, co mu, jako dygnitarzowi, przyzwyczajonemu do rozkazywania, zapewne nie będzie przyjemne.

— Odmówisz?

— Stanowczo. Nawet prosiłabym mamy, żeby można przez Adolfa dać mu to do zrozumienia. Na co stawiać człowieka w położeniu przykrem, a poniekąd nawet komicznem...

— I to ostatnie twoje słowo?

— Tak, pierwsze i ostatnie.

— A gdybym się odwołała do ciebie, jako do córki... gdybym ci powiedziała, że to małżeństwo potrzebne do mojego szczęścia, do szczęścia twej starej, schowanej matki.

— Stasia zamyśliła się i, po chwili, odrzekła poważnie.

— Jeżeli moje nieszczęście, ma być twojem szczęściem, mamo, w takim razie... pomyślę.

Powiedziawszy to, wybiegła, aby ukryć łzy, cisnące się do oczu.

Radczyni została sama.

Podniosła się z fotelu i chodzić po salonie zaczęła, powtarzając półgłosem.

— Jeżeli jej nieszczęście ma być mojem szczęściem, jej nieszczęście mojem szczęściem... Nie!

VII.

Przyszła wiosna z całem bogactwem słonecznem jasności, kwiatów i zieleni.

Rozśpiewały się ptaszęta w gajach, rozmodlił się, zawieszony w powietrzu, niby szara plamka, skowronek, powróciły białe bociany do gniazd dawnych i cała ziemia przybrała szatę nową, usianą kwieciem, woniejącą balsamem lasów, obsypaną brylantami rosy.

Ludzie wiejscy uwijali się po polach a i w miastach także ruch powstał, i z murów zatęchłych wysypał się rój dziatwy, żądnej słońca, powietrza i biegania.

W ogrodach, na spacerach publicznych było gwarno, wszyscy witali pożądane, upragnione uśmiechy wiosny.

Pan inżynier pojechał za granicę.

Plenipotent, któremu windykacyę spadku powierzył, zbywał go niejasnemi, lakonicznemi odpowiedziami co do sprawy samej, a pieniędzy na jej prowadzenie wciąż wymagał. W kołach znajomych, zaczęły kursować niepożądane pogłoski, które sobie ludzie z waryantami różnemi podawali.

Jedni twierdzili, że się Lubiczowie z praw swoich do spadku wylegitymować nie mogą, inni, że plenipotent sprzeniewierzył się i z sumą podniesioną do Ameryki drapnął; wszyscy śmieli się z zagranicznych wujaszków, a bardziej jeszcze z siostrzeńców, co się już spodziewanemi milionami cieszyli.

Widocznie, na szczęście Stasi, gdyż matka, przez pana Adolfa namawiana, ciągle nalegała, jakieś echo tych pogłosek do uszu pana dyrektora dojść musiało, gdyż wizyty jego były coraz rzadsze i więcej wynikały ze służbowych stosunków, aniżeli z osobistego dla pana Adolfa afektu; dyrektor wprawdzie ilekroć przyjeżdżał, stawał w jego mieszkaniu, gdzie miał pokój wygodny, obiady doskonałe i partyjkę winta wieczorem, ale na Stasię, nawet uwagi nie zwracał. Kłaniał jej się wchodząc,

i wychodząc, przy obiedzie kilka słów potocznej rozmowy zamienił, dziękował, gdy zagrała lub zaśpiewała, był uprzejmy w miarę, jak konwenans światowy nakazuje, ale nadto nic więcej.

Takie postępowanie uspakajająco wpłynęło też i na Stasię, która, od rozmowy ostatniej z matką, pomizerniała, posmutniała i nie miała innej pociechy nad korespondencyę z bratem, coraz bardziej ożywioną i częstszą.

Miarkując, że ludzie coś mówią, widząc pewną zmianę w postępowaniu niektórych, co się już przed spodziewanemi jego milionami płaszczyli, pan Adolf postanowił poświęcić się dla dobra rodziny i pojechać za granicę, ażeby osobiście rzecz zbadać i raz nareszcie niepewnościom koniec położyć.

Interesa rodziny, pan inżynier brał tak dalece do serca, że się to aż na jego zdrowiu odbiło.

Ciągły niepokój, niepewność, jakaś gorączka wewnętrzna, trapiły go, gdyż pomizerniał, pobladł i ciągle był w stanie rozdraźnienia nerwowego.

Zły humor był jego nieodłączonym towarzyszem, co się też dobrze dawało we

znaki podwładnym. Odetchnęli też z głębi piersi, gdy odjechał i cieszyli się szczerze, iż przez miesiąc przynajmniej, bo na taki czas urlop sobie wyjednał, będą mogli pracować spokojnie, nie potrzebując znosić wybryków kwaśnego humoru pana inżyniera.

Pierwszy list otrzymała pani Janina z Wiednia. Donosił w nim, że czuje się bardzo zmęczonym podróżą i nietęgim na zdrowiu, że zasięgał rady jakiegoś znakomitego doktora, który mu spokój i wypoczynek zalecił. Naturalnie, z owej rady pan Adolf korzystać nie mógł, gdyż obowiązek jest pierwszy, niż zdrowie, a obowiązek kazał jechać dalej i poświęcać się dla dobra rodziny.

Wzruszona do głębi serca, małżonka natychmiast wystylizowała odpowiedź, zaklinając go na wszystko, aby o obowiązkach, chociaż na jakiś czas zapomniał i, korzystając ze sposobności, z urlopu, z wolnego od zatrudnień służbowych czasu, przedewszystkiem cenne swoje zdrowie, ten najszacowniejszy skarb dla rodziny, społeczeństwa i kraju zachował.

Drugi list przyszedł w tydzień później; datowany był już z Paryża.

Radczyni spojrzawszy na pieczątkę pocztową, była niezmiernie ciekawa dowiedzieć się, co też zięć o spadku donosi, ale list był lakoniczny.

W kilku wierszach pisał pan Adolf, że przyjechał względnie szczęśliwie, że czuje się chorym i osłabionym jak poprzednio, że długa podróż bardzo go nuży.

O interesach nie było w liście ani słowa.

Później, przez całe dwa tygodnie trwało milczenie, które bardzo niepokoiło panią Janinę.

Napisała też do męża kilka listów, te jednak pozostawały bez odpowiedzi; przypuszczano, że albo zasłabł, albo tak jest zajęty interesami, że nie ma czasu na pisanie.

Dopiero po dwóch tygodniach list nadszedł, i zawierał między innemi takie wiadomości:

„Zawsze źle wychodziłem, wdając się w sprawy twojej rodziny, moja żono — i tym razem stało się podobnie. Otrzymana wasza sukcesya, jest to rzecz bagatelna, jak dla mnie, nie warta zachodu i straconego czasu. I u was w domu tak było: udawaliście wielkich panów, nie mając gro-

sza przy duszy, dziś udawałyście milionerki, mając ledwie kilkanaście tysięcy w sperandzie. Stało się już. Teraz potrzebuję myśleć o tem, żebym ja przynajmniej sam, dla waszych pięknych oczu, nie był zmuszony tłomaczyć się przed ludźmi i opowiadać wszystkim i każdemu, historyę waszego kuzyna niedołęgi, który zgromadziwszy znaczne kapitały, potrafił je tak doskonale umieścić, że ich teraz sam dyabeł nawet nie wydobędzie. Co do mnie, rozpocząłem odpowiednie kroki o tranzlokacyę na inną linię kolei, mam nawet zamiar wprost z zagranicy udać się na nową posadę. Bądź więc przygotowaną do wyjazdu, a z chwilą otrzymania następnego listu, poślij do stolarza, by upakował rzeczy. Naturalnie, aczkolwiek zawsze byłem i jestem bardzo uprzejmy i względny dla twojej rodziny, jednak ani matki, ani Stasi, na nowe miejsce zabierać z sobą nie mogę, gdyż ostatecznie sam nie wiem, jak się urządzę i jakie będę miał mieszkanie. Trzeba więc dyplomatycznie dać tym paniom do zrozumienia, żeby pojechały napowrót do Warszawy. W taki sposób masz to uczynić, pozostawiam twojej domyślności.“

Pani Janina przeczytawszy list, zamknęła się w swoim pokoju i zaczęła płakać.

Może nietylko bolał ją doznany zawód pod względem materyalnym, gdyż chciwości w charakterze swoim nie miała, a dobrobyt, jakim była zawsze otoczona, nie kierował jej myśli w sferę pragnień i pożądań, opierających się na bogactwie. Żal jej było miejsca, ludzi, do których przewykła, lękała się nowych stosunków i znajomości. straszyła ją myśl przeprowadzki, stracenia tych wszystkich mebli, wśród których kilka lat spokojnie przepędziła.

Nadto, bolała ją myśl rozstania się z matką i siostrą. W ich towarzystwie odżyła, czuła się spokojniejszą, weselszą. Podczas ich pobytu, dom stał się więcej ożywionym i przyjemniejszym.

Teraz, niespodzianie miała się z niemi rozstać.

Przywykła do biernego wykonywania wszystkich życzeń męża, nie pomyślała nawet o opozycyi, o wyjawieniu własnego zdania.

Adolf tak postanowił i tak będzie.

On przecie ma rozum, wie co robi i wie zapewne, dla czego robi tak, nie inaczej.

Zalecił, aby matce i siostrze dać do zrozumienia dyplomatycznie.

Jakto dyplomatycznie? przecież to taka prosta rzecz. Wyprowadzamy się lada chwila, tu będzie nieład, rujnacya, zamieszanie, a więc!...

Obmyśliła pani Janina, że najdyplomatyczniej będzie, pokazać matce i Stasi list pana Adolfa w oryginale.

Tak ją zajmowała myśl o wyjeździe i przeprowadzeniu się, że zapomniała, iż w liście znajdują się pewne wyrażenia, których byłoby lepiej nie pokazywać.

Ale stało się; zakłopotana kobiecina spostrzegła swój błąd wtedy, gdy było już zapóźno.

Radczyni wybuchnęła głośnym płaczem, a Stasia pogardliwie ruszyła ramionami.

— Moja mamo— rzekła—trzeba wyjechać natychmiast.

— Jakto zaraz? dziś? —spytała pani Janina.

— A naturalnie, im prędzej, tem lepiej. Niechże już raz skończy się ten szereg hohaterskich poświęceń, jakich szano-

wny twój małżonek dla dobra naszej rodziny dokonał.

— Ale, Stasiu kochana, uwzględnij, że on to pisał chory, rozżalony, i może mimowoli...

— Masz słuszność, mimowoli wypowiedział to, co zawsze myślał. Co do mnie, jestem mu szczerze wdzięczna, ponieważ stokrotnie przekładam jawną i otwartą niechęć, nad wszelkie obłudne czułości.

— Surowo sądzisz, za surowo, on przecie taki dobry dla was...

— Pozostawiam ci go też, biedna moja siostro, ciesz się jego dobrocią, bo ta ci już musi na całe życie wystarczyć.

— Widzę, że ty i dla mnie serca nie masz.

— To się mylisz. Ja zawsze byłam ci siostrą i zawsze szczerze cię kochałam, ale co do pana Adolfa, to rzecz inna. Teraz poznałam go dobrze. Przedstawił się nam takim, jakim rzeczywiście jest i, dopiero teraz, sam nie wiedząc o tem, wyświadczył mi prawdziwą, istotną przysługę.

— Ja nie rozumiem, co ty mówisz, Stasiu.

— Teraz mam przynajmniej rozwiązane ręce i mogę powrócić do zatrudnienia

swego, do pracy, która mi w przyszłości da niezależny kawałek chleba. Wrócę do naszego cichego mieszkanka na Ogrodowej ulicy, gdzie nam było dobrze i spokojnie.

— A czy ci u nas źle było, moja Stasiu?

— Niech to nie obraża twej godności gospodyni domu, i niech nie uraża uczuć siostry; twoją serdeczność i przywiązanie twoje wysoko cenię, ale jeżeli mam szczerze powiedzieć, mnie tu dobrze nie było, tembardziej, że pobyt mój u was, uważałam za chwilowy. Zgodziłam się na przyjazd do was, tylko dla matki, dla tych złudzeń, które były dla niej tak miłe. Teraz jestem swobodna. Biedna nasza mama rozczarowała się już zapewne, pan wice-dyrektor pohamuje swoje sercowe zapędy, a ja wrócę na tę dróżkę, którą szłam.

Radczyni płakała ciągle.

— Niech mama nie płacze—pocieszała Stasia radczynię.

— Będziemy razem z Czesławem, przecież nie jesteśmy biedni, ja wiem doskonale. To co otrzymamy, wystarczy dla mamy na wygodne życie, a my młodzi, zapracujemy na siebie. Czy mama nie ma mnie,

czy mama nie ma syna, i jakiego syna! Ja mamę otoczę wszelkiemi staraniami i troskliwością. a Czesław będzie naszym opiekunem. To przecież już nie dzieciak, bo człowiek z charakterem, człowiek z przyszłością, a kocha nas obie tak serdecznie.

Nie wiele pomogły pocieszenia te i perswazye.

Pani radczyni płakała wciąż, powtarzając ciągle.

— Wszystko przepadło... ostatnia nadzieja. Łudzicie mnie, że są jakieś resztki, ale ja w to nie wierzę, w nic... w nic... wszystko stracone.

Ani pieszczoty Stasi, ani jej słowa serdeczne, nie wywierały żadnego skutku.

Radczyni wpadła w stan jakiejś apatyi, zniechęcenia. Nic prawie nie mówiła, nic nie żądała, nie sprzeciwiała się, gdy Stasia na drugi dzień termin wyjazdu postanowiła. Pożegnała się dość obojętnie z córką wnukami, które przeciże tak bardzo kochała i dała się zawieść na kolej, jak małe, chore dziecko, spoglądając na świat obojętnie, bezmyślnie.

Stasia wysłała depeszę.

W Warszawie na dworcu Czesław przybycia matki i siostry oczekiwał; gdy pociąg przybył, pospieszył drzwi wagonu otworzyć. Stasia z okrzykiem radości rzuciła się bratu na szyję.

Tak dużo oboje mieli sobie do powiedzenia.

Gdy radczyni znalazła się znowu w dawnem mieszkanku na Ogrodowej ulicy, zaczęła płakać i powtarzać, że wszystko przepadło, że ostatnia nadzieja zniknęła.

Próbował ją Czesław przekonać, że jest inaczej, lecz oświadczyła mu wręcz, żeby sobie nie zadawał fatygi.

— Zwodzicie mnie wszyscy — mówiła — teraz już nikomu nie wierzę; nie mówcie mi o sukcesyi, ani o majątku, pozwólcie cierpieć spokojnie i modlić się... żeby mi Pan Bóg prędzej śmierć zesłał, bo już nic nie mam ani siły, ani ochoty do życia.

Czesław wszakże nie dał za wygranę, pobiegł w tej chwili do mecenasa i poprosił go, żeby osobiście przybył i matkę uspokoił.

Stary prawnik i stary galant zarazem, z tą uprzejmością szczególną, którą się ludzie dawniejszej generacyi odznaczają,

przybył, nie zwłócząc i tyle komplementów, tyle grzeczności dawnej swojej znajomej naprawił, że potrafił ją ożywić i w dobry humor wprowadzić.

Mówił z nią o nieboszczyku radcy, o dawnych towarzystwach, wspólnych znajomych, o koligacyach i pokrewieństwach Lubiczów, a potem nicznacznie zwrócić uwagę na spadek. Opowiedział radczyni całą niemal biografię owego kuzyna, dzieje jego tułaczki, dorabiania się, wreszcie historyę z wekslami, a tak ją umiał zaciekawić i zająć, że słuchała z największą uwagą.

— Zapewne — rzekł, kończąc swoje opowiadanie, — byłoby lepiej, gdyby się wam wszystko dostało, ale trzeba wiedzieć, że i ta resztka nie jest do pogardzenia. Da ona pani spokojny kawałek chleba, aż do najdłuższych dni życia, jeżeli naturalnie ulokowaną zostanie w sposób zapewniający wszelkie bezpieczeństwo.

Radczyni podziękowała staremu przyjacielowi za wiadomość, zapraszała, żeby częściej przychodził, żeby pamiętał o niej, i żeby lokacyę dla kapitaliku obmyślił.

Od tego czasu zyskała trochę na

humorze, ale zdrowie nie dopisywało jej ciągle.

Właściwie, nie była to choroba, lecz upadek sił, które jednak troskliwa opieka podtrzymywała.

Pan inżynier doprowadził swój zamiar do skutku i żądaną posadę otrzymał. Wyprowadził się bardzo daleko, w głąb Rosyi, a mając trochę uzbieranych pieniędzy, puścił się na drobne entrepryzy i spekulacye, w nadziei, że dorobi się milionów.

Bez milionów nie wyobrażał już sobie życia i, postanowił dojść do nich, bądź co bądź.

Kto wie? może i dojdzie, gdyż takie postanowienia silne, bywają niekiedy uwieńczone upragnionym skutkiem.

Pani Janina pisywała dość często, a w listach jej, przebijał żal i tęsknota.

Przysłała w jednym liście swoją fotografię, z niej dowiedziała się Stasia, że oddalenie i tęsknota do ukochanych, prędzej jeszcze niż fizyczne cierpienia, mogą się napiętnować na twarzy.

Czesław kończył kursa, a Stasia chodziła jak dawniej, codziennie do pracy.

Białe jej rączki, zrobiły się szorstkie, i jakby zgrubiałe, ale matka nie wymawiała jej tego.

Może nie dostrzegła, a może też przyszła do przekonania, że czasy się zmieniają, a z niemi i wiele pojęć także.

IX.

Upłynęło lat trzy.

W mieszkanku przy ulicy Ogrodowej, niema już naszych dobrych znajomych, nie ma ich też i w Warszawie.

Wyprowadzili się na prowincyę.

Za fundusze otrzymane ze spadku, nabyli w jednem z większych miast gubernialnych posesyę obszerną, z dużym ogrodem, położoną koło rogatek, nad rzeką.

Pani radczyni ma wygodne mieszkanko, umeblowane według jej gustu i upodobania. Zdrowie staruszki poprawiło się znacznie, poprawił się również i humor. Porobiła nowe znajomości, pozawiązywała stosunki i nie było dnia, żeby ktoś jej nie odwiedził.

Na gawędce, przy doskonałej kawie,

którą namiętnie lubiła, czas jej przechodził wesoło. Szanowano ją, lubiono, miała udział w dobroczynności publicznej, była opiekunką ochrony dla dziewcząt i to jej także sporo czasu zabierało.

Powodów do zmartwień nie miała żadnych. Dzieci mieszkały z nią razem — i jakie to były dzieci!

Czesław zmężniał, wypiękniał, ładny wąsik ozdabiał jego twarz, rozumne oczy patrzyły śmiało, a poważnie.

Skończywszy uniwersytet, poszedł na praktykę ogrodniczą, a teraz na własnym kawałku ziemi pracuje. Stary ogród doprowadza do wzorowego porządku, ciągle go udoskonala i ulepsza.

Skoro świt tylko, już jest przy robocie i do późnego wieczora, pracy nie przerywa.

Dochody ma ładne i kawałek chleba na całe życie pewny; matka namawia go, żeby się żenił, żeby już własną założył rodzinę, ale on się nie spieszy.

Czy mu źle tutaj u siebie?

Stasia kwitnie zdrowiem. Zawsze jest uśmiechnięta, wesoła, czas jej zbiega szybko przy nieustannem zajęciu.

W dwóch pokojach, na dole, ma warsztat, przy którym kilku ludzi pracuje, a w środku miasta, na pryncypalnej ulicy, sklep elegancki.

W warsztacie robota nie ustaje, w sklepie ruch ciągły.

Stasia, oto, poprostu, szewcem jest, obuwie damskie wyrabia. Wyuczyła się tego w Warszawie, i obecnie sama zakład prowadzi.

To jest jedynem zmartwieniem radczyni, że nad sklepem wisi wielka deska z napisem: *Stanisława Lubicz*, ale i z tem nieszczęściem trzeba się było pogodzić.

Czasem, gdy się kilka znajomych pań zejdzie, gdy zaczną o czasach dzisiejszych rozmawiać, i nad zmianami różnemi ubolewać, pani radczyni kiwa smutnie głową i mówi, wzdychając:

— Mąż mój nieboszczyk był radcą stanu... a córka...

Stasia się śmieje w takich razach i zapewnia matkę, że jest także radczynią i rzeczywistą nawet, gdyż rzeczywiście radzi sobie na świecie.

Pan Kazimierz już jej nie prześladuje prośbami o przebaczenie i afektów swoich

nie oświadcza, bo znalazł inną, która go uszczęśliwiła sercem i pożądaną ilością gotówki.

Jest jesień, piękna złota jesień, pogodna i ciepła.

W ogrodzie drzewa się gną od owoców, ciężkie grona winne wychylają się z pod liści malowniczo z sobą splątanych.

W kółku naszych znajomych gwarno i wesoło.

Państwo inżynierowie z dziećmi przyjechali po kilku latach rozłączenia, aby strony rodzinne zobaczyć.

Radczyni wnukami nacieszyć się nie może. Szczęśliwe one, wesołe jak ptaszęta, wszystko je bawi i zajmuje.

Babcia obdarza je pieszczotami i zabawkami.

Pani Janina zmizerniała i pobladła. Ciągle jest wzruszona i zapłakana. Pobyt w odległych stronach, a raczej tęsknota za swoimi, podkopała jej zdrowie.

Teraz czuje się, jakby ją nagle w inny świat przeniesiono; otwiera okno, żeby usłyszyć rozmowę przechodniów, pochwycić nutę jakiej piosenki i śmieje się jak dziecko

do drzew, do kwiatów, do wody, co się w rzece srebrem przelewa.

Tak ją wszystko przejmuje, że co chwila płacze.

Pan inżynier ma ją zawieźć do Warszawy, albo do Wiednia, żeby się jakiego znakomitego neuropaty zaradzić. Stasia twierdzi, że najlepiejby było dla siostry w rodzinnych stronach zamieszkać, ale to niemożebne, ponieważ pan Adolf, miliona jeszcze nie zrobił.

On sam, przez te kilka lat, odmienił się także. Urosła mu ogromna broda, która z dumą rozkłada się na szerokich piersiach, utył na potęgę, akcent mowy zmienił i jeszcze jest okazalszy, poważniejszy, niż przedtem.

Miliona dotąd nie ma, lecz głowę już tak nosi, jakby go oddawna posiadał.

Proszony przez żonę, aby się do matki i rodzeństwa w owiedziny wybrał, zgodził się na to, ze względu na zdrowie pani Janiny, która coraz bardziej szczupłą i mizerną się stawała.

Ustąpił więc jej prośbom, może nietyle z przywiązania i miłości dla niej, ile z obawy, że może stracić kobietę, nad którą po-

korniejszej, potulniejszej i bardziej wszelkim jego grymasom dogadzającej, nie znalazłby na świecie.

Pojechali więc.

Przybywszy na miejsce, powitał matkę żony i rodzeństwo z powagą i z pewnym protekcyonalnym uśmiechem, jakby nigdy nic pomiędzy nimi nie zaszło, a że pomieszczono go wygodnie i obiady miał doskonałe, więc nawet dobry humor i zadowolenie okazywał.

Pewnego dnia, przy święcie, gdy już czas pobytu państwa Adolfów u rodzeństwa do końca dobiegał, podano obiad w grodzie, w altanie obwieszonej splotami dzikiego wina.

Czesław, jako gospodarz, był dla gości uprzedzający i uprzejmy. Stasia ożywiała towarzystwo niezrównanym humorem, na twarzy radczyni promieniał uśmiech szczęścia.

Nawet pani Janina, choć ją myśl bliskiego już odjazdu przerażała, zapomniała na chwilę o swej trosce, w tem gronie rodzinnem szczęśliwą się czuła.

Po obiedzie Czesław przyniósł koszyk wybornych owoców i butelkę starego wina.

Pan inżynier był bardzo zadowolony; doskonały obiad i wino usposobiły go nawet do wynurzenia czułości.

— Słuchaj, panie Czesławie — rzekł,— bywało to pomiędzy nami rozmaicie...

— Jakto?

— A no, przyznaj, że nigdy do mnie nie miałeś sympatyi.

— Ależ co znowu!

— Nie zaprzeczaj. Ani ty, ani Stasia...

— Ah, już co do mnie...

— Tak jest, nie lubiliście mnie, a jednak ja chciałem zawsze waszego dobra. Jeżeli nie wierzycie, spytajcie Janinki, ile razy zajmowały mnie myśli o waszym losie. No czyż nie tak, moja żono?

— Tak, w samej rzeczy—odparła pani Janina, — Adolf was bardzo kocha, a chociaż niekiedy bywa przykry...

— Że też przez tyle lat pożycia naszego, nie nauczyłaś się jeszcze rozróżniać, co to jest być dla kogo przykrym, a co zachowywać odpowiednią do stanowiska swego godność i powagę! Ja nietylko dla twego rodzeństwa, ale nawet dla moich podwładnych, dla ludzi zależnych odemnie, nigdy przykry nie jestem, zachowuję się tak, jak

tego moja godność i stanowisko wymagają. Cóż chcesz? Przecież nie mogę wdawać się z nimi w żarciki i dowcipki.

— Słusznie, słusznie — odezwał się Czesław z lekkim odcieniem ironii. Powaga przedewszystkiem.

— Tak, powaga i obowiązek. Gdy wszyscy pełnią obowiązki swoje, a raczej, gdyby wszyscy swoje obowiązki pełnili, byłby na świecie idealny ład i porządek.

— Bagatela, gdyby wszyscy...

— To jest właśnie mój ideał ustroju społecznego. Jedna część ludzkości, ma się rozumieć, znacznie mniejsza, powinna zarządzać, druga, w znakomitej większości, stać wyprostowana jak drut, słuchać i ślepo wykonywać to, co się każe. To jest moje marzenie.

— A gdyby cię los postawił wśród większości? — zapytała Stasia — czy miałbyś te same przekonanie?

— Rzecz naturalna, że tak, tylko przez sumienne, ślepe wykonywanie zleceń danych mi przez zwierzchników, starałbym się wydobyć z większości, która słucha i dostać się do szeregów mniejszości, która rozkazuje. Ale odeszliśmy od przedmiotu.

Wszczałem tę rozmowę dla tego, aby przekonać was, że zawsze o was myślałem.

— Któż kiedy wątpił, zawołała radczyni.

— Byli tacy. Czesław naprzykład...

— O, mój panie Adolfie, dajżesz pokój. Jesteś mężem naszej siostry, jesteś naszym gościem, pragnąłbym przyjąć cię jak najserdeczniej, a ty wszczynasz kwestye, o których lepiejby nie mówić.

— Ale...

— Ale pozwól. Podoba ci się to wino?

— Doskonałe! Od wielu lat nie miałem w ustach takiego nektaru.

— A więc jeszcze jeden kieliszek!

— Zgoda! Pić dobre wino, to jest także do pewnego stopnia obowiązek, ale widzisz, Czesławku kochany...

— Co?

— No, ja wam zawsze mówiłem, to jest tobie i Stasi, że praca jest podstawą bytu człowieka. Czy tak?

— Zdaje się.

— Zawsze wam mówiłem, że nie należy oglądać się na cudzą pomoc. Nie mam pretensyi do wdzięczności, ale musicie przyznać, że dobrobyt i stanowisko,

zawdzięczacie moim życzliwym radom. Zawsze byłem zwolennikiem pracy ręcznej połączonej z wykształceniem pracownika i jestem dziś szczęśliwy, widząc, że moje nauki, moje wskazówki, moje rady, wydały tak błogie owoce.

KONIEC.

PANI Z PIESKIEM.

(OBRAZEK Z BRUKU).

I.

W najstarszej dzielnicy Warszawy, tam gdzie, jak małe strumyki do jeziora, ciasne i ciemne uliczki wpadają do rynku Starego Miasta, w domu wązkim a wysokim niepomiernie, cztero czy nawet pięciopiętrowym, mieszkała i mieszka jeszcze zapewne dotychczas „pani z pieskiem".

Nie trzeba sądzić, że ta dama nie ma nazwiska,—owszem, miała ich aż trzy. Panieńskie, później 1-o voto, wreszcie 2-o voto, które nosi godnie i nosić będzie, oby jaknajdłużej, aż do końca dni swego poczciwego żywota.

Nazywano ją jednak nieinaczej—tylko „pani z pieskiem". Pod tym pseudonymem znał ją sklepikarz, maglarka, stróż, wymowne straganiarki, zaludniające rynek staro-

miejski, tudzież kawalerowie, którzy z nią miewali bliższe relacye.

Tylko proszę tych ostanich słów źle nie rozumieć, bo „pani z pieskiem" jest wyższa nad wszelkie podejrzenia; raz jako dama silnej cnoty i nieposzlakowanych zasad, powtóre jako uczciwa wdowa, potrzecie, ponieważ skończyła z górą sześćdziesiąt lat życia — i doczekała się licznych wnucząt na swoją pociechę...

Wiedziało o tem dobrze „całe Stare Miasto", a wszyscy prawie jego mieszkańcy znali tę damę i jej pieska, żółtego, spasionego mopsa, który jej zawsze na targ towarzyszył.

Osobiście miałem honor poznać „panią z pieskiem" przed laty siedmioma mniej więcej, mając interes do pewnego artysty-malarza, który od niej pokoik odnajmował.

Gdy, wdrapawszy się z trudem po ciemnych, żelaznych schodach na trzecie piętro, zadzwoniłem, z poza dzwi słyszeć się dało zawzięte ujadanie psa, oraz piskliwy głos kobiecy:

— Pójdziesz, Miluś! a pójdziesz! leżeć!... Zaraz otwieram. Miluś! powtarzam ci po raz ostatni, że dostaniesz wnyki...

Poważna pani w popielatym szlafrocz-

ku, w wielkim czepcu i w okularach otworzyła mi drzwi.

— Przepraszam panią — rzekłem — czy tu mieszka pan Faustyn?

— Nie słyszę, dobrodzieju, nic a nic nie słyszę, nie dlatego, żebym była głucha, ale przez tego łotra-psa! Niech pan pozwoli dalej, porozumiemy się, mam jeszcze jeden pokoik wolny... Bardzo cichy i ciepły, od podwórza... Będziesz ty raz nareszcie cicho! Niech-że szanowny pan siada... Można pomięszania zmysłów dostać przy tym psie...

— Nie chciałbym zajmować pani czasu...

— Ależ, zaraz panie, zaraz... Cóż tak pilnego? Proszę spocząć; a na psa mam sposób. Chce szczekać?... niech gałgan szczeka. Zmęczy się i przestanie. Ja go znam. Nie zaprzeczy pan chyba, że, swoją drogą, jest to śliczny piesek...

— I głos ma bardzo przyjemny. Mops?

— Kajzer-mops, panie, z czarną mordką. To bardzo szlachetna rasa... Aha! już gardło boli, już się sprzykrzyło szczekanie? Widzi pan, już nie ujada... Od czasu jak ostatnią córkę za mąż wydałam, a jest temu blizko dwanaście lat, trzymam stale pieska. Gdy jeden zginie, staram się o drugiego, a zawsze o mopsa, bo to bardzo mą-

dre psy. Niech się pan nie dziwi... gdyby nie Miluś, nie miałabym się do kogo odezwać. Teraz mogę zapytać, co tu pana dobrodzieja sprowadza, bo jeżeli o pokoik, to mam akurat jeden wolny...

— Nie, pani, chciałbym się dowiedzieć o pana Faustyna...

— Pana Faustyna?... tak, to mój lokator, zacna dusza, szlachetny charakter... mieszka tu on, mieszka, ale już go od tygodnia nie widziałam...

— Czy wyjechał z Warszawy?

— Broń Boże, panie dobrodzieju. Gzieżby miał wyjeżdżać? Ale nie przychodzi, tuła się biedaczek, nocuje na mieście, u kolegów, bez żadnej wygody...

— Dlaczegóż-to?

— Właśnie dlatego, że jest szlachetny... zanadto szlachetny, jak pana dobrodzieja poważam.

— Nie rozumiem...

— Widzi pan, jak ma pieniądze, to ich nie utrzyma. Koledzy znają jego charakter... Zaprosi do handelku, na Kępę, ufetuje, ugości... i pieniążki fiu! a potem kryje się przedemną i tuła Bóg wie gdzie, bo jest szlachetny i nie śmie się pokazać bez pieniędzy na stancyę. Co pierwszego powta-

rza się taka historya, aż muszę przez znajomych spraszać, żeby przyszedł. Toć nie jestem, panie, Herod; głowy mu nie urwę, po co ma się biedaczek tułać?... Nareszcie uda się go ściągnąć, przyjdzie i zaraz z miejsca przeprasza:—Ach, pani Jagodzińska kochana, bo ja się po drugim mężu Jagodzińska nazywam, ach, pani, powiada: ja jestem łotr, łobuz ostatniej próby, niegodzien pani zaufania. Tak sam na siebie! aż go muszę uspokajać i mitygować, i nieraz popłaczę się nad nim. Komorne oddać, to on mi odda, wykapie po rubelku, po dwa złote—jak może, bo szlachetny, godna osoba! Ja go też żałuję i, choć to do mnie nie należy, obszyję, obłatam... Bo proszę pana łaskawego, kawaler, to nieraz gorzej niż cygan. Znam ja to dobrze, bo od lat trzynastu, od czasu jak ostatnią córkę za mąż wydałam, trzymam kawalerów na stancyi...

— Żałuję mocno, że pana Faustyna nie zastałem — rzekłem, zabierając się do odejścia—przepraszam panią, żem ją niepokoił...

— A niechże pan się nie śpieszy, on może nadejść, mam przeczucie, że nadejdzie... Pan dobrodziej pewnie krewny pana Faustyna?

— Daleki...

— I także kawaler?

— Od kilku lat już nie...

— A, to bardzo dobrze, bardzo porządnie z pańskiej strony, bo co warto kawalerskie życie?... Napatrzę ja się na nich dosyć... Powiadam panu, mam trzy córki zamężne, mogłabym przy której osiąść, bo zapraszają, bardzo nawet zapraszają, ale ja nie chcę. Nie lubię być ciężarem nikomu i z tego kąta nie myślę się ruszać. Najmłodsza córka bardzo mnie zapraszała do siebie, ale padam do nóg! Wyobraź pan sobie, mieszka niby to w Warszawie, ale gdzie? na Sosnowej ulicy! Kłaniam uniżenie. Czy to Warszawa? Niech pan sam powie... Tu co innego, tu mam wszystko. Chcę pójść do kościoła, to jest zaraz Katedra, Pijary, św. Duch, św. Marcin, Dominikanie, Sakramentki; chcę co kupić, targ tuż, wszystko tuż... Zresztą tyle lat tu przemieszkałam i było mi dobrze, gdzie więc mam czego szukać na starość?

— Pani dawno tu mieszka?

— O, dawno! Trzeba panu wiedzieć, że ja jestem wdowa i to podwójna. Dwóch mężów miałam... pomarli, wola Boska! Pierwszy był urzędnikiem i to dość zna-

cznym, brał tysiąć dwieście złotych rocznie w komisyi skarbu, niby po potrąceniu na emeryturę, półczternasta rubla na miesiąc. Ładny grosz! Porządny człowiek był, ale umarł i to, niech pan dobrodziej wyobrazi sobie, na tyfus! Majątku nie zostawił, bo był młody; zostałam tedy z córeczką, jak to mówią, na bruku...

Wspominała pani o trzech córeczkach.

— A tak, mam trzy, Bogu dziękować, a czwarta umarła dzieckiem, bo widzi pan, poszłam za mąż powtórnie. Byłam jeszcze młoda, zaczęli ludzie swatać, namawiać, no i namówili; wyszłam, i także za urzędnika, ale z poczty. Nieosobliwy urząd, lakiem pachnie zdaleka, ale człowiek był niezgorszy. Żyłam z nim przez lat pięć i, wyobraź sobie pan dobrodziej: także umarł, z zaziębienia! Została po nim garderoba i trzy córeczki... Musiałam dobrze głową kręcić, żeby wyżyć z czworgiem dzieci... no, ale jakoś...

Zaciekawiony, w jaki sposób poczciwa „pani z pieskiem" rozwiązała tę trudną zagadkę, odezwałem się:

— Musiało pani być jednak ciężko na świecie...

Uśmiechnęła się...

— Zapewne — odrzekła — ale przecież wiadomo, że kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył... bo gdyby miał umarzać, to pocóżby stwarzał. Nieprawdaż?

— Zdaje się...

— Radziłam sobie, jak mogłam. Trochę ludzie przyszli z pomocą, a trochę też i szczęście sprzyjało...

— A, szczęście!

— Tak... cóż też pan tak dziwnie patrzy, alboż to ludzie nie miewają szczęścia?

— Chce pani mówić o sukcesyach niespodziewanych, wygranej na loteryi...

— Jaki pan domyślny... Było, panie, i jedno i drugie. Po bracie spadła na mnie sukcesya i ładna, siedmdziesiąt pięć rubli, jak lodu, w trzech papierkach, pamiętam, jak dziś... Na loteryi też wygrałam, nawet dwa razy. Trzymało nas pięć wdów ćwiartkę do współki i, jak panu powiadam, dwa razy wyszła nam stawka. Ale ani z sukcesyi, ani z loteryi wyżyć nie mogłam. Zarabiałam głównie igiełką, szyciem. Młodość, miałam oczy dobre, ludzie dawali robotę, magazynów tyle nie było co dziś, dzieci się chowały, tylko jedna córeczka, najmłodsza,

zachorowała i umarła... Leży na Powązkach, przy ojcu: trzecia brama, niedaleko muru... W nocy-bym trafiła...

Westchnęła kobiecina na wspomnienie owej trzeciej bramy Powązek i—mówiła dalej:

— Szycie, proszę pana, to dobra rzecz, ma się rozumieć, jak idzie, a mnie szło, nie mogę narzekać, nawet pannę do pomocy trzymałam, póki najstarsza córka nie podrosła. Posyłałam dziewczyny na pensyę, tu, na Stare Miasto. Porządna pensya była; utrzymywała ją moja dobra znajoma, dziś już nie żyje, niejaka pani Dziembielińska; zapewne słyszałeś pan kiedy o niej?

— Nie pani.

— To dziwne, cała Warszawa ją znała.

— Ja nie jestem warszawiak.

— A, to co innego. Pensya to była, co się zowie, dwie klasy. Na fortepianie i po francuzku uczyli. Kosztowało rubla na miesiąc. Drogo, bo drogo, ale za to dobrze. Mnie nieboszczka pani Dziembielińska opuszczała cokolwiek, trochę po znajomości, a trochę za to, że jej stare suknie przerabiałam... Nie ma co mówić, znała swoją godność, przecież przełożona, panienki mówiły na nią:

„madame". Otóż, panie dobrodzieju, jak tylko najstarsza skończyła pensyę, zaraz ją oddałam do magazynu na praktykę, a gdy się uzdolniła, pannę oddaliłam i szyłyśmy we dwie... O tej pannie miałabym dużo do powiedzenia, ale wolę zamilczeć, bo lepiej o kim nic nie mówić niż źle, a to, z przeproszeniem pana dobrodzieja, latawiec był! a próżniak... Zresztą, co mi po pannie, skoro miałam córkę do roboty zdolną. Wszystkie trzy pokierowałam w ten sposób. Ja zajmowałam się gospodarstwem, one szyły, ale jak szyły! jaką miały zdolność! Po całem Starem Mieście rozniosło się, że nigdzie tak porządnie sukni nie zrobią, tak gustownie kapelusza nie ustroją, jak u nas... Czy da pan dobrodziej wiarę, że miałyśmy robotę z Podwala, z Długiej, z Zakroczymskiej ulicy, a raz nawet jedna pani z Krakowskiego Przedmieścia dała do przerobienia jedwabną suknię. Jak pana dobrodzieja poważem!

— Więc się pani wiodło?

— I jak jeszcze, szanowny panie, i jak! Na komorne miałam; w sklepiku kredyt, żeby nawet na kilkanaście rubli. Wiodło się, ludzie zazdrościli, a najbardziej jedna wdowa, co miała szwalnię na Kanonii. O! ta,

proszę pana, ujadała, co wlazło... ale znalazłam i na nią sposób.

— Ciekawym, jaki?

— Stary ale dobry. Naprzeciwko mieszkał malarz, zdolny artysta, taki co pokoje maluje, więc go poprosiłam i zapłaciłam, ma się rozumieć, żeby mi na deszczułce wymalował Opatrzność i wypisał te słowa „Dałeś mi, Wszechmocny Panie, z Twojej Opatrzności — daj i tej babie z Kanonii, która mi zazdrości". Tę deseczkę kazałam przybić nadedrzwiami. Panie dobrodzieju, co to było gadania!... Całe Stare Miasto trzęsło się; powiadam, że się trzęsło, jak mnie oto pan żywą widzi. Śmieli się... nie ze mnie, ma się rozumieć, ale z tamtej, bo Pan Bóg nie rychliwy ale sprawiedliwy i złość ludzka musi być zawsze ukaraną... Z tamtej się śmieli, a mnie robota szła, nawet zaczęli ludzie bąkać, że i pieniądze mam...

— A w rzeczywistości jakże było? — zapytałem.

— W rzeczywistości?... Cóż mam się zapierać? Było, bo musiało być. Oszczędzałyśmy, pracowały, więc się tam i pieniądz zawiązał.

— Może będę niedyskretny, ale radbym wiedzieć, jak też dużo pani uzbierała?

— O! sporo! Trzy listy zastawne po sto rubli i papierkami kilkaset złotych. Piękny grosz? Nieprawdaż, panie?

— Spodziewam się.

— Nie chwaliłam się z tem, bo cóż to za chluba? Lada żydziak potrafi złożyć pieniądze, jak ma z czego; ale ludzie podpatrują, a gdy co zobaczą, to dołożą dziesięć razy tyle i puszczają w kurs. Zaczęli opowiadać: „baba ma pieniądze, siedzi na pieniądzach". Mówili przez zazdrość, a mnie się to na dobre obróciło, bo jak o pieniądzach słuch poszedł, zaraz się do moich dziewczyn konkurenci znaleźli. Ale niech pan nie myśli, że się dla pieniędzy pożenili. Dziewczęta były, nie chwaląc się, śliczne. Niech pan dobrodziej się przekona..-

To mówiąc, babina pobiegła do stolika i wydobyła z szufladki fotografje.

— Oto, panie, Michalinka — mówiła, pokazując wypłowiałą już fotografje — najstarsza. Jak malowana, powiadam panu. Ta miała ogromne szczęście, kilku ubiegało się o nią, ale... komornik ją złapał...

— Komornik!

— A tak, tak, jakby pan wiedział, że

komornik. Zabrał jak swoją i ożenił się z nią. Mieszkają teraz na prowincyi, mają czworo dzieci, bardzo im się dobrze powodzi. Co to, panie, komornik! Śliczna posada, chleba po uszy. Innym bieda, a komornikowi zawsze dobrze. A to znowuż, panie łaskawy, jest Józia, bardzo dobre, bardzo poczciwe dziecko, średnia moja córka. Także mieszka na prowincyi, jest za leśniczym. Byłam raz u nich; mieszkają, proszę pana, w lesie, jak słowiki, dziateczek jest ośmioro. Pieniądze się tam nie przelewają, ale głodu niema; jest troszkę zboża, są trzy krówki, a grzybów! panie dobrodzieju, co tam grzybów! jak życie moje, nic podobnego nie widziałam. Ta znowuż, to najmłodsza, Andzia, dwanaście lat temu, jak wyszła za mąż: Jej mąż był wtedy ślusarzem na kolei, ale teraz pan! Maszynistą go zrobili, węgle wozi. Takiemu dobrze: pensyę ma, węgle ma, buty mu dadzą, kożuch dadzą. To też żyją sobie jak państwo, ale ja rzadko ich odwiedzam.

— Dlaczego?

— Mieszkają aż na Sosnowej ulicy. Istne przedpiekle! ktoby chodził taki kawał drogi! Niechże pan sam podług fotografii osądzi, czy takie śliczne dziewczyny miały

koniecznie wyjść za mąż tylko dla pieniędzy? Plotki tyle dobrego zrobiły, że jeden i drugi, usłyszawszy o pieniądzach, starał się zapoznać; a gdy się zapoznał, to, chociaż uczciwie powiedziałam wszystko, tak jak jest, już się nie zlisił, tylko upodobał sobie panienkę i marsz do ołtarza! Tak, panie, powydawałam wszystkie za mąż, a choć zięciów mam dobrych i każdy mnie zaprasza, jednak osiadać przy dzieciach nie chcę. Na co mam być komu ciężarem? Póki człowiek może, powinien na siebie pracować. Oczy mi już nie dopisują, okulary noszę, więc też postarałam się o inny sposób zarobku. Najęłam trochę większe mieszkanie i trzymam kawalerów na stancyi. Dla nich są dwa pokoiki, a dla mnie ten oto salonik i kuchenka.

— Czy się to pani opłaca?

— A, proszę pana, dlaczego nie? Żyję Albo to mi dużo potrzeba! komorne płacę, długów nie mam, czasem dla wnuczków prezencik jaki kupię. Czasem są kłopoty z lokatorami, ale cóż jest na świecie bez kłopotów...

— Zapewne późno przychodzą, hałasują po nocy...

— Rozmaicie. Czasem przychodzą

późno, czasem wcześnie, a czasem wcale nie przychodzą, jak któremu wypadnie... Przyzwyczaiłam się już do tego.;. Miluś, jak usłyszy dzwonek, zaraz zaczyna szczekać, więc wstaję i otwieram! Różni to już przez te dwanaście lat mieszkali, a najwięcej malarze i aptekarze... Płacą, jak mogą, zdarza się także, że który i nie zapłaci, ale to więcej przez wypadek, albo dlatego, że sam nie ma, albo znów, jak pan Faustyn, przez szlachetność...

— Jakoś go jednak nie widać, a ja pani czas zajmuję.

— Cóż tam czas! mam go dosyć... O niech pan dobrodziej posiedzi... może pan Faustyn nadejdzie... Czekał już pan tak długo, można jeszcze momencik... Pan Faustyn to piękna dusza! ja mam szczęście do takich. Znają mnie oni dobrze. Malarz bez obstalunków, aptekarz bez kondycyi, czasem urzędnik jaki, spadłszy z etatu, do mnie jak w dym! Wiedzą, że za lokal poczekam, a jak którego bardzo bieda przyciśnie, to i pożywię i obłatam...

— To pani musi dużo należności przepadać...

— E, nie; jak który ma, to oddaje.. Jeden malarz mieszkał tu u mnie przez

sześć miesięcy, rzadko w domu bywał, bo miał zatrudnienie na mieście, malował portret lorda...

— Zkądże on lorda wyrwał?

— Albo ja wiem, zkąd taki co wyrwie? Nie wiem. Dość, że przyjechał do Warszawy lord i to nie byle jaki, podobno, za pozwoleniem pańskiem, niby trzodą chlewną handlował.

— Trzodą?

— Tak mi malarz opowiadał... Bywało, mówi do mnie tak: „niech się mama Jagodzińska (bo oni mnie tu wszyscy mamą nazywają) nic nie boi; tylko tę małpę angielską wymaluje, zapłacę zaraz co do grosza... dobrze zapłacę, bo lord bogaty: ma dziesięć mil samych pastwisk w Ameryce, co roku pięćdziesiąt tysięcy wieprzów sprzedaje, a samą szczecinę pełnemi okrętami wysyła.

— Ten lord?

— Ano lord, panie dobrodzieju, jużciż, że lord, skoro taki bogacz...

— Musiał hojnie zapłacić za portret?...

— Byłby zapłacił, ale wyjechał. Miał podobno familijne przykrości... przyszła depesza z Ameryki i nawet się nie pożegnał z malarzem...

— Więc pani należność przepadła?

— Uchowaj Boże! Wyobraź sobie pan łaskawy, nie widziałam mojego malarza z półtora roku, nawet się po manatki swoje nie zgłaszał. Myślałam, że istotnie moje przepadło, aż jednego dnia wpada jak bomba, wesoły, śmiejący się i woła: „Mamo Jagodzińska, błogosław marnotrawnego syna: żenię się... panna, powiada, istna Venus!— słyszał pan dobrodziej? powiada: Venus, wyraźnie tak powiedział; — a papa, mówi stary Wulkan...” — Jaki Wulkan? pytam, czy niemiec, że się tak głupio nazywa? Powiada: „Jeszcze gorzej... ma odlewnię żelaza...” —Chryste Jezu! mówię, to pewnie bogacz?! „A, powiada, bogacz, bogacz, ma i swoją kamienicę...” Wyraźnie powiedział: kamienicę... i niech pan dobrodziej sobie wyobrazi, ten poczciwy malarz, bo, że poczciwy to poczciwy, nietylko, że mi zapłacił, ale jeszcze, nazajutrz, przysłał torcik z cukierni, orzechowy, cukrami ubierany i bilecik z prośbą, żebym była na ślubie... I byłam... Ha, ha, panie szanowny, z jaką wystawą! z jaką pompą!... u Wizytek, kościół cały w kwiatach... a stroje, karety, aż się w oczach ćmiło... Niech mu Pan Bóg da wszystko dobre... ten poczciwy czło-

wiek... zawsze mi się i teraz grzecznie kłania, choć powozem jeździ... Godna dusza!

— A teraz dużo pani ma lokatorów?

— Tylko pana Faustyna i dwóch aptekarzy; jeden egzamin zdaje i chodzi do kogoś się uczyć, więc czasem i po trzy dni w domu nie bywa, a drugi znów szuka kondycyi i w dzień i w nocy... szuka, jak może... Chciałby do jakiej wdowy na prowincyi, bo aptekarz skończony... ale przecież, jak panu łaskawemu wiadomo, wdowy na obstalunek nie znajdzie... trzeba czekać okazyi, aż się trafi. To znów go namawiają, żeby się żenił z córką materyalisty, wie pan dobrodziej, takiego, co skład apteczny ma; jakoś mu się panna nie bardzo podoba, bo ma na nosie gulkę. Ja mówię: cóż to szkodzi? chociaż z gulką, może być najzacniejsza kobieta... a on się uparł; powiada: nie, jak już mam, powiada, spaść, to niech spadnę z dobrego konia, albo wdowa na prowincyi, albo jak nie: to założę fabrykę kapsulek! Ha, mówię, niech pan założy, kapsulki też ludziom potrzebne... Tymczasem, tak to wszystko wisi, dopóki się nie wyklaruje... Jabym mu życzyła brać tę z gulką, ale on nie chce słuchać. Ciekawam, coby mu gulka przeszkadzała? Inny nie będzie gryma-

sił; weźmie i będzie miał i żonę i skład. A to dobry interes, bardzo dobry... ja się na tem znam...

— Pani?

— Ma się rozumieć... Widzi pan dobrodziej tę szafkę żółtą?

— Widzę.

— No, to w niej też jest skład...

— Jaki?

— Materyałów, panie szanowny, materyałów. Mam dosyć, od czasu do czasu córkom przesyłam... to pudełeczko troistego proszku, to fijołkowy korzeń, to tego, to owego; wiadomo, że wszystko się przyda przy dzieciach... Pomadę też miewam, trociczki, różne rzeczy...

— Zkądże pani do tego przyszła?

— Ha, proszę pana, tak się jakoś samo złożyło. Taki kawaler nieraz nie ma pieniędzy, ja się, co prawda, nigdy nie upominam, ale on sam poczuwa się, więc powiada: „mamo Jagodzińska, nie mam gotówki, ale niech pani przyjmie ten słoiczek, albo tę paczuszkę, to się przyda". Cóż mam robić, biorę... A jak raz zasłabłam na kaszel, to mi, proszę pana, doktora sprowadzili... niby nie takiego, żeby był już całkiem prawdziwy, ale studenta... Taki też leczyć umie,

po szpitalach chodzi... Zupełnie jak doktór, w okularach, pukał, patrzył na zegarek, receptę pisał... Chciałam płacić, bo mam ten zwyczaj, że zawsze płacę, ale powiedział: — a, przepraszam, od pani Jagodzińskiej nie wezmę — pani Jagodzińska powinna mieć darmo kuracyę. I tak było: moi lokatorowie przynieśli lekarstwa, sami robili własnemi, rękami i nie kosztowało nic i pomogło... Poczciwe chłopaki! niech im Pan Jezus da zdrowie...

Spojrzałem na zegarek... toż ja u tej „pani z pieskiem" przesiedziałem więcej, niż godzinę!

— Nie doczekam się pana Faustyna— rzekłem, biorąc za kapelusz...

— I mnie się tak zdaje; widocznie jeszcze biedakowi, jak to oni mówią, flota nie przypłynęła—i wstydzi się przyjść. Szlachetny człowiek, zacna dusza! chociaż Bóg mi świadkiem, że nie powiedziałabym marnego słowa. Mam jeszcze parę groszy na życie... Może pan dobrodziej jutro przyjdzie.. albo niech pan zostawi bilecik... ja oddam, jak go tylko zobaczę...

— Może go na mieście spotkam, a jeżeli nie, to przyjdę pojutrze.

— Owszem, panie dobrodzieju, powiem mu, a o której godzinie?

— O szóstej.

- Poproszę, żeby czekał...

— Dziękuję pani.

Gdym się podniósł, żeby się z panią Jagodzińską pożegnać i wyjść, mops wyskoczył z pod kanapy i zaczął przeraźliwie ujadać...

— Cicho, Miluś, cicho... a to utrapienie! Najpoczciwszy w świecie pies, ale krzykliwy strasznie. Każdego musi po swojemu przywitać i pożegnać... Nieraz wypędziłabym go na cztery wiatry, ale muszę go trzymać.

— Dlaczego?

— Bo mam, proszę pana, jedno zmartwienie.

— Zmartwienie? — zapytałem — cóż to pani dolega?

— Niby nic, a przecież ciężko... Moi kawalerowie rzadko kiedy w domu, sługi nie trzymam, tylko stróżka mi rano wodę przynosi... i nie mam do kogo słowa przemówić...

— Więc?

— A no, więc trzymam pieska... Zawszeć to żywe stworzenie, choć nieme, prze-

cież co nieco rozumie. Czasem go popieszczę, czasem mu co powiem, czasem krzyknę na niego... i jakoś mi raźniej, proszę pana. Więc pojutrze pan szanowny przyjdzie?

— Pojutrze... żegnam panią.

— Padam do nóg, a niech pan uważa, schody spadziste...

Zamknęła za mną drzwi... Na schodach jeszcze słyszałem jej głos:

— A, ty niegodziwcze! ty łotrze! ty obwiesiu! ty psi portrecie! tyle razy ci mówię, żebyś nie szczekał, ty zawsze swoje...

Babina krzyczała na mopsa i... było jej raźniej.

. . . . . .

Koło teatru, pod filarami, spotkałem dobrego znajomego. Był to człowiek lat trzydziestu, mający przyzwoite stanowisko, końskie zdrowie i około sześciu tysięcy rocznego dochodu na swoją osobę, gdyż obowiązków żadnych nie miał.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór...

— Cóż porabiasz? — spytałem.

— Ha, wegetuję—odrzekł — wlokę to marne życie z dnia na dzień... Wróciłem dopiero ze wsi, tam nudy wściekłe; przyjecha-

łem napowrót do Warszawy, ale i tu nie lepiej, same zmartwienia... Powiadam ci, że tylko sobie w łeb strzelić...

— Cóż ci się stało?

— Pytaj raczej, co mi się nie stało!... Obiad miałem bezecny, wino liche, choć drogie, w resursie porządnej partyi nie zbierze... Jednem słowem, gdzie się obrócisz, gdzie stąpisz, tylko zmartwienia, zmartwienia i zmartwienia!

Odszedł, nasunąwszy kapelusz na uszy...

W tej chwili przyszła mi na myśl moja nowa znajoma, „pani z pieskiem", która miała tylko jedno zmartwienie...

KONIEC.

ZŁOTE JABŁKO.

OBRAZEK Z BRUKU.

I.

Nie w ogrodzie Hesperyd, nie w bajce, ale w Warszawie, na Świętokrzyzkiej, czy na Zielnej, a może na Marszałkowskiej, znajdowało się to „Złote jabłko.“ Później przeniesiono je, tak jak najpospolitszą ruchomość, na tragach, do innej części miasta; później, po niejakich zatargach z panem komornikiem, znów do innej, tańszej i uboższej, i tak je kilkakrotnie toczono, toczono, aż zatoczono wreszcie na Pociejów, gdzie jest ostateczny wypoczynek wszelkiej „*gloria mundi.*“

Taki los, ale idźmy porządkiem.

Temu lat dziesięć lub dwanaście, istniał na swiecie człowiek, któremu losy dały piękny wzrost, ogromne wąsy i około dwudziestu włók ojcowizny, złożonej z pias-

czystego gruntu, kawałka lasu, łąki i zarośli. Ten grunt, gdy go było dobrze wymęczyć, wyprzewracać, wymordować, dawał w rezultacie żyto, jęczmień, owies, kartofle, tatarkę i pozwalał utrzymać jaki taki inwentarz roboczy i dochodowy... bo było przecież ośmnaście krów dojnych, od których mleko dzierżawił niejaki Mendel Marcepan, człowiek poważny, kupiec, finansista, fabrykant chudych serów i znawca hebrajszczyzny. Owóż tedy, żyto, tatarka, krowy i inteligencya Mendla, kombinowały się w ten sposób, że pan Adam, właściciel piasczystej ojcowizny, miał kawałek, a nawet kawał chleba, któryby zwyczajnemu śmiertelnikowi najzupełniej wystarczał, ale pan Adam do zwyczajnych nie należał. Nie lubił ciszy wiejskiej, nie miał zamiłowania do uprawy tatarki, ciasno mu było i duszno we własnym domu, pragnął koniecznie szerszych horyzontów. Nie żenił się, pomimo, że już za trzydziestkę przeszedł, mimo, że ciotki i kuzynki dokładały wszelkich starań, aby to małżeństwo skojarzyć.

Uparł się i nie chciał...

Ożenić się, myślał, to związać się ze wsią na całe życie, nie ruszyć się z Wyd-

my, aż do śmierci, ciągle tylko orać, siać, zbierać i znów orać, bez żadnego urozmaicenia, jednakowo... Jeszcze, żeby panna, z którą mnie swatają, była bogata, to możnaby coś przedsięwziąć, ale oprócz pięknych oczu, ma niewiele... a cóż oczy!

Nie pomogła wymowa ciotek.

Pan Adam pewnego dnia w świat się puścił, w ten świat nieznany a ponętny, w świat miejski... do Warszawy, która z daleka wydaje się taka duża, bogata, szczodra, rozdająca fortuny i posady... Gdzież robić majątek, gdzie szukać złotych jabłek, jeżeli nie w takiem dużem mieście... Człowiek, co prawda, wszędzie musi pracować, ale skoro ta konieczność jest powszechnem prawem, to lepiej pracować w mieście z rozrywką, niż na wsi przy wiekuistych nudach; a przytem, cóż na wsi? Kapitał, utkwiony w ziemi, obraca się powoli, jak koło ciężkiego wozu w piasku; w mieście zaś, przy interesach handlowych, miga się tylko i warczy...

Ruch jest...

Pojechał więc pan Adam, pożegnany przez ciotkę... pojechał rozpatrzyć się, grunt zbadać, stosunki zawiązać... Odrazu mu się powiodło: znalazł kilku nieoszacowa-

nych i bardzo inteligentnych ludzi, którzy wielce mu przypadli do serca. Kilka dni zeszło na zwiedzaniu miasta i różnych jego osobliwości, jako to: teatrów, zakładów gastronomicznych i różnych instytucyi, mających na celu przyjemność i rozweselenie ludzkie.

Pan Adam nie krył celu swego przybycia, owszem, przyznał się z całą otwartością, że mu na wsi ciasno, że mu gospodarstwo do smaku nie przypada, że wolałby handel, przemysł, słowem coś dającego więcej pola do zużytkowania energii i siły, aniżeli bezmyślne dreptanie po zagonach i oczekiwanie żniwa, które może się udać lub nie udać, stosownie do tego, czy pogoda będzie miała dobre, czy złe kaprysy...

Najsłuszniejsza racya. Przyjaciele przyznali ją mówiącemu, twierdząc chórem, że pan Adam mówi ślicznie i że, gdyby było więcej ludzi podobnie myślących, to Warszawa byłaby pierwszorzędnem miastem w Europie. Tu jest jeszcze tyle do zrobienia! Złote jabłka rosną na bruku, tylko trzeba je znaleźć, a kto chce znaleźć, ten prosta rzecz, musi szukać...

Jak?

Nad tem pytaniem, przeprowadzona

została długa dyskusya, której ostatecznym rezultatem było zdanie, że przedewszystkiem trzeba Wydmę sprzedać. Zanim to się da uskutecznić, upłynie jakieś parę miesięcy, a przez ten czas, złote jabłko się znajdzie...

Sprzedaż nie była trudna. Od kilku lat był na Wydmę amator ex.oficyalista, ex-dzierżawca, który ciężką pracą uzbierał sobie trochę pieniędzy i pragnął na starość własny kawałek ziemi posiąść. W kilku słowach interes skończono, ex-dzierżawca pieniądze swoje z banku podniósł, trochę sobie jeszcze od przyjaciela pożyczył, spisano kontrakt i pan Adam nareszcie stał się wolnym jak ptak, nieskrępowanym, swobodnym. Z ciotką miał awanturę; płakała, spazmowała, nazwała pana Adama utracyuszem i marnotrawcą i bez pożegnanie opuściła Wydmę... Nowonabywca zaraz gospodarstwo objął.

— Bywaj zdrów, panie Adamie! rzekł — gdy już przyszły przemysłowiec na bryczkę miał siadać — bywaj zdrów i niech ci się dobrze dzieje. Słyszę, że handlować masz zamiar... a znasz się też na tem?

— To jest ogólnie, niby mam pojęcie...

— Ogólnie! hm... niewiele to... pilnuj-że się, mój bracie, bo w takich geszefcikach rozmaicie bywa...

— Ba — odrzekł pan Adam z uśmiechem — czy dla tego, że wilk jest, nie należy chodzić do lasu?

— Zapewne, ale pamiętaj, ostrożność nie wadzi...

— Głupstwo, kochany panie, nie święci garnki lepią...

— Ano, jak uważasz, życzę ci jak najlepiej...

Pan Adam, przyjechawszy do Warszawy, natychmiast do przyjaciół swoich się udał, przyjęli go serdecznie, z otwartemi rękami, znowu zwiedzali przez kilka dni osobliwości miasta, wreszcie, po dłuższej konferencyi, znaleźli złote jabłko.

Miał to być dom komisowy, taki, jakiego jeszcze Warszawa nie widziała; pan Adam dał firmę i stanął na czele, jako szef interesu, a o współpracowników kłopotu nie było. Owi przyjaciele ludzie uprzejmi, pomimo licznych zajęć, poświęcili się i przyjęli posady w nowo-otworzonem biurze, zastrzegłszy sobie, niezależnie od pensyi, gratyfikacye na później, a zaliczenia zaraz. Wynajęto lokal bardzo ładny,

sprawiono meble, utensylia biurowe, kasę ogniotrwałą, księgi imponującej wielkości... kasyer zasiadł za kratką, dwaj buchalterowie i korespondent nad księgami, a pan Adam w oddzielnym gabinecie, przy wspaniałem biurku, przeglądał kursa giełdy z tem większą ciekawością, że ich nic a nic nie rozumiał.

Zawsze to zupełnie co innego niż w Wydmie, myślał, tu człowiek czuje, że jest panem, ma do czynienia z porządnymi ludźmi, mało go obchodzi deszcz lub grad, a wieczorem może sobie pójść do teatru, na partyjkę, wogóle przyjemnie czas przepędzić, nie irytując się na Maćka za to, że wóz złamał, lub że konia okaleczył.

Jedwabne życie, gdyby tylko publiczność...

Otóż z tą publicznością dzieje się coś dziwnego. Przecież powiedziano jej wyraźnie w cyrkularzach firmy, że ma dom komisowy, jakiego jeszcze nie widziała, że za pośrednictwem tej instytucyi, może za bardzo małą prowizyą sprzedawać zboże, wełnę, okowitę, sprowadzać z zagranicy wyborne wina francuzkie, cygara hawańskie, przepyszne likiery z Amsterdamu... obiecano jej to, przyrzeczono... a ona nic...

Raz wszedł jakiś jegomość, aby się dowiedzieć, ile kosztować będzie setka cygar, a gdy mu powiedziano cenę, oświadczył, że za parę dni się zgłosi — i nie widziano go więcej. To znowu wpadł jakiś zadyszany żydek, zamówił się o okowitę, przejrzał kąty i czmychnął... ale publiczności, tej publiczności, która przynosi pieniądze, która płaci — ani na lekarstwo.

Intrygi współzawodników, konkurenrya!

Nie można powiedzieć, żeby w tem wielkiem biurze komisowem było smutno. Przeciwnie, przychodzili goście. Byli to dobrzy znajomi kasyera, buchalterów, korespondenta, weseli i przyjemni ludzie. Opowiadali oni nowinki, znosili plotki z miasta, a taką mieli właściwość szczególną, że gdy ich pan Adam zobaczył, to mu się zaraz pić chciało i zapraszał cały personel na śniadanie. W początkach, podczas takich wycieczek, jeden z członków biura zostawał na miejscu jako dežurny, na przypadek, gdyby się interesant trafił, praktyka wszakże wykazała, że taka ostrożność była zbyteczną, tem bardziej, że śniadania urządzono w handlu naprzeciwko. Zostawiano więc na czas nieobecności personelu

chłopaka, który miał nakaz surowy, ażeby, w razie przybycia interesantów, lotem strzały biegł po panów do sklepu... Że chłopak, pomimo tak wyraźnego zalecenia, nigdy nie przerwał śniadania pracownikom biura, to przypisać trzeba nie innym względom, tylko publiczności, która potrzeby swoje załatwia w innych instytucyach komisowych.

Po upływie pół roku, pan Adam stracił humor, spochmurniał, zredukował personel do połowy, a biuro przeniósł na inną ulicę. Zmiana miejsca, według żydowskiego przysłowia, przynosi zmianę szczęścia, a jak w tym razie — nieszczęścia.

Ponieważ po zredukowaniu personelu, pan Adam miał do rozporządzenia dwie posady, a czterech przyjaciół, przeto zyskał na czysto dwóch wrogów i dwa procesy o odszkodowanie, które zakończył polubownie, zapłaciwszy swoim byłym współpracownikom trzymiesięczną pensyę, jako wynagrodzenie za zawód.

Po roku wegetacyi, ta sama historya powtórzyła się z trzeciem przyjacielem. Pozostał więc tylko jeden, poczciwy kasyer, który do końca umiał zachować uczucia przyjaźni — a nawet chciał, aby ten węzeł

zacieśnił się jeszcze silniej, i w tym celu zapoznał pana Adama ze swoją cioteczną siostrą, przystojną wdówką, o której mówiono, że niezależnie od przymiotów serca i duszy, posiada jakąś gotowiznę i sperandę, że gdy kiedyś, ktoś umrze, to jej coś zapisze. Konjunktura ponętna... a że pan Adam za wygranę interesom komisowym dać nie chciał i bądź co bądź, postanowił biuro swoje prowadzić i rozszerzyć — więc, idąc za radą przyjaciela, zaczął się starać o wdówkę...

Pani Julja straciła pierwszego męża przed pięcioma laty — przez tak długi czas może wyschnąć rzeczka, a cóż dopiero maleńki strumyczek łez niewieścich, a że pan Adam był mężczyzną w sile wieku i przystojnym, więc wdówka nie broniła się jak lwica, ale z przyjemnym uśmiechem na twarzy, dała się zaprowadzić do ołtarza i została panią Adamową.

Gdy po weselu przyszło do obliczenia kapitałów, pokazało się, że poczciwy kasyer, nie będzie miał czego pilnować i że, bez narażenia złodziei na wielką pokusę, można kasę ogniotrwałą, jake mebel zupełnie zbyteczny, sprzedać — co też niezwłocznie uczyniono...

Tamten ktoś, co to kiedyś miał umrzeć i coś pani Adamowej zapisać, nie tylko, że nie umarł, ale ożenił się i ma syna...

Pan Adam widząc taki obrót rzeczy, chciał się gniewać, ale pani Julja posiadała szczególną umiejętuość głaskania swego mężulka pod brodę, więc uspokoił się prędko i pogodził z losem. Z żoną dobrze żył, bo była kobiecina poczciwa i przywiązana do niego.

Ona zdołała nareszcie, wyperswadować mu wielkie biuro komisowe — i skłonić, aby się wziął do czegoś, coby było mniejsze, lecz pewniejsze. Próbowano rozmaitych przedsięwzięć, ale jakoś nie szło. Szerokie horyzonty, o jakich marzył swego czasu pan Adam, zwężały się coraz bardziej, interesa szły kulawo, brał się do coraz mniejszych, aż nareszcie opuścił głowę i przyszedł do przekonania, że odkrył właściwą przyczynę niepowodzeń swoich...

Nie ma szczęścia do handlu... Kto wie, czy do tego wniosku doszedłszy, nie byłby się rozpił z rozpaczy, ale pani Julja i szwagier kasyer, bo nawet po sprzedaniu kasy, ten tytuł zachował, nie dali mu upaść. Pocieszyli, zachęcili do wytrwania, wleli w serce otuchę. Pan Adam się rozczulił,

pocałował żonę w pulchną rączkę, szwagra w chude policzki — i pojechał do Wzdmy-Miał jeszcze u właściciela parę tysięcy i postanowił je odebrać.

Gdy dojeżdzał do dawnej swej siedziby, poznać jej nie mógł. Domek czyściutki, zabudowania porządne, a zboża na podziw... Co za zboża! na takim lekkim gruncie...

Odebrawszy fundusik swój, powrócił do Warszawy, i po naradzie z żoną i szwagrem kupił cztery dorożki. Sam wybrał klekoty, co najmniej zdezelowane, konie co najzdrowsze i pcha biedę. Zna się na koniach, na furażu, nie da się oszukać, pracuje, zabiega od rana do nocy, a czasem dla kontroli, ubiera się w liberyę, siada na kozioł i wozi tę publiczność, która do kantoru komisowego na żaden sposób ściągnąć się nie dała. Nie wstydzi się pracy, nie szuka horyzontów szerokich, na których radzić sobie nie umiał — żyje. Nawet nie źle żyje: mieszka w dwóch pokojach , przyjmuje gości co sobota. Przychodzi kasyer, jeszcze dwaj znajomi, grają w preferansa, a pani Julja urządza przyjęcie świetne, z herbatą, z wędlinami, z piwem... Podobno mają zamiar jeszcze jedną dryndę i parę koni dokupić; pan Adam już od kilku piąt-

ków upatruje odpowiednich rumaków na Pradze.

Naprzeciwko także jakiś jegomość utrzymuje dorożki, ale nic z nich nie ma, traci i narzeka.

— Dla czego narzeka?— tłumaczy pan Adam — bo się nie zna... pojęcia nie ma o koniach.

Nie wiem, czy gdy to mówi, przychodzi mu na myśl dom komisowy do eksportu zboża i wełny, oraz importu win i cygar...

Raz wieczorem, w święto, wyprawiwszy wszystkie dryndy na miasto, zasiadł do herbaty z żoną i z kasyerem. Rozgadali się o tem, o owem, jak zwyczajnie w kółku zaufanych.

— Eh! — mówił pan Adam — śmiejcie się z moich złotych jabłek, a przecież to nie fikcya, miałem jedno...

— Gdzie, kiedy? — zapytała żona.

— Chyba nie mówisz o naszym byłym domu komisowym? — dorzucił kasyer.

— Niech go tam! Miałem ja coś lepszego...

— No?

— Dwadzieścia włók, jak obszył, w jednym kawale... piasczysty gruncik... ale ro-

dziło się żyto, kartofle, tatarka!... i jaka tatarka!

— Mówisz o Wydmie... — Piękny to był mająteczek. Ten, kto go nabył, nacieszyć się nim nie może...

— A jednak sprzedałeś go?

— Ha, trudno.. stało się... Szukamy złotych jabłek daleko, a nie widzimy tych, które mamy w ręku.

Pan Adam westchnął... Żona pogłaskała go po twarzy.

— No, nie martw się — szepnęła — jeszcze nam nienajgorzej na świecie.

— Masz racyę, Julciu — odrzekł, całując ją w rękę. — Tyś także złote jabłuszko... ale tego już z rąk nie wypuszczę.

KONIEC.

Biblioteka WSP Kielce
0128385